KTO DOPOMOŻE ŻYDOWI...
– WSTRZĄSAJĄCA KSIĄŻKA PROF. BOGDANA MUSIAŁA O NIEMIECKIEJ OKUPACJI

DANIEL OBAJTEK PO KRYZYSIE Z ZANIECZYSZCZONĄ ROSYJSKĄ ROPĄ: ORLEN ŚWIETNIE ZDAŁ TRUDNY EGZAMIN

SKANDAL Z MARKIEM LISIŃSKIM
– JAK UPADŁA KOLEJNA GWIAZDA SALONU III RP

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 23 (341) 2019
10–16 czerwca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TO SOROS STOI ZA PLANEM ROZBICIA POLSKI

SAMORZĄDOWI BONZOWIE I LIDERZY OPOZYCJI PROPONUJĄ 21-PUNKTOWY PROJEKT, KTÓRY PRZYNIÓSŁBY NARODOWI KATASTROFĘ. EFEKTEM BYŁOBY SŁABE PAŃSTWO SZARPANE PRZEZ OBCE POTĘGI ORAZ CODZIENNOŚĆ W MAFIJNYCH KSIĘSTWACH

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

CZARNOBYL

HBO HD HBO GO

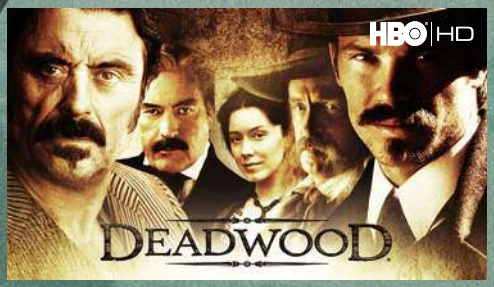

Najlepsze filmy, seriale i sport na start 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

Oferta dostępna również w telewizji kablowej w technologii IPTV!

Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. PGE Ekstraliga w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „Deadwood" © 2016 Home Box Office, Inc. „Wielkie kłamstewka" © Home Box Office, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

eprasa.pl.33acfb3920

Kłamliwe zarzuty

Wraz z przegraną Koalicji Europejskiej wyciszył się temat pedofilii w Kościele. Nieprzypadkowo został wprowadzony tuż przed wyborami i z impetem podbity filmem braci Sekielskich. Nie bez przyczyny też Tomasz Sekielski zdecydował się na pokazanie tylko fragmentu mrocznej rzeczywistości. Ukrył przed widzami, że pedofile ukazani w jego filmie to agenci SB. Przemilczał również to, że Marek Lisiński, szef Fundacji „Nie lękajcie się", wyłudzał i oszukiwał.

Film „Tylko nie mów nikomu", oprócz swojej oczywistej funkcji: ukazania zbrodni pedofilii, która zaistniała w Kościele, miał jeszcze inną: wywołanie trzęsienia ziemi w prawicowym elektoracie. Termin jego emisji wyznaczono dwa tygodnie przed wyborami do europarlamentu. Premierę poprzedziły liczne ataki na Kościół i bluźniercze profanacje. Wszystko to skorelowane zostało z faktem politycznym: skrajnie antyklerykalnym wystąpieniem Leszka Jażdżewskiego przed wykładem Donalda Tuska. Najwyraźniej mistrzowie opozycyjnej socjotechniki uznali, że tylko mocne antykościelne tąpnięcie może osłabić PiS. Założenia okazały się błędne, a Koalicja Europejska na brutalnej walce z Kościołem mocno straciła. Może właśnie dlatego temat pedofilii w Kościele zniknął wraz z pojawieniem się wyników wyborów. I może dlatego dopiero po wyborach wyszła na jaw prawda o Marku Lisińskim.

Najpierw gruchnęła wieść o tym, że prezes „Nie lękajcie się" traci swoją funkcję. Okazało się, że próbował wyłudzić pieniądze od jednej z ofiar, potem żądał 50 tys. zł od braci Sekielskich za udział w filmie. Główny zarzut pojawił się kilka dni później. „Lisiński pożyczył pieniądze od księdza, nie oddał ich, a później oskarżył duchownego o molestowanie" – napisała Wirtualna Polska. Historię opisała też „Gazeta Wyborcza". Choć sąd powszechny sprawę umorzył, a sąd biskupi nie dopatrzył się winy księdza, został on jednak ukarany przez bp. Liberę trzyletnim zakazem sprawowania posługi kapłańskiej, co przypieczętował Watykan. Lisiński szedł bowiem w zaparte. Pojechał też do Rzymu z Joanną Scheuring-Wielgus, by spotkać się z papieżem jako ofiara księdza pedofila. Gdy jego kłamstwo opisały lewicowe media, kuria płocka wydała lakoniczne oświadczenie, stwierdzające, że „wina księdza została potwierdzona i zatwierdzona przez Kongregację Nauki Wiary". Jednak proces ten szczegółowo prześwietlił także dziennikarz Sebastian Karczewski, a wyniki śledztwa opisał w książce „Pedofilią w Kościół". „Zabrałem wszystkie akta i pojechałem do Rzymu, by wyjaśnić sprawę u źródła, a więc w Kongregacji Nauki Wiary. Okazało się, że dekret powstał na postawie fałszywych informacji, przekazanych tej ostatniej przez biskupa płockiego. Inaczej mówiąc: bp Libera oszukał kongregację" – pisze. Wygląda to tak, jakby biskup płocki chciał się wykazać skutecznością w zwalczaniu wszelkich nadużyć.

Z całej sprawy płyną dwa wnioski. Pierwszy: jeśli szef „Nie lękajcie się" szantażował Kościół i zawładnął przestrzenią medialną, posługując się kłamliwym zarzutem, zasadne jest pytanie, ile bezpodstawnych oskarżeń rzucono wobec księży, by wyciągnąć odszkodowanie? Drugi: ilu biskupów, ulegając presji mediów, zadziałało pochopnie i obarczyło winą niesłusznie oskarżonych księży? Chęć ulegania politycznej poprawności, pochopne orzekanie o winie lub jej braku rozkręcają spiralę kłamstwa. A to prawda jest w tym wszystkim najważniejsza.

Marzena Nykiel

58/0319/F
eprasa.pl 33a3fb3920

SIECI spis treści

34 *Operacja konsolidacja*
Stanisław Janecki

41 Pilne zadania dla nowego szefa MEN
Dorota Łosiewicz

72 Sojusz tronu z ołtarzem
Rozmowa Grzegorza Górnego

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KOSIARZE POMYSŁÓW**
Krzysztof Feusette

9 **EUROPA NA OPAK WYWRÓCONA**
Maciej Pawlicki

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PRZEMOC NA TLE POLITYCZNYM**
Jan Pietrzak

15 **STARY, NIEWYKSZTAŁCONY, ZE WSI**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **DZIADEK NA MACIERZYŃSKIM**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **PLAN LIKWIDACJI PAŃSTWA**
Wojciech Biedroń

26 **CO BY ZOSTAŁO Z POLSKI**
Michał Karnowski

KRAJ

28 **CZY POŚWIĘCIŁBYŚ WŁASNE DZIECI?**
Konrad Kołodziejski

34 **OPERACJA KONSOLIDACJA**
Stanisław Janecki

37 **Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM**
rozmawia Jacek Karnowski

41 **PILNE ZADANIA DLA NOWEGO SZEFA MEN**
Dorota Łosiewicz

44 **Z DANIELEM OBAJTKIEM**
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

48 **EFEKT AUREOLI**
Maja Narbutt

52 **Z ARTUREM WARZOCHĄ**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

55 **UWIELBIANA BLONDYNKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

57 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

58 **PRZERAŻAJĄCO BAŁAMUTNY FILM**
Łukasz Adamski

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

64 **TROLLE W NATARCIU**
Stanisław Żaryn

68 **SILNIEJSZY NADZÓR NAD DELFINEM**
Jan Rokita

70 **K JAK KAMERA (NA KSIĘDZA)**
Hanna Karp

ŚWIAT

72 **SOJUSZ TRONU Z OŁTARZEM**
rozmowa Grzegorza Górnego

GOSPODARKA

76 **DOCTOR DOOM DOCENIA POLSKĘ**
Arkady Saulski

ZDROWIE

82 **CHCEMY TYLKO ŻYĆ**
Piotr Filipczyk

NATURA DLA LUDZI

86 **DZIKOŚĆ KROWIEGO SERCA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: MONIKA BRODKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **SAMORZĄDNOŚĆ, A NIE ANARCHIA**
Wojciech Reszczyński

91 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 **ALTERNATYWNA RZECZYWISTOŚĆ, ALTERNATYWNY TEATR**
Aleksander Nalaskowski

93 **LĘKAJCIE SIĘ!**
Wiktor Świetlik

94 **TĘ KSIĄŻKĘ MUSI POZNAĆ ŚWIAT**
Jan Pospieszalski

95 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 **VIVAT TVP!**
Ryszard Makowski

97 **PRZYPOWIEŚĆ Z PIWONIAMI**
Leszek Długosz

98 **ALEKSANDER SMOLAR SKAMAŁ?**
Andrzej Zybertowicz

partner działu gospodarka

Bank Pekao

eprasa.pl 33acfb3920

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

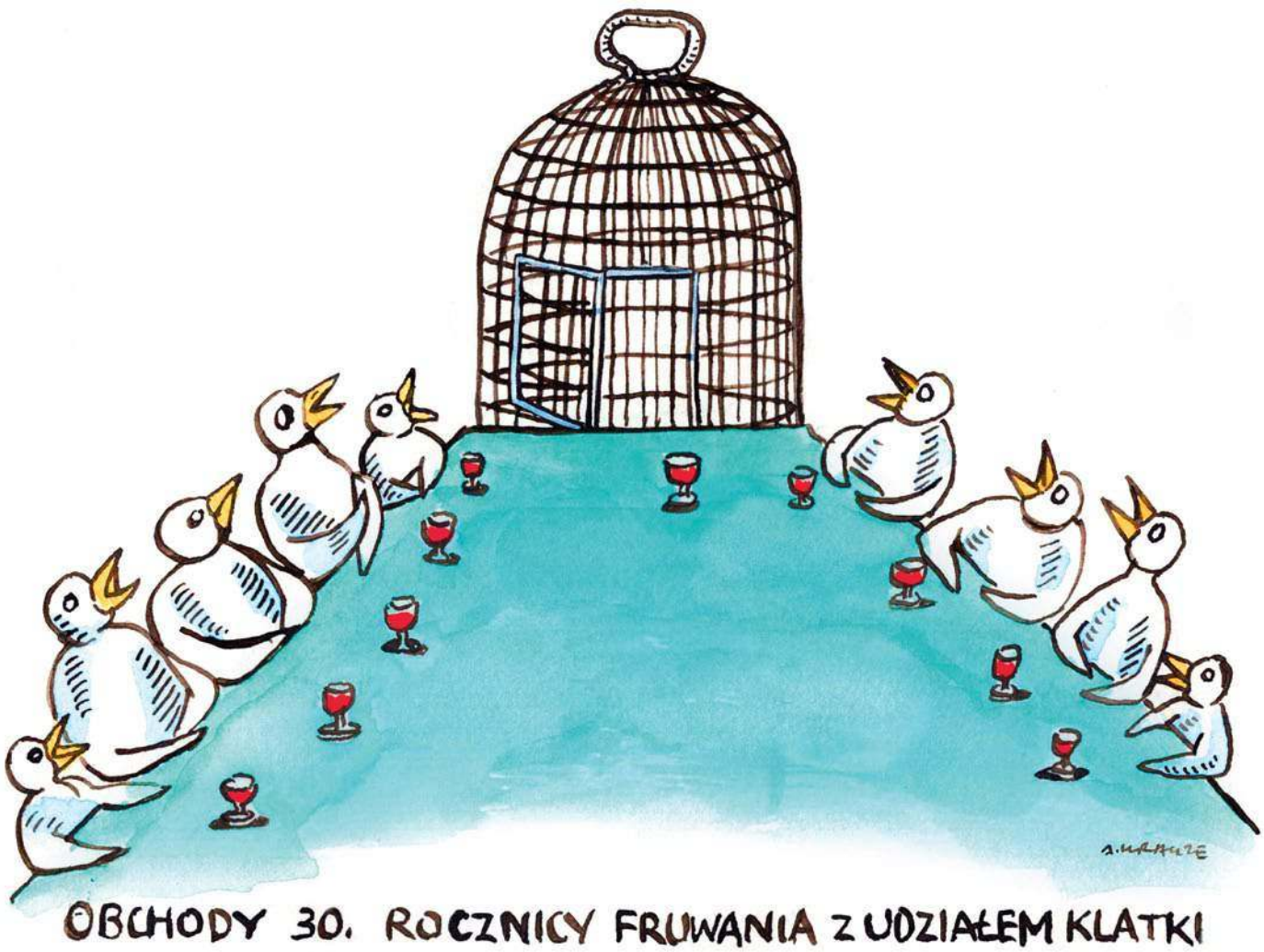

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER/EASTNEWS, JAN BIELECKI/EAST NEWS, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER/EASTNEWS, FABRICE COFFRINI/AFP/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK, ANDRZEJ WIKTOR

eprasa.pl 33acfb3920

Sygnalista nadaje

„Gazeta Wyborcza" poużalała się po klęsce opozycji, że kampanią Koalicji Europejskiej kierowali amatorzy. „To była raczej grupa towarzyska, a nie sztab wyborczy z prawdziwego zdarzenia" – opowiada gazecie jeden ze współpracowników Platformy. „Dlatego praktycznie nie było akcji profrekwencyjnych. A w PiS byli świadomi, że jeśli zmobilizują swoich, to wygrają. ***Jarosław Kaczyński*** mówił wprost, że »jedyną szansą tamtych jest to, że nasi nie pójdą na wybory«". Przegrali, ale na pewno dobrze się bawili. Tym bardziej że do końca byli pewni sukcesu.

Okazało się też, że przy wyborach po stronie opozycyjnej pracowała ta sama ekipa, która miała doprowadzić do reelekcji Bronisława Komorowskiego w 2015 r. „Nigdzie na świecie nie jest tak, że przegrana ekipa piarowców może wygrać wybory" – mówi „GW" polityk ze ścisłego otoczenia Schetyny. Naszym zdaniem jesienią należy im dać jeszcze jedną szansę, zgodnie z hasłem: do trzech razy sztuka. Poza tym, czy na pewno w rezerwie są lepsi?

W Platformie uważają, że lepsi pracują dla PiS. Dlatego po tym, gdy w mediach pojawiła się o informacja o tajemniczym „analityku z Wielkiej Brytanii" i „spin doktorze z USA", którzy mieli przeważyć szalę na rzecz obozu rządzącego, posłańcy PO zaczęli ich szukać, by zaproponować więcej pieniędzy i przeciągnąć na swoją stronę. Niżej upaść chyba już nie można.

Tak naprawdę owi anglosascy spin doktorzy nie odegrali kluczowej roli. Bo tym razem w PiS też nie było jednego sztabu w sensie klasycznym: były różne kręgi, mniej lub bardziej wpływowe, złożone z ludzi z różnych środowisk, ale pełną pulę wiedzy miał tylko jeden człowiek: prezes Jarosław Kaczyński. Dzięki temu – twierdzą dobrze poinformowani – z PiS nic nie wyciekało.

Największym przegranym tych wyborów nie jest jednak ani Schetyna, ani Kosiniak-Kamysz, ale ***Donald Tusk***. Zawiódł, gdy wypuścił Jażdżewskiego, zawiódł, gdy nie zmobilizował wyborców opozycji, przemawiając w Warszawie, zawiódł w Gdańsku, gdy 4 czerwca nie miał opozycji niczego ważnego do powiedzenia. Ponoć nawet w redakcji „Wyborczej" poleciało pod jego adresem parę mocnych słów. Oni także już wiedzą, że zainwestowali w przeszłość.

Tusk próbował tchnąć w opozycję wiarę w zwycięstwo, ale sam się obnażył. „W wyborach do Senatu możemy im zrobić powtórkę z rozrywki, możemy wygrać" – przekonywał, przywołując wynik 99:1 z 1989 r. Najcelniej podsumował tę ambicję – oznaczającą niewiarę w zdobycie Sejmu – wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk, stwierdzając: „Tusk jest jak trener, który w przerwie meczu mówi: »No dobra, strzelcie choć honorową bramkę«". A przecież i tak nie strzelą.

Jeszcze dalej idącą koncepcję ma Jakub Bierzyński, właściciel potężnego domu mediowego oraz doradca Roberta Biedronia. „Pora na odwrócenie hasła. Nasz prezydent, wasz premier!" – stwierdził na łamach „Rzecz-

Grecja zwróciła się do Niemiec z prośbą rozmowy ws. reparacji wojennych, szacowanych na ponad 300 mld euro. Ambasador w Berlinie przekazał już oficjalne pismo. Co ważne, nie słychać, by projekt zwalczała grecka opozycja. Niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung" twierdzi tymczasem, że III Rzesza narobiła tak wielkich szkód w krajach okupowanych, że nawet przybliżone ich wyrównanie nie jest możliwe. To prawdopodobne, ale może warto choć spróbować?

eprasa.pl 33acfb3920

pospolitej", wyjaśniając: „By obronić polską demokrację, niepotrzebna jest władza, lecz konieczna możliwość blokowania inicjatyw ustawodawczych PiS, a tę daje większość w Senacie i wetujący je prezydent". Stąd koncepcja, by skupić się na wyborach głowy państwa. To się chyba nazywa „rolowanie problemów".

Bierzyński próbuje szukać punktów optymistycznych, które tchnęłyby w opozycję nieco entuzjazmu. „Skala zwycięstwa PiS jest grubo przesadzona. Partia rządząca wygrała zaledwie jednym punktem procentowym (PiS 45,4 proc., KE 38,5 proc. + Wiosna 6 proc. = 44,5 proc.). To nikła przewaga". Ale czy nie uczciwiej byłoby zestawić głosy opozycji z głosami całej prawicy (PiS, Kukiz, Konfederacja)? Ale fakt, umieć liczyć tak, by wyjść na swoje, to cenna umiejętność.

Wyraźnie mniej optymizmu niż Bierzyński ma w sobie Robert Biedroń, którego Wiosna będzie miała ogromne problemy, by wejść do Sejmu. Lider Wiosny wielokrotnie mówił, że jeśli wejdzie do europarlamentu, złoży mandat. Teraz Krzysztof Śmiszek, jego partner, mówi, że można połączyć walkę o Sejm z zachowaniem biletu do Brukseli. Wszystko można, ale też wszystko kosztuje.

Wspomniane wyżej przemówienie Tuska było wręcz utkane z tego, co zawsze było jego znakiem rozpoznawczym: z półprawd, fałszywych zestawień, nieuczciwych porównań. Ale były też jawne kłamstwa: „Was jest tu, tylko w tym miejscu, kilkadziesiąt tysięcy ludzi" – grzmiał ze sceny, choć gołym okiem było widać, że to najwyżej kilka tysięcy. Internauci nie odpuścili i policzyli – wyszło im siedem, najwyżej osiem tysięcy. Jak to było? Tonący tanio się chwyta.

Przed Tuskiem przemawiał w Gdańsku ***Wałęsa***, który – zdaniem byłego premiera – jest wzorem pracowitości i zaangażowania na rzecz „sprawy". Lechu rzeczywiście stara się, jak może, i wręcz skrzy pomysłami. Występując przed Tuskiem, też błysnął: „Mamy mniejszości seksualne. Dlaczego nie ma partii mniejszości seksualnych? Dlaczego mają się ukrywać?" – pytał ze sceny. Szkoda, że Wałęsę tłumaczą na angielski tak wybiórczo. Powinni tłumaczyć wszystko i byłoby po kłopocie.

Wspomniana „Wyborcza" bardzo się boi. „Jest co najmniej 25 przyczyn, żeby ściąć nasze głowy. Może się zdarzyć wszystko. Mogą przysłać milicję do redakcji »Gazety Wyborczej«. Mogą znaleźć narkotyki w swoim mieszkaniu, a następnego dnia może pojawić się policja, żeby je przeszukać" – ogłosił Adam Michnik na łamach „Foreign Policy". Nie dodał niestety, że w tej reżimowej Polsce władze jego spółki podwyższają sobie wynagrodzenia, a firma przeznacza miliard na agresywne inwestycje.

A może to nie strach przed represjami, ale przed czymś dużo groźniejszym? Dobry trop wskazuje w „Tygodniku Powszechnym" Karolina Wigura, historyk idei i socjolog z „Kultury Liberalnej": „[W środowisku lewicowo-liberalnym widać] Strach o to, że przestali być słuchani. Że stracili ten swój rząd dusz, który tak długo dzierżyli i od którego się chyba uzależnili. To jest strach przed utratą roli intelektualnego i ostatecznego politycznego arbitra w sprawach publicznych. W jakiejś mierze strach przed byciem niepotrzebnym". Chyba jest bardzo blisko prawdy.

Telewizja Superstacja – należąca do grupy Polsatu – zrezygnowała z poruszania na swojej antenie tematów politycznych. W związku z tym red. Eliza Michalik, jedna z gwiazd stacji, ogłosiła, że odchodzi z pracy. W jej obronie głos zabrał Rzecznik Praw Obywatelskich. „To niezwykle ważny powód do refleksji nad stanem wolności mediów w Polsce. [...] czy nie kurczy nam się kolejny raz przestrzeń debaty publicznej?" – pyta ***Adam Bodnar***. Niestety, w obronie masowo zwalnianych pracowników Agory RPO głosu nie zabrał. Może uznał, że ich akurat zwalniają słusznie?

A co dalej z Kukiz '15? Tego nie wie nikt. PiS na razie sprawdza, jaką część elektoratu rockmana można przejąć. Zamówiono nawet specjalne badania w tej sprawie. Bo z perspektywy partii rządzącej dalsze trwanie potencjalnego koalicjanta zaczyna być dyskusyjne. Po pierwsze, samodzielna większość wydaje się całkiem realna, a po drugie, jeśli Kukiz dostanie 4 proc. z kawałkiem, to te głosy zostaną zmarnowane. Jeśli chcesz żyć, musisz walczyć.

W Normandii świętowano 75. rocznicę lądowania aliantów. Wśród gości także Angela Merkel, która tak oceniła D-Day: „Ta niezwykła operacja w końcu doprowadziła do wyzwolenia nas od nazistów". Oficjalny profil brytyjskiej rodziny królewskiej na Twitterze przedstawił przywódczynię Niemiec jako „przedstawiciela państw alianckich". Zapewne przez pomyłkę, ale takie pomyłki nie wynikają z niczego. Nie wiadomo, czy to w sumie klęska, czy też pośmiertny triumf tamtych, konkretnych nazistów.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 33acfb3920

Kosiarze pomysłów

KRZYSZTOF FEUSETTE

Schetyna: Dzień dobry wszystkim, chociaż miło to już było. Wiemy, po co się zebraliśmy. Trzeba szybko zareagować na głośną wypowiedź medialną.
Czarzasty: Czyją?
Schetyna: Oczywiście moją.
Czarzasty: A co powiedzieliście, kolego?
Schetyna: Że jest pomysł, jak wygrać z PiS. Tylko trzeba go znaleźć. I że ja wiem, z kim go szukać.
Dulkiewicz: To jest trochę za trudne. Trzeba mówić o węglu.
Schetyna: A pani to nie ma za drzwiami przypadkiem? Pomysł jest najważniejszy! Zapytam więc tylko raz, za to dosadnie: kto, do jasnej cholery, widział go po raz ostatni?!
Petru: Na Maderze nie ma. Byłem, widziałem. To znaczy nie widziałem. Za to mam plan.
Schetyna: A konkretnie, co obejmuje?
Petru: No, całą wyspę. Aquaparki, zabytki...
Schetyna: Weźcie go stąd. Ponawiam pytanie: gdzie jest nasz pomysł?
Lubnauer: No, przecież pan Donald miał przywieźć...
Tusk: Ja? A skądże znowu. Ja jestem apolityczny. Poza tym wszystko już powiedziałem. Wywalić smutasów, więcej uśmiechu i więcej...
Schetyna: No, czego?
Tusk: Po prostu: więcej. PiS daje pięćset? Dajcie tysiąc. Oni tysiąc pięćset, wy tysiąc pięćset sto dziewięćset...
Schetyna: Ale nam nikt nie wierzy.
Kopacz: Mów za siebie, Grzesiu. Szorujesz buźką po dnie rankingów, to trudno, żeby ktoś ci uwierzył. Ty nawet nie wiesz, co aktyw mówi o tobie w prywatnych rozmowach. No, ale chciałeś być liderem, to sobie jesteś, co nie, Donald? Mnie się wydaje, że trzeba ruszyć w Polskę.
Tusk: Bardzo dobrze. Tylko silnika nie gaś, bo pisiory mogą być we wsi. I cały czas uśmiech, nie zapominaj o uśmiechu.
Lubnauer: Pan tyle mówi o tym uśmiechu, my to potem ćwiczymy przed lustrem jak nawiedzeni, a sam przyjeżdża i co? Piąsteczki zaciśnięte, ząbki zaciśnięte, pośladki...
Tusk: Proszę się nie zapędzać. Pani się nie stosuje do moich wskazówek. Mówiłem wyraźnie: potraficie dowalić, to dowalajcie. Ale nie bądźcie antypisem.
Dulkiewicz: Tylko jak to pogodzić, panie przewodniczący? Nadziejo nasza pierwsza i ostatnia, my za panem wszędzie...
Schetyna: Wystarczy. Tu są dzieci.
Tomczyk: Ile razy mam powtarzać, że nie jestem już dzieckiem!
Tusk: Wszystko da się pogodzić, pani Oleńko. Trzeba walić w PiS, ale tak, żeby wszyscy myśleli, że to oni walą w nas.
Dulkiewicz: Cudownie. Łapię. Kurczę, naprawdę łapię. Czyli np. idę w pierwszym rzędzie Parady Równości, za mną waginy, obrażamy katolików, a trzy dni potem mówię, że tak nie można, tak? Albo proszę, by zasypać rowy, a parę dni później krzyczę, że wybory, to jest, krówka jego chlać, wojna!
Schetyna: Tyle że to nas nie posuwa.
Czarzasty: No, a ten pomysł z rozdrobnieniem dzielnicowym? Można by na tronie Wałęsę z Henią posadzić. To byłby taki nasz Bolesław Krzywonos...
Schetyna: Wszystko za mało. Musi być coś dla ludzi.
Grupiński: Może te małżeństwa homoseksualne, co je prawie obiecałem?
Tusk: To jest świetne, Franz znowu się popłacze. Tylko czy ktoś w tym ciemnogrodzie w ogóle będzie chętny?
Nitras: Ja mogę poudawać. Mnie już nic nie zaszkodzi.
Schetyna: To dzwoń do Rafała, niech ci kogoś znajdzie. Zrobimy widowisko: nielegalny ślub gejowski z obywatelskim duchem w tyle, to znaczy w tle. Niech Europa zobaczy opresyjność reżimu.
Tusk: Publiczna tego nie pokaże. Trzeba przejąć internet.
Czarzasty: Jeszcze bardziej? Przecież mamy półtora miliona memów z Kwaśniewskim, drugie tyle z Wałęsą...
Kwaśniewski: Ale o so chodzi? Łi-fri-pipą! Łi-fri...
Wałęsa: Nie „pipą", a „pipoł", proszem pana. Pan mniał siem uczyć angielskiego, jak Frasyniuk siedział, a pan podstawowych słówek nie łapie.
Kwaśniewski: Nu, kak... Nu, kak eta?
Wałęsa: Czy ja mogie? Bo tak siem przysłuchujem i tak sobie myślem, że szanowne państwo niczego nie zrozumiely z mego wykłada na tematy UFO. No, ludzie złoci, przecież one przylecom do nas z takiem pomysłem, że te swoje pierdoły możecie sobie w teczkie wsadzić.
Schetyna: To jest dopiero pomysł z kosmosu...
Kopacz: Ojej, czyli że nie muszę na wieś jechać? Bo ja się już na karate zapisałam...
Schetyna: Śmigaj i melduj, jakbyś coś znalazła.
Kopacz: Ale co konkretnie?
Schetyna: No, pomysł jakiś, program, ideę...
Kopacz: A jak to w ogóle wygląda?
Schetyna: Donald, jak program wygląda?
Tusk: Skąd mam wiedzieć? Za moich czasów żaden pomysł nie był potrzebny. Miało się wszystkie media, to się rządziło. Temu tyle, tamtemu tyle. I komu to przeszkadzało?

(Kurtyna).

eprasa.pl 33acfb3920

Europa na opak wywrócona

W totalnej opozycji epokowe odkrycie, że zasada: „tak długo będziemy ich poniżać, aż w końcu na nas zagłosują", wciąż nie działa. W głowach rozpalonych żądzą, „żeby znowu było, jak było", chyba wreszcie rozpoczęły się procesy myślowe

Groza i masakra. Okazuje się, że Jarosław Kaczyński jest bardziej europejski od Emmanuela Macrona, gdyż wprowadził do europarlamentu 27 europosłów, podczas gdy Macron tylko 21. Zatem to Jarosław powinien udzielić Emmanuelowi lekcji europejskich wartości, relacja nauczyciela i ucznia jest między oboma panami najwłaściwsza. Bo wiedza o rzeczywistości jest dla polityka bezcenna. Przynajmniej powinna. Chyba że ma cel inny niż służba swemu narodowi i krajowi. Wtedy nie musi wiedzieć, jak jest, co myślą i czują ludzie, może nasłać na nich policję i spałować. A jemu wystarczy, że od swoich guru wie, jak „być powinno", co ludzie „powinni" myśleć i czuć.

W totalnej opozycji epokowe odkrycie, że zasada: „tak długo będziemy ich poniżać, aż w końcu na nas zagłosują", wciąż nie działa. W głowach rozpalonych żądzą, „żeby znowu było, jak było", chyba wreszcie rozpoczęły się procesy myślowe. Skoro hejt, bluzg i zawstydzanie nie wystarczają, by odebrać władzę Prawu i Sprawiedliwości, a nawet przeciwnie – zwiększa liczbę Polaków głosujących na partię Jarosława Kaczyńskiego i zmniejsza liczbę Polaków pragnących odebrać jej władzę, to może jedyną metodą pokonania PiS jest... udawanie PiS?

Brawo! Tego właśnie Polska – jak każdy normalny kraj – potrzebuje. Niechże partie opozycyjne wreszcie zaczną się ścigać z władzą w proponowaniu rozwiązań, które bezpośrednio przełożą się na bezpieczeństwo, godność i jakość życia Polaków. Długo zajęło opozycji dojście do tego, dość prostego, wniosku, o ile rzeczywiście już doszła, bo to zaledwie nadzieja. Być może już za chwilę się okaże, że przebłyski myślenia politycznego (to znaczy roztropnej troski o dobro wspólne) przeminą i powróci toporna metoda pałowania wstydem i wykluczeniem.

Symbolem klęski z 26 maja jest zadowolony z siebie chłystek bluzgający na religię i Kościół, którego, jak królika z kapelusza, wyciągnął Donald Tusk. Jak swojego młodszego klona. Oceniając, jak rozumiem, że Polacy najbardziej dziś potrzebują kolejnej palikociarni, która napluje na nich z jeszcze większą wściekłością niż tamta pierwsza. Klęska Tuska i tej jego metody, którą właśnie próbował powtórzyć, jest największym zwycięstwem tych wyborów, Polaków i Polski. Oznacza, że zamontowane w mediach, w teatrach, na uniwersytetach automaty, przepraszam, autorytety bluzgające, opluwają już tylko siebie. Jak Krystyna Janda (od kilkunastu lat kosząca na dwa swoje teatry w Warszawie gigantyczne dotacje od podatników), która publicznie okazała pogardę kobietom ze wsi (w ludowych strojach), które pobierają na swe dziecko 500 zł miesięcznie.

Tęgie głowy ustawiające polską opozycję myślą intensywnie. Przyjęły do wiadomości katastrofy Petru, Kijowskiego, Lubnauer i Biedronia, samozapętlenie Kosiniaka z Kamyszem, polityczną impotencję Schetyny otrzepującego z kurzu truchła postkomuny oraz klęskę Tuska i jego nowej palikociarni. Chyba dokonały analizy SWOT i wyszło im, że jedyną szansą na skuteczną wojnę z PiS są dziś lewaccy prezydenci kilku dużych miast. To oni właśnie mają wyrwać spod władzy centralnej jak najwięcej Polski i budować rzeczpospolitą alternatywną, gdzie zakompleksione lemingi będą czuły się znowu u siebie, sanitarnym kordonem odgrodzone od pisowskiego ludu.

To pomysł tyle groteskowy, ile jednak groźny. Lewacka inżyniera antysemity Marksa i pedofila Cohn-Bendita, Gramsciego i Timmermansa, Michnika Adama i Michnika Stefana opiera się na zniszczeniu instytucji, na których od dwóch tysięcy lat stoi Europa, dając cywilizację całemu światu: chrześcijaństwa, rodziny i państw narodowych. Jednym z narzędzi jest „regionalizacja", czyli wspieranie regionów wbrew władzom centralnym. By swego dobrodzieja i punkt odniesienia widziały w Brukseli, a nie w swych stolicach. A więc stopniowe rozrywanie jedności państw narodowych. Można sądzić, że właśnie powstaje plan „powstania samorządowców" przeciwko reżimowi irytująco skutecznego Jarkacza i szczególnie opornych Polaków. Jeśli jednak lewicowe Pomorze zechce się łączyć z lewicową Katalonią (a Lechia z Barceloną), tu granice eksperymentu się skończą. Bruksela wspierać będzie rozwalanie państwa tylko Polaków i Węgrów, bo dwaj straszni dyktatorzy w zastraszającym tempie przywracają w swych przewidzianych do podrzędności narodach poczucie godności i racji stanu. Przecież zarezerwowane dla übermenschów.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 33acfb3920

Wyzwolić nas!

Dzieje się. Historia nareszcie wtacza się w to koryto, które pracowicie usypują dla niej od dziesiątków lat macherzy od tzw. politycznej poprawności. Oto ze zdumieniem dowiedziałem się, że kanclerz Angela Merkel w trakcie obchodów 75. rocznicy D-Day mówiła o pełnym chwały wyzwalaniu „nas" od nazistów. Tym samym ulokowała Niemców wśród ofiar wojny, a nie agresorów. W tym samym czasie gdzieś, bodaj na Twitterze, zobaczyłem wpis Brytyjczyków i zdjęcie, na którym królowa angielska po kolei podaje dłoń „aliantom", a pośród owych sojuszników stoi… No kto stoi? Dobrze państwo zgadują – ta kanclerz kraju, który według niej musiał być w czasie wojny aliantem.

Teraz mam tylko prośbę. Niech się wezmą do roboty filmowcy zza Odry. I niech przygotują dobry remake „Szeregowca Ryana". Podsuwam pomysł na początkowe sceny… D-Day. Barka desantowa płynie do brzegu. W barce kilku młodych żołnierzy – Hans, Siergiej, Helmut i Giovanni. Helmut próbuje zapalić nerwowo papierosa. „Scheisse" – klnie. Hans kładzie mu rękę na ramieniu: „Helmut, już niedługo wyzwolimy Stuttgart i Norymbergę". Helmut patrzy ze smutkiem na brzeg i odpowiada: „Siedzą tam w bunkrach te nazisty okropne. Powiedz mi, Hans, skąd oni się wzięli?".

Siergiej podsuwa się do nich i, wzdychając, dopowiada: „Z Polski! To oni wszystko zaczęli". Giovanni dodaje: „O właśnie, oni. Za pomocą składnicy wojskowej na Westerplatte zaatakowali pancernik niemiecki stojący pokojowo przy nabrzeżu". Hans kiwa głową: „Tak, tak. Niby polska gościnność, a nasze niemieckie pociski witali betonem umocnień".

Barka zbliża się do brzegu. Niemcy zapinają paski pod swoimi charakterystycznymi hełmami. Z bunkrów lecą nazistowskie pociski. Niemcy dzielnie atakują nazistowskie umocnienia. Pojawia się Tom Hanks w mundurze Hauptsturmführera SS. Pyta Niemców: „Kto z was zna nazistowski? Musimy złapać »języka« i przesłuchać". Niemcy patrzą po sobie niepewnie. Hans odpowiada: „Panie kapitanie, niestety nazistowskiego nie znamy. Tylko niemiecki".

Hanks patrzy z zadumą w stronę bunkrów. „Trudno – mówi cicho – spróbujemy się dogadać na migi".

Tomasz Łysiak

Tegoroczne uroczystości z okazji 75. rocznicy lądowania 170 tys. żołnierzy aliantów na plażach Normandii. 6 czerwca 1944 r. uważany jest za początek końca hitlerowskich Niemiec

FOT. East News/AP Photo/Thibault Camus

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Przemoc na tle politycznym

Jan Pietrzak

Chyba nie lubi mnie pani Rusin. To jest bodajże dziennikarka, ale pewien nie jestem, bo niczego jej autorstwa nie czytałem. Przyznała ona „antynagrody" pani Zofii Klepackiej oraz – ku memu zdumieniu, jak mówią poniektórzy – „mojej osobie".

Wybitna mistrzyni windsurfingu podpadła za to, że powiedziała coś o homoseksualizmie jako wynaturzeniu. Ja „za sugerowanie przemocy na tle politycznym", ponieważ mówiłem o opozycji, że jest nowotworem, który trzeba wyciąć. Porównanie nowego tworu politycznego, jakim była KE, do nowotworu, w sensie literackim nie jest zbyt ambitne, żeby zaraz dostawać nagrodę! Zresztą minęło kilka dni i nowotwór sam się zaczął wycinać od środka. Przeszło stuletnie PSL postanowiło pójść do kolejnych wyborów własną ścieżką. Nie wiem, co ugrają, ale przynajmniej widać, że chłopaki coś zrozumieli. Natomiast totalny przywódca pozostaje przy złotej myśli, że ma pomysł na program, „tylko trzeba go znaleźć i wiedzieć, z kim szukać". PSL woli szukać bez Schetyny, co jest rozsądne, przy zastrzeżeniu, że nie jest wyłącznie trikiem marketingowym. Kosiniaki i Pawlaki twierdzą, że będą od teraz partią chrześcijańską, ludową, demokratyczną i narodową. Dużo przymiotników, żeby zamazać złe wrażenie po porażce spowodowanej przyłączeniem do ideologii „Legiebetu", jak mówią w opłotkach. Podobno tęczowa symbolika kojarzy się chłopom ze Spółdzielnią „Społem", a nie z seksualną rewolucją. W ludowej kulturze nigdy nie brakowało soczystych przyśpiewek na podniecające tematy. Pamiętam długą półkę z winylowymi płytami pod hasłem „Polish sex songs" w wielkim salonie płytowym na Manhattanie. Krępuję się przytoczyć tytuły utworów przy pani Rusin, taki hardkor.

Te dygresje zwodzą mnie na manowce... Tymczasem minął 4 czerwca i rozlała się fala wspomnień. Nieśmiało przypomnę, że przez całą kampanię jeździłem z kandydatami Solidarności i co ja robiłem, proszę pani? Namawiałem kpiną, drwiną i piosenką „do przemocy na tle politycznym", czyli do skreślania kandydatów PRL z Sejmu i Senatu! Częściowo się udało. Jednak po 30 latach okazuje się, że to never ending story... I to trzyma mnie przy życiu!

Z Aidą do Egiptu i Romy

Z wokalistką Zofią Nowakowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Tomasz Zukowski/East News

Jakiego asa ma pani w rękawie?

Zofia Nowakowska: Teraz – Amneris, córkę Faraona, z musicalu „Aida" (z muzyką Eltona Johna i tekstami piosenek napisanymi przez Tima Rice'a), który polską prapremierę będzie miał 26 października w Teatrze Muzycznym „Roma". Zaśpiewam na tej scenie m.in. utwór „W rękawie as". Dla Amneris, wielbicielki mody, tym asem są stroje.

Cieszę się ogromnie, że będę grać tę postać. Jej uroda zawiera się w różnorodności. To zarazem postać liryczna i dynamiczna, tragiczna i pełna humoru. Daje możliwość rozwinięcia pełnego wachlarza, zarówno aktorskiego, jak i wokalnego.

W musicalu „Mamma Mia!" Sophie przypływała na grecką wyspę, teraz Amneris zabiera panią do Egiptu. To dobry kierunek?

Często żartuję, że powinnam się urodzić w jakimś ciepłym kraju, bo w podobnych okolicznościach czuję się najlepiej. Jeśli tylko jest możliwość, wyruszam pod palmy. Można więc powiedzieć, że także pod względem miejsca akcji dotychczasowe tytuły Romy mi sprzyjają. Tylko w „Pilotach" było trochę chłodniej, ale temperaturę podnosiła pełna dramaturgii akcja. Za sprawą mojej bohaterki Niny pojawiło się wiele wzruszeń. Postać Amneris wniesie więcej humoru.

Będzie w tym roku szansa na wakacje?

Próby „Aidy" potrwają do 15 lipca i rozpoczną się znów 19 sierpnia. Pomiędzy tymi datami zaplanowałam wyjazdy. I na egzotyczne plaże Zanzibaru, i do Hiszpanii, i do rodzinnego domu w Kościanie.

eprasa.pl 33acfb3920

BRONISŁAW WILDSTEIN

Stary, niewykształcony, ze wsi

Elity reprezentujące „młodych, wykształconych z wielkich miast" podjęły trud wyjaśnienia, dlaczego PiS zdominowało KE w wyborach do PE. Szalę głosowania przechylić miała „biomasa", ci przekupieni przez PiS programami społecznymi mieszkańcy wsi i osiedli, którzy nie rozumieją, co to liberalna demokracja ani praworządność, i dają głos każdemu, kto oferuje kasę. Na dodatek zostali ogłupieni przez media publiczne, o których, te same elity, twierdziły, że prawie nikt ich już nie śledzi. Kiedyś biadały nad słabym poziomem „uobywatelnienia" przejawiającym się w niskiej partycypacji wyborczej i twierdziły, że oddaje ona prymitywizm ich rodaków. Teraz, gdy zasadniczo się zwiększyła, tracą głowę. Nie zastanawiają się: czy aby lud nie wykazał się zdrowym rozsądkiem i nie głosował, dopóki wybory nie zaoferowały realnej alternatywy. Zamiast refleksji pojawił się popłoch i oburzenie. Jeśli biomasa nie głosuje na tego, kogo się jej wskazuje, lepiej aby została w domach.

Co sprytniejsi przedstawiciele establishmentu szybko się zorientowali, że mówienie wprost o tym, co sądzą o współobywatelach, nie jest zbyt roztropne, i zaczęli nawoływać, aby tego nie robić. Nie wzywają do przemyślenia klęski, apelują, aby swoich poglądów nie ujawniać.

Ja natomiast, jako stary, niewykształcony, ze wsi, chciałbym zastanowić się, dlaczego tak wielu Polaków zagłosowało na KE.

Do pewnego stopnia prawdą jest, że głosowali oni ogłupieni kampanią przeważającej liczby mediów i środowisk opiniotwórczych, które nie bawią się w analizy, ale uprawiają brutalną propagandę wymierzoną w obecną władzę. Ma ona wiele pięter. Od insynuacyjnych paszkwili książkowych nagłaśnianych potem przez media, kojarzących wszystko z wszystkim i dowodzących, że znajomość z rosyjskim agentem oznacza pracę dla niego, przez kompromitowanie premiera, który nie dość, że swoje, ale jeszcze adoptowane dzieci wychowuje, wielką aferę polegającą na tym, że spółka Srebrna chciała na swoim terenie wybudować wieżowce, po „operację pedofilia", która głosi, że za pedofilię w Kościele odpowiada prawica.

Zastanawiam się jednak ciągle: jak to możliwe, że największą liczbę głosów w Warszawie zdobył przedstawiciel nomenklatury PZPR, który w trakcie kampanii wyborczej przejechał na pasach staruszkę i, jak wszystko wskazuje, kombinował, aby sprawa nie wyszła na światło dzienne. Jak można obdarzać zaufaniem Różę Thun, która wydalenie z Polski umoczonej w aferach finansowych i powiązaną z Moskwą lobbystki przedstawiała za granicą jako zwalczanie krytyki przez PiS, a kiedy sprawa Fundacji Otwarty Dialog została ujawniona, tłumaczyła się, że nic o niej nie wiedziała. Jak można naznaczyć na, było nie było, odpowiedzialne stanowisko osobę, która twierdzi, że pojawienie się w Nowej Hucie 7 tys. (ponad 13 proc. ludności) muzułmańskich imigrantów zostałoby niezauważone?

Inna sprawa, że po triumfalnym wyborze jako prezydenta w Warszawie człowieka pochodzącego z układu, który odpowiada za wielką, pseudoprywatyzacyjną aferę i osłaniającej ją partii, niczemu dziwić się chyba nie należy. To tylko pojedyncze przykłady, a rzecz nie dotyczy wyłącznie stolicy, ale i innych dużych ośrodków w rodzaju Gdańska, Łodzi czy Poznania. Co powoduje owymi młodymi, wykształconymi z wielkich miast?

Owszem, niedojrzała młodość w mniejszym stopniu kieruje się rozumem i uznawanie jej za przejaw kompetencji świadczy jak najgorzej o czasach, w których to się dzieje. Wielkie miasta imponują, ale są także wylęgarnią wszelkiego typu patologii. A wykształcenie? Stać się może indoktrynacją, a więc swoim zaprzeczeniem.

Dla odpowiedzi na podstawowe pytanie przydatna będzie jednak analiza mentalności korporacyjnej. Mniej lub bardziej świadomie jej twórcy wzorują się na mechanizmach znanych z funkcjonowania sekt. Chodzi o budowę poczucia wyjątkowości i przynależność do wybranych. Zło projektuje się na zewnątrz. To ci, którzy nie rozumieją doskonałości korporacyjnego świata, odpowiadają za jego ułomności.

Podobnie wygląda inżynieria społeczna współczesnego Zachodu, a więc i III RP. Najważniejszym jej mechanizmem jest naznaczenie „czarnej bestii", kogoś, kto ponosi winę za wszystko, czego nie lubimy, i wytworzenie wobec niego warunkowego odruchu nienawiści. Integracja poprzez odrzucenie i negację działa najmocniej. Takie reakcje przeciw Kaczyńskiemu, PiS i prawicy udało się wytworzyć w opisywanej warstwie. Jeśli dodać do tego kombinację kompleksu niższości (wobec Zachodu) i wyższości (wobec rodaków), to zaczynamy rozumieć, dlaczego dla opisywanych ważne jest wyłącznie to, przeciw komu głosujemy, a racjonalne przesłanki przestają mieć jakiekolwiek znaczenie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. Damian Pankowiec/Shutterstock.com

Rosja

Zaklinanie rzeczywistości

Pod koniec maja notowania Władimira Putina gwałtownie skoczyły w górę. Skala wzrostu zaufania do prezydenta Rosji nie ma chyba precedensu w najnowszej historii: o ile miesiąc temu zaufanie do prezydenta deklarowało 31,7 proc. ankietowanych, o tyle w ciągu miesiąca skoczyło ono do ponad 72 proc.

Co takiego stało się w Rosji, że naród nagle zapałał bezbrzeżną miłością do swojego przywódcy? Czyżby Putin z dnia na dzień uzdrowił gospodarkę? Odniósł druzgocące zwycięstwo nad wrogą Ameryką? Wysłał skorumpowanych urzędników do obozów? Nic z tych rzeczy. Po prostu zmieniono metodologię prowadzenia badań społecznych.

Do tej pory zadawano ankietowanym pytania otwarte, czyli „komu z polityków pani/pan ufa?". Teraz zaczęto zadawać także pytania zamknięte, a zatem: „czy ufa pani/pan Władimirowi Putinowi?". Zadanie pytania wprost o zaufanie do prezydenta przyniosło spodziewane przez władzę pozytywne odpowiedzi.

Tymczasem zgodnie ze starą metodologią spadek się utrzymuje i na koniec maja zaufanie do Putina spadło do 30,5 proc.

Sondaże opinii publicznej mogą być ważną bronią w walce politycznej. Władimir Putin nigdy nie miał co do tego wątpliwości. Wielu pamięta o tym, że jedną z pierwszych decyzji Putina po objęciu prezydentury w 2000 r. było przejęcie kontroli nad wrogimi mu mediami należącymi do oligarchy Władimira Gusinskiego. Niewielu jednak słyszało o tym, że wkrótce po zmonopolizowaniu rynku medialnego (głównie telewizyjnego) ekipa rządząca na Kremlu przejęła także kierowany przez znanego socjologa Jurija Lewadę ośrodek badawczy WCIOM (Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej). Lewada założył potem, przed śmiercią w 2006 r., własne centrum (znane dziś jako Centrum Lewady), ale na mocy uchwalonych parę lat temu przepisów – jako ośrodek prywatny i finansowany częściowo ze źródeł zagranicznych – nie może ono prowadzić badań nastrojów politycznych. Pozostaje więc państwowy WCIOM, na którego metodologię można wpływać tak, aby przynosiła pożądane wyniki.

Zresztą nie chodzi tu tylko o notowania polityków. Na początku tego roku władzom bardzo nie spodobały się dane opublikowane przez Rosstat (odpowiednik polskiego GUS) wskazujące na stały spadek realnych dochodów ludności. Pod presją Kremla metodologię badań zmieniono i już w kwietniu, w kolejnym kwartalnym raporcie, okazało się, że zgodnie z zeszłorocznymi zapowiedziami prezydenta Putina dochody wzrosły.

Kreml wie, że zaklinanie rzeczywistości nie zastąpi realnych działań. Jednak na razie nie ma chyba planu, jak wybrnąć z niekorzystnej sytuacji.

Konrad Kołodziejski

USA

Twitterowa dyplomacja

„Jesteśmy przekonani, że Meksyk może i będzie działać szybko, aby pomóc Stanom Zjednoczonym zatrzymać ten długoterminowy, niebezpieczny i niesprawiedliwy problem" – napisał na Twitterze amerykański prezydent. A następnie dodał, że wprowadza cła na produkty z Meksyku. Jeżeli Meksyk nie podejmie działań powstrzymujących masową imigrację do USA, to cła będą rosły – do 10 proc. w lipcu, 15 proc. w sierpniu, 20 proc. we wrześniu i 25 proc. w październiku.

Groźba chyba zrobiła wrażenie. „Meksyk chce zaostrzyć stosowane przez siebie środki w celu ograniczenia liczby imigrantów z Ameryki Środkowej, którzy przekraczają granice USA" – oświadczył w odpowiedzi wiceszef meksykańskiego MSZ Jesús Seade. Mają się też odbyć spotkania władz obu krajów w celu wypracowania lepszych metod kontroli emigracji. Zniesienie ceł na stal i aluminium z Meksyku było częścią renegocjacji umowy o wolnym handlu (NAFTA) z Kanadą i Meksykiem, którą Trump w swojej kampanii wyborczej ostro krytykował.

Niezależnie od tego, jak przebiegną negocjacje między USA a Meksykiem, posunięcie Trumpa pokazuje, jak zdumiewająco działają jego metody prowadzenia polityki zagranicznej. Wyobrażacie sobie tak ostentacyjny szantaż wobec sąsiadów za czasów prezydentury Baracka Obamy? Jemu ręce spętałaby poprawność polityczna niepozwalająca kwestionować imigracji. Jednak nawet George W. Bush i zanurzeni w bezpiecznym mainstreamie waszyngtońskiej polityki republikanie obawialiby się tak brutalnie i otwarcie zagrozić swojemu gospodarczemu sojusznikowi. Także teraz wśród republikanów nie brakuje głosów krytycznych. Jeden z ekonomicznych doradców Trumpa Robert Lighthizer zakwestionował zasadność łączenia problemu imigracji z cłami na meksykańskie towary.

Trump przyzwyczaił jednak świat, że jemu wolno znacznie więcej. W tym szaleństwie jest bowiem metoda. Jeden tweet spowodował już wielki zamęt, co tworzy odpowiedni dla Trumpa klimat negocjacji. W końcu zamiast obniżyć temperaturę sporu, Trump dał jeszcze takiego tweeta: „Meksyk przez dekady zarabiał FORTUNĘ na Stanach Zjednoczonych i może łatwo naprawić problem". Naprawi?

Łukasz Adamski

eprasa.pl 33acfb3920

Niemcy

Sabotaż czy awaria?

Airbus, którym niemiecka kanclerz Angela Merkel leciała minionego listopada na szczyt G20 do Buenos Aires, musiał krótko po starcie z Berlina awaryjnie lądować w Kolonii. Wysiadło radio, załoga z kontrolerami porozumiewała się przez telefon satelitarny. Po tej dość poważnej awarii samolotu należącego do rządowej floty RFN nastąpiły kolejne, bardzo podobne.

Jak twierdzi spółka Lufthansa Technik, która serwisuje maszyny, wszystkie awarie miały podłoże techniczne, w łonie samego rządu

jednak – jak twierdzi dziennik „Rheinische Post" – pojawiły się spekulacje, czy nie chodzi w tych przypadkach o sabotaż lub cyberataki. Pięć awarii rządowych samolotów w ciągu zaledwie kilku miesięcy jest – zdaniem Berlina – „podejrzane". „Częstotliwość i okoliczności tych incydentów wywołują nieufność w Urzędzie Kanclerskim, Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w samej Bundeswehrze" – dowiedziała się gazeta z kręgów rządowych. Szef MSZ Heiko Maas oraz prezydent Frank-Walter Steinmeier ze względu na niesprawne samoloty rządowe musieli odwoływać swoje loty, szukać alternatywnych możliwości transportu lub docierali do celu z opóźnieniem. Berlin nie wskazał, kto może być odpowiedzialny za sabotaż. Jednak w domyśle jest to Rosja.

Niemieckie media przypomniały przy tej okazji o „długiej serii awarii w Bundeswehrze", które z sabotażem nie mają nic wspólnego. Bardzo wiele za to z „coraz niższą jakością" sprzętu produkowanego przez niemiecki przemysł zbrojeniowy. Z 97 dostarczonych niemieckiej armii w 2017 r. systemów zbrojeniowych działa dziś zaledwie 38, z 71 czołgów Puma tylko 27 nadaje się do użytku, a „jakość samolotów transportowych A400M pozostawia wiele do życzenia". A400M zepsuł się podczas dziewiczego lotu do państw bałtyckich, z szefową MON Ursulą von der Leyen na pokładzie. Piloci Bundeswehry muszą zaś trenować na helikopterach służb ratowniczych – jak pisze tygodnik „Die Zeit" – bo z siedmiu szturmowych maszyn Tiger latają zaledwie dwie, a z siedmiu helikopterów transportowych typu NH90 tylko cztery.

Nie lepiej jest w marynarce wojennej. Podczas ćwiczeń w maju tego roku łódź podwodna typu U36 ugrzęzła na mieliźnie. Problemy sprawiała także nowa niemiecka fregata ekspedycyjna typu F125. Fregata po załadowaniu uzbrojenia niebezpiecznie się przechylała na prawą burtę, co groziło zatonięciem. Bundeswehra zwróciła więc fregatę producentowi i w rezultacie jej odbiór opóźnił się o dwa lata.

Eksperci wątpią w sabotaż. Przyczyn serii awarii i problemów szukają raczej w „wieloletnich, nadmiernych oszczędnościach budżetowych".

Aleksandra Rybińska

Fot. InsectWorld / Shutterstock.com

Indie

Pełzająca szafranizacja

Miażdżące zwycięstwo Indyjskiej Partii Ludowej (BJP) w wyborach parlamentarnych wzbudza niepokój 2,3-procentowej mniejszości chrześcijańskiej w Indiach. Od kiedy nacjonalistyczne ugrupowanie premiera Narendry Modiego zdobyło w 2014 r. władzę, po kraju rozlała się fala szykan i represji wymierzonych w mniejszości religijne, w tym w wyznawców Chrystusa. Głoszona przez władze ideologia hindutwy ze swoim hasłem „Indie dla Hindusów" zdobywa bowiem coraz większą popularność, przy czym skierowana jest głównie do wyznawców hinduizmu. Wszyscy pozostali traktowani są jak nie-Hindusi, a więc nie tylko jako obywatele drugiej kategorii, lecz wręcz jako ludzie gorszego gatunku. Obecnie stają się oni ofiarami pełzającej szafranizacji. Słowo pochodzi od szafiru – taką barwę ma bowiem kaszaja, czyli szata noszona przez mędrców zwanych sanjassinami. Zdaniem tamtejszych chrześcijan szafranizacja to nic innego jak hinduska odmiana muzułmańskiego szariatu.

Kampania wyborcza Modiego oparta była na agresywnym nacjonalizmie i znaczona wieloma antychrześcijańskimi wystąpieniami. Przykładem mogą być choćby wydarzenia w stanie Chhattisgarh, gdzie 300 hinduistycznych ekstremistów próbowało siłą zmusić do wyrzeczenia się wiary w Jezusa mieszkańców wioski Bodiguda. Gdy chrześcijanie odmówili, ich rodziny zostały pobite, a domy ograbione i zniszczone. Policja umyła ręce.

W Indiach, które zamieszkuje aż 1,3 mld ludzi, chrześcijan jest „tylko" 28 mln. Ich znaczenie jest jednak większe, niż wynikałoby to z liczebności, ponieważ prowadzą wiele dobrze wyposażonych szkół, szpitali oraz ośrodków opieki. Zapowiedź Modiego, iż zamierza zablokować finansowanie z zagranicy wszystkich organizacji dobroczynnych i pomocowych, budzi więc obawy. Może to doprowadzić do zamknięcia wielu szkół, przedszkoli, klinik czy leprozoriów.

Daleko odeszły dzisiejsze Indie od ideałów swego ojca założyciela Mahatmy Gandhiego. Dziś w rankingu Open Doors zajmują 10. miejsce na liście krajów, w których najmocniej łamana jest wolność religijna.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 33acfb3920

OGNIEM NA WPROST

Mało kolorowy Czarnobyl

Przodownik w zabijaniu nienarodzonych dzieci – Szpital Kliniczny im. prof. W. Orłowskiego w Warszawie – w 2019 r. (dotychczas) nie wykonał żadnej aborcji. Podaję statystykę z ostatnich czterech lat: 123 aborcje w 2015 r., 119 – w 2016 r., 88 – w 2017 r., 29 – w 2018 r. Wielką zasługę w walce o ludzkie życie w tej placówce poniosła Fundacja „Prawo do życia". Jeden z jej samochodów marki Żuk, oblepiony materiałami informacyjnymi o tym, jakim okrutnym zabiegiem jest aborcja, parkował bez przerwy od czerwca 2017 r. pod głównym wejściem do szpitala. Dzięki temu wszyscy pacjenci, którzy przez ten czas wchodzili do środka, mogli się zastanowić nad dokonaniem wyboru. Niewątpliwie wpływ na zredukowanie liczby wykonywanych zabiegów miało również wprowadzenie procedur wewnętrznych przez nowego ordynatora oddziału ginekologicznego edukujących matki pacjentki. I tak się to robi w Warszawie. Prof. Środzie et consortes pozostaje tylko pozgrzytać zębami.

„Jedno trzeba powiedzieć – Donald Tusk zrobił wyraźny krok w kierunku powrotu do polskiej polityki. Pytanie, czy jako lider jakiejś »wielkiej koalicji«, czy jako jej patron »ponad podziałami«" – obwieścił Kazimierz Sowa, człowiek nazywany w mediach księdzem. „Przemówienie ciekawe, mocne (a miejscami dla jego przeciwników boleśnie złośliwe) i z wyraźnym pozytywnym przesłaniem! Po tygodniu smuty jest jakaś nadzieja" – dodał. À propos nadziei, to jak wiadomo ona umiera ostatnia. Tak czy inaczej wreszcie sytuacja ks. Sowy jako kapłana stała się jasna. Wierzy w Donalda Tuska.

Po emisji serialu HBO o katastrofie czarnobylskiej w brytyjskiej telewizji podniósł się dziki wrzask. Fanatycy politpoprawności zarzucili filmowi kompletny brak kolorowych aktorów. Wrzawa, jaką sprawa ta – nagłośniona przez liczne media na świecie – wywołała, skłoniła pewnego Rosjanina do ujawnienia, że zwolennicy political corectness mieli jednak trochę racji. Jak podaje ukraiński portal thebabel.net, wśród sowieckich likwidatorów skutków katastrofy nuklearnej znalazł się bowiem jeden czarnoskóry żołnierz Armii Czerwonej. Gość nazywa się Igor Anatolijewicz Chirjak. W 1985 r. został on powołany do obowiązkowej służby wojskowej i brał udział w ewakuacji ludności cywilnej z obszaru dotkniętego skażeniem spowodowanym wybuchem elektrowni w Czarnobylu. Obecnie jest mieszkańcem wsi k. Czerepowca – miasta w północnej części Rosji, w obwodzie wołogdziańskim, ok. 500 km na północ od Moskwy. Nosi dredy i nadal ma medal oraz list z podziękowaniami za „wzorowe spełnienie obowiązku wobec Ojczyzny". Choć raz politpoprawni do czegoś się przydali.

Ale żeby nie było tak różowo, to w Kanadzie tropiciele grzechów zdroworozsądkowego odłamu obywateli przyczepili się tym razem do gry w dwa ognie. Co gorsza, krytyczne tezy wobec tej dziecięcej zabawy formułują sami naukowcy z kraju klonowego liścia, obradujący od 1 do 7 czerwca w Vancouver na dorocznym Kongresie Nauk Humanistycznych i Społecznych. Te tęgie głowy doszły do wniosku, że gra w dwa ognie, która polega na wzajemnym zbijaniu się, tzn. na uderzaniu piłką w osoby będące w drużynie przeciwnej, jest narzędziem ucisku i jest całkowicie nieprzydatna dla rozwoju uprzejmych i łagodnych dzieci, które staną się w przyszłości „przyzwoitymi obywatelami liberalnej demokracji". Jednocześnie uznali, że negatywne wyróżnianie jednego uczestnika, często najwolniejszego dziecka, jest „nieludzkie". To właśnie tacy „naukowcy" przeforsowali w 1973 r. podczas Kongresu Psychiatrów USA przy braku kworum, że homoseksualizm nie jest chorobą.

Minęła hucznie obchodzona 75. rocznica operacji „Overlord" – lądowania aliantów w Normandii. W przededniu w Portsmouth zebrali się weterani oraz przywódcy krajów, które brały udział w walkach. Co zaskakujące, przyjechała też kanclerz Niemiec Angela Merkel. Po co? Świętować łomot, jaki dostały Wehrmacht i oddziały Waffen SS? Cel wizyty był inny. Przybyła, by wypowiedzieć znamienne słowa. „Ta niezwykła wojskowa operacja wyzwoliła nas od nazistów" – stwierdziła ze śmiertelną powagą. Pani kanclerz nie raczyła wyjaśnić, skąd się owi naziści wzięli. Zapewne z kosmosu, ponieważ jest rzeczą niemożliwą, żeby wybrał ich naród niemiecki w demokratycznych wyborach. Nie ma to jak uwierzyć we własną propagandę. Z drugiej strony mało to u nas takich, co biegają w koszulkach z napisem „Konstytucja"?

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33acfb3920

Dziadek na macierzyńskim

Marta Kaczyńska-Zielińska

Z inicjatywy prezydenta, do której przychylił się parlament, w ciągu kilku najbliższych miesięcy zaczną obowiązywać nowe przepisy odnoszące się do uprawnień rodzicielskich, mobbingu, wydawania świadectw pracy i przedawnienia roszczeń ze stosunku pracy.

Dziadkowie, ciocie lub inni członkowie najbliższej rodziny matki lub ojca w określonych przypadkach będą mogli skorzystać z urlopu macierzyńskiego lub rodzicielskiego. Krewni będą mogli się zająć dzieckiem, gdy pracownica lub ubezpieczona umrze lub porzuci dziecko. Prawo do korzystania z uprawnień rodzicielskich obejmie pracowników stanowiących najbliższą rodzinę matki, która legitymować się będzie orzeczeniem o niezdolności do samodzielnej egzystencji. W razie hospitalizacji matki lub konieczności przebywania przez nią w innym zakładzie leczniczym ze względu na stan zdrowia uniemożliwiający jej sprawowanie osobistej opieki nad dzieckiem także będzie możliwe skorzystanie przez krewnych z urlopu macierzyńskiego lub rodzicielskiego. Pracodawca zasadniczo nie będzie zaś mógł wypowiedzieć ani rozwiązać umowy o pracę w okresie korzystania ze wspomnianego urlopu przez innego członka najbliższej rodziny. Wyjątek stanowić będzie zaistnienie okoliczności uzasadniających rozwiązanie umowy bez wypowiedzenia z winy pracownika i uzyskanie przez pracodawcę od zakładowej organizacji związkowej zgody na ustanie stosunku pracy. Od jesieni łatwiej będzie zatem w krytycznych sytuacjach wspierać się w opiece nad małymi dziećmi w rodzinnym kręgu, bez konieczności poszukiwania pomocy u osób trzecich.

Pracownicy objęci zostaną także szerszą ochroną przed mobbingiem. Zmiana przepisów dla niewprawionego oka może być niezauważalna, ale będzie znacząca. Zgodnie z nowymi przepisami każde nieuzasadnione obiektywnymi przyczynami nierówne traktowanie będzie uznawane za dyskryminację. Do tej pory pod kodeksowym pojęciem mobbingu uwzględniano jedynie gorszą sytuację pracownika powodowaną jego cechą osobistą lub właściwością niezwiązaną z wykonywaną pracą, zatrudnieniem na czas określony lub nieokreślony albo w niepełnym lub pełnym wymiarze czasu pracy. Poza rozszerzeniem zakresu zdarzeń, które mogą zostać uznane za mobbing, pracownicy zyskają także prawo do występowania z roszczeniami o odszkodowanie za odmienne traktowanie, nawet jeżeli nie zdecydują się na odejście od mobbingującego pracodawcy. Oznacza to, że pracownik, dążąc do naprawienia szkody wyrządzonej mu przez mobbera, nie będzie zmuszony odchodzić z pracy, co znacznie wzmocni jego pozycję.

Łatwiej będzie także załatwiać formalności związane ze zmianą miejsca zatrudnienia. Pracodawca będzie musiał wydać pracownikowi świadectwo pracy w dniu, w którym nastąpi ustanie stosunku pracy, a nie „niezwłocznie", co nierzadko oznaczało konieczność dłuższego oczekiwania. Do dwóch tygodni wydłużony zostanie termin wystąpienia z roszczeniem o sprostowanie świadectwa pracy lub wystąpienia do sądu pracy. Pracownik, który nie uzyska świadectwa pracy, będzie mógł skierować do sądu pozew o zobowiązanie pracodawcy do wydania świadectwa pracy, a gdy skorzystanie z opisanej instytucji z jakichś przyczyn nie będzie możliwe albo okaże się, że zakład pracy przestał istnieć, to przepisy będą przewidywać rozwiązanie w formie powództwa o ustalenie uprawnienia do otrzymania świadectwa pracy.

Najnowsza nowelizacja przepisów Kodeksu pracy utrzymana jest w duchu poglądów prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który zarówno w swojej działalności naukowej, opozycyjnej, jak i państwowej opowiadał się za zrównoważonym rozwojem. Za jego warunek uważał w szczególności zwiększenie poczucia bezpieczeństwa pracowników, zapewnienie trwałości stosunków pracy, a wszystko to w ramach równoważenia interesów pomiędzy różnymi grupami społecznymi.

REKLAMA

RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

45/0519/F

eprasa.pl 33acfb3920

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Przejść przez tęczę

Mieszkańcy Boystown w dzielnicy Lakeview w Chicago będą chodzić po tęczach. „Czternaście przejść dla pieszych reprezentujących środowiska LGBT zostanie zainstalowanych wzdłuż Halsted Street, pomiędzy Bradley Place i Melrose Avenue. Trzynaście z nich będzie przedstawiało kolory tęczy, podczas gdy już ukończone przejście na Melrose jest różowo-biało-niebieskie – reprezentując kolory flagi transpłciowej" – czytamy na portalu www.infolinia.com. Rejon ten jest znany m.in. jako centrum Chicago Pride Parade, która tego lata obchodzić będzie swoje 50-lecie. Wszystkie przejścia dla pieszych mają być ukończone przed Pride Fest, który odbędzie się 22–23 czerwca. W końcu chicagowskie Boystown uzyskało kilka lat temu tytuł najlepszej na świecie dzielnicy gejowskiej. Palmę pierwszeństwa przyznała witryna turystyczna OutTraveler.com, uznając wyższość Boystown nad tak słynnymi dzielnicami, jak Mission District w San Francisco, Chelsea w Nowym Jorku oraz nad osiedlami gejowskimi w Barcelonie i Madrycie. A taki tytuł zobowiązuje!

71 proc.

– tyle procent pensji brutto po odjęciu wszystkich obowiązkowych podatków i składek otrzymywał polski pracownik w zeszłym roku na konto, wynika z raportu PwC „Praca w Unii Europejskiej – podatki i składki".

17. miejsce

– taką pozycję zajmuje Polska w zestawieniu krajów Unii Europejskiej pod względem wynagrodzenia, jakie zostaje w portfelu pracownika po opłaceniu podatków i składek.

91 proc.

– taka część wynagrodzenia brutto zostaje w portfelu mieszkańców Cypru po opłaceniu podatków i składek.

Miss lesbijek

Za to w Poznaniu odbędą się w lipcu pierwsze w historii ogólnopolskie wybory najpiękniejszej lesbijki. Organizacji podjął się klub Punto. „Postanowiliśmy zorganizować to wydarzenie, bo w środowisku LGBT jest zaskakująco mało imprez dla lesbijek. A powinno być w nim miejsce dla każdego" – tłumaczył rp.pl Marek Mazankiewicz, event manager z poznańskiego klubu. Podobno wygląd ma tylko w 40 proc. wpływać na ocenę, reszta to wiedza na temat środowiska LGBT. Uff. Całe szczęście, że Poznań nie pozostaje w tyle światowych trendów.

Dyskryminują białych

W Poznaniu, w wyborach miss lesbijek, nie mogą wziąć udziału heteroseksualistki, a w Wielkiej Brytanii biali heteroseksualiści mają pod górkę, jeśli chcą znaleźć pracę w policji. Brytyjski sąd orzekł, że dopuszczono się dyskryminacji względem 25-latka, który ubiegał się o pracę w policji, ponieważ był białym heteroseksualnym mężczyzną. Sprawę za „Daily Mail" opisuje portal superstacja.tv. Brytyjska policja od 2015 r. była krytykowana za to, że pracuje w niej zbyt mało czarnoskórych funkcjonariuszy, więc zaczęła ich w dużej liczbie rekrutować. Na fali tej polityki na posterunku w Cheshire odrzucono podanie 25-letniego Matthew Furlonga, który na swoje nieszczęście ani nie jest kolorowy, ani nie jest homoseksualistą. W rekrutacji wzięły udział 182 osoby. 34 białych heteroseksualnych mężczyzn zostało odrzuconych, przyjęto za to wszystkich czarnoskórych kandydatów. Takie czasy, że z rasizmem i dyskryminacją muszą walczyć biali heterycy.

eprasa.pl 33acfb3920

Zacofany Teksas

Za nowoczesnością zupełnie za to nie nadąża stan Teksas. W tym stanie odrzucono możliwość zniesienia „zakazu zachowań homoseksualnych", który w kodeksie karnym jest obecny od 16 lat. Według prawa stanu Teksas odbywanie stosunków seksualnych z osobą tej samej płci oraz publiczne obnoszenie się z homoseksualizmem jest karane grzywną w wysokości nawet 500 dol. „Podczas sesji ustawodawców demokraci próbowali przekonać republikanów do zmiany prawa, odwołując się do orzecznictwa Sądu Najwyższego sprzed 16 lat, który w konkretnym przypadku uchylił prawo antysodomii. Sprawa tyczyła się mieszkających z sobą dwóch homoseksualistów, których oskarżył miejscowy zastępca szeryfa. Republikanie, mimo ogromnych nacisków ze strony lewicowych polityków, Sądu Najwyższego i organizacji LGBT, okazali się nieugięci i nie zgodzili się na narzucane korekty w kodeksie karnym, a w statucie stanowym wciąż widnieje zapis: »małżeństwo lub związek partnerski między osobami tej samej płci są sprzeczne z polityką społeczną tego stanu i są w tym stanie nieważne«" – czytamy na prawy.pl. Istne średniowiecze!

> Ja przestrzegałem, że jak przegrają i wygra PiS, to wszystko się skończy wojną domową. Na ile krwawą, tego nie wiem. Chciałbym tego uniknąć, przestrzegam, bierzmy się do roboty, a szczególnie do dyskusji, by wydyskutować mądre rozwiązania" – stwierdził w „GW" Lech Wałęsa. Najpierw będzie wojna domowa, a potem zlikwidują nas kosmici czy na odwrót? Bo się gubię.

Demonstracje surowo zabronione

Przed szkołą podstawową Mission District w San Francisco przez kilka tygodni odbywały się protesty przeciw wprowadzeniu do szkół programu „No Outsiders", w ramach którego dzieci uczą się o równości osób LGBT i przeciwstawianiu się homofobii. Protestowała grupa rodziców, głównie muzułmanów. Sąd, na wniosek rady miasta Birmingham, zakazał dalszych demonstracji. O sprawie informuje m.in. portal rp.pl. Trzeba do Birmingham wysłać bojówki KOD, by ratowały resztki brytyjskiej demokracji.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Na początku była homofobia...

Dominik Zdort

Czy homoseksualiści – jak uważa mistrzyni świata Zofia Klepacka – są „wynaturzeni"? Spróbujmy do sprawy podejść na chłodno. Słownik Języka Polskiego mówi, że wynaturzenie to rzecz, fakt lub zjawisko odbiegające od normy lub niezgodne z naturą. A więc użycie tego słowa dla określenia gejów wydaje się prawidłowe. A hałas, który wywołał komentarz olimpijki dotyczący LGBT, jest przesadny.

Jeszcze bardziej przesadne – i absurdalne – są komentarze do wypowiedzi Klepackiej. „Powiedzcie głośno STOP, bo nie chcemy skończyć w faszystowskiej Polsce" – napisała egzaltowana dziennikarka. „Od nienawiści do osób homoseksualnych zaczął się kiedyś Holokaust" – dorzucił jakiś bloger.

Autorom powyższych stwierdzeń radziłbym więcej powściągliwości, bo mogą zaszkodzić sprawie, o którą walczą. Stosunek niemieckiego nazizmu do homoseksualizmu bowiem był, delikatnie mówiąc, ambiwalentny.

Oczywiście hitlerowcy od pewnego momentu egzekwowali par. 175 pozwalający na karanie homoseksualistów, ale to nie był ich wymysł – w niemieckim prawie przepis był obecny już u schyłku XIX w. Taka była wówczas cywilizacyjna norma – za zachowania homoseksualne wsadzano do więzień w wielu państwach jeszcze długo po wojnie.

Kwestię LGBT z nazizmem można jednak skojarzyć w zupełnie inny sposób. Otóż wśród twórców NSDAP była silna grupa gejów wyznających homoerotyczny kult antycznych bojowników. Najbardziej znany był Ernst Röhm, szef SA (oddziału szturmowego partii), i jeden z nielicznych, którzy z Führerem byli na ty.

Gdy konkurenci usiłowali kompromitować Röhma w oczach wodza, pokazując mu dowody na aktywność homoseksualną szefa SA, Hitler odpowiadał, że to prywatna sprawa jego współpracownika. Ostatecznie Röhm został zamordowany, ale nie jako gej, lecz domniemany przywódca puczu przeciw Führerowi.

Problem „wynaturzenia" dotyczył nie tylko szefa SA, ale też sporej grupy jego towarzyszy oraz innych prominentnych nazistów (warto zerknąć do dokumentalnej książki Scotta Lively'ego i Kevina Abramsa „Różowa swastyka", ale też do powieści „Łaskawe" Jonathana Littella). Oczywiście nie wolno zapominać, że „zwyczajni" homoseksualiści byli karani w nazistowskich Niemczech więzieniem czy wysyłką do obozów koncentracyjnych. Jednak sugerowanie, że u zarania faszyzmu była homofobia i twierdzenie, że Holokaust zaczął się od prześladowania gejów, to, delikatnie mówiąc, bzdura.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 33acfb3920

Jama michalikowa

Piotr Cywiński

Źle się dzieje w państwie Jarosława I! Eliza Michalik straciła robotę w Superstacji. Zdjęto jej programy, ponoć nikt nie chciał ich oglądać, ona sama chciała jednak nadal występować, więc w proteście rzuciła papierami – doniósł „Fakt". Jak można było tak potraktować tę oddaną „znaną dziennikarkę" z krzewienia świadomości wśród narodu, kim/czym jest prezes i cała ta jego partia, której nazwę tak dzielnie, mimo odruchu wymiotnego, wymieniała w swych programach?

A zaangażowana była i doświadczona jak mało kto. I w „Ozonie", popierającym Kościół w casusach aborcji, eutanazji i homomałżeństw, i w przykościelnym „Gościu Niedzielnym", i w „Gazecie Polskiej", i w Salonie.24.pl..., a że w tym zaangażowaniu nie starczało jej czasu na research, więc sięgała do cudzych tekstów, co jednak nie spotkało się ze zrozumieniem ich autorów... Na bezrobociu przemyślała, czego w życiu chce, wyznała, że nie lubi Kościoła ani PiS, że nikt nie będzie przed nią „machał katolicyzmem jak cepem", za to lubi seks. I chwyciło, nawet „Gazeta Wyborcza" udostępniła jej łamy, gdzie bez skrępowania mogła wyłuszczać, co myśli o tych „populistach, tchórzach i karierowiczach, nieudolnie przysłaniających oportunizm i żądzę władzy listkiem z parodii patriotyzmu i katolicyzmu, leniach, kłamcach, pozorantach, krzykaczach bez dokonań i ogłady, fanatykach, szaleńcach, przemocowcach i arogantach", o tej „PiS-owskiej operacji pozbawiania Polski wolności", którą „jak zarazę chcą wytępić", i rozniecała nadzieję: „Prawda jest taka, że nasz rozwój, nasza odwaga i wolność w końcu unicestwią PiS".

A tu masz, odważna babo, placek, unicestwili wolną Elizę w tej sprzedajnej Superstacji, zamknęli jamę michalikową, z nową, świecką tradycją w występach kabaretowych bez wypieków. A miała hiciory, jak np. ten o Czerwonym Kapturku/Matce Boskiej, „postaci anegdotycznej", która znaczy coś jedynie dla „pewnego wycinka obywateli", „kobiecie, która urodziła syna jako dziewica po tym, jak w nocy przyśnił jej się jakiś facet, czyli Bóg – w sumie to nie wiadomo nawet, czy to był facet, ale ktoś stwierdził, że ją zapłodnił" – snuła zapłodniona twórczo Michalik na ekranie. Ale to już przeszłość. Dramat!

Może teraz prezydent Krakowa wręczy chociaż pani Elizie medal za „Mądrość Obywatelską", jak Krystynie Jandzie, która też cierpi i – co wyznała w Radiu Zet – „czuje się tak, jakby ktoś na mnie [znaczy na nią – dopisek mój] srał cały czas". Oj, źle się dzieje w państwie Jarosława I...

GORĄCE PYTANIA
W POLSCE PL
OGLĄDAJ NAS:
CYFROWY POLSAT NA POZYCJI 196
upc NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon
orange NA POZYCJI 32
NETIA NA POZYCJI 192
VECTRA NA POZYCJI 825

Fot. PAP/Adam Warżawa

Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz, jedna z sygnatariuszek deklaracji „21 tez samorządowych", którą 4 czerwca w Gdańsku podpisali związani z opozycją prezydenci miast. Powstała ona na podstawie koncepcji Fundacji Batorego

Plan likwidacji państwa

To nie będzie ewolucja, ale drastyczna rewolucja, która potężną władzę oddaje samorządowcom, a państwo sprowadza do roli niepotrzebnego elementu szerszej układanki. Finansowana przez George'a Sorosa Fundacja Batorego zaprezentowała program „21 punktów", który pod szczytnymi hasłami ukrywa szokującą wizję nowego rozbicia dzielnicowego państwa. Na podstawie tego projektu powstała deklaracja „21 tez samorządowych", którą 4 czerwca w Gdańsku podpisali związani z opozycją prezydenci miast

Autopromocja

eprasa.pl 33acfb3920

WOJCIECH BIEDROŃ

Poturbowana po wyborach do Parlamentu Europejskiego opozycja potrzebowała bodźca, ale wszyscy kolejni „uzdrawiacze" zawiedli. Donald Tusk nie miał nic do powiedzenia i sam był twarzą porażki Koalicji Europejskiej. Grzegorz Schetyna z triumfalnego architekta koalicji stał się walczącym o życie w skłóconej partii i gasnącej koalicji. Rozżaleni publicyści „salonu" szybko rzucili się do gardeł politykom PO, SLD i PSL. To był moment, w którym silne samorządy mogły rozpocząć walkę o łupy. Potrzebowały broni. Dostały ją od ludzi związanych z George'em Sorosem, ale marzenia o samodzielnych księstwach, które będą bastionami antypisowskiego establishmentu i same będą kreowały swoją politykę, pojawiły się już wcześniej. Tym razem zebrano je w całość.

„SAMORZĄDOWE PAŃSTWO DOBROBYTU"

Autorzy „21 propozycji" z Fundacji Batorego używają spokojnego języka, który ma uśpić obrońców integralności polskiego państwa. Większość postulatów można wręcz potraktować jako drobną korektę obecnego systemu. Diabeł tkwi jednak w szczegółach. Instrukcja Bartosza Kramka z lipca 2017 r. „Niech państwo stanie: wyłączmy rząd!" to przy planach decentralistów nieistotny wybryk. Za Kramkiem i Fundacją Otwarty Dialog nie stały bowiem najbogatsze polskie samorządy, które wspólnie mają wielkie wpływy, miliardy na promocję, a ich liderzy nie kryją politycznych ambicji.

„Projekt wzmacniania samorządu i pogłębiania decentralizacji na pierwszy rzut oka może być odczytywany jako wotum nieufności wobec państwa (rozumianego jako władza centralna) i manifestacja przekonania o prymacie samorządnej władzy lokalnej/regionalnej nad centralną władzą państwową. Widzimy to jednak zgoła inaczej: jako szansę na odbudowę skuteczniejszego i silniejszego państwa, które jest „odchudzone" pod względem zadań, ale też działa według odmiennej filozofii" – czytamy w projekcie decentralizacji Polski. I dalej: „Dziś obserwujemy państwo z dużą »nadwagą« i w stanie »przedzawałowym«. To państwo, które nie umie wyznaczyć sobie ambitnych,

Samorządna Rzeczpospolita
Gdańsk, 4 czerwca 2019

PREAMBUŁA

30 lat temu odbyły się w Polsce, pierwsze po II wojnie światowej, częściowo wolne wybory parlamentarne, a rok później rozpoczęła się budowa Polski samorządowej. Demokracja na szczeblu lokalnym zyskała realny wymiar.

*Niestety, w ostatnich latach obserwujemy działania mające na celu centralizację państwa i ograniczenie roli wspólnot lokalnych. Dlatego, reprezentując naszych mieszkańców, żądamy zapewnienia możliwości rozwoju naszych miast i gmin zgodnie z Konstytucją RP i Europejską **Kartą Samorządu Lokalnego**.*

*Przedstawiamy 21 tez, **które – po konsultacjach z mieszkańcami, sektorem pozarządowym i całym środowiskiem samorządowym – zaprezentujemy 31 sierpnia 2019 roku jako postulaty Samorządnej Rzeczpospolitej.** Na ich podstawie przygotujemy projekty ustaw, które złożymy pod obrady nowego parlamentu RP. Będziemy dążyć do tego, aby nasze miasta i gminy, w 2020 roku, 30 lat od pierwszych w pełni demokratycznych wyborów samorządowych, uzyskały prawodawstwo godne demokratycznej Polski w Europie.*

Chcemy Polski samorządnej i solidarnej, w której mieszkańcy sami decydują o losach swoich lokalnych wspólnot.

21 TEZ SAMORZĄDOWYCH

1. **Pełne prawo wspólnoty samorządowej do samodzielnego decydowania o całokształcie spraw lokalnych**
Samorządy terytorialne powinny mieć pełną samodzielność: prawną, organizacyjną i majątkową w zakresie realizacji zadań własnych we współpracy i konsultacji z mieszkańcami. Jedynym organem nadzoru dla samorządów w kwestiach lokalnych są mieszkańcy, którzy powinni być jak najszerzej włączeni w proces współdecydowania o sprawach małych ojczyzn.

2. **Budowa społeczności lokalnej solidarnej i otwartej, przeciwdziałanie wykluczeniom**
Równe prawa i opieka dla wszystkich mieszkańców, niezależnie od wieku, pochodzenia, rasy, światopoglądu, wyznania i orientacji. Zapewnienie szczególnej opieki dla osób z niepełnosprawnościami.

3. **Przekształcenie Senatu RP w Izbę Samorządową**
Przedstawiciele samorządu terytorialnego, samorządów zawodowych oraz organizacji pozarządowych powinni uzyskać reprezentację na szczeblu najwyższych władz państwowych i uczestniczyć aktywnie w tworzeniu regulacji prawnych. Należy znieść monopol partii politycznych w procesie stanowienia prawa w Polsce.

4. **Prawo społeczności lokalnej do decydowania o przyszłości swojej małej ojczyzny – zniesienie odgórnego ograniczenia kadencyjności**
Wspólnota lokalna powinna mieć pełne prawo, bez żadnych odgórnych ograniczeń, do udzielania mandatu zaufania osobom działającym na rzecz danej społeczności.

5. **Obowiązek konsultowania z przedstawicielami samorządu i społeczności lokalnej wszystkich projektów ustaw**
Projekty ustaw, szczególnie dotyczące zadań własnych jednostek samorządu terytorialnego, określonych w art. 166 Konstytucji RP, powinny podlegać obowiązkowej konsultacji ze zrzeszeniami samorządów jako przedstawicielami wspólnot lokalnych. Wyniki tych konsultacji winny być umieszczane w ocenie skutków regulacji każdego projektu ustawy dotyczącej wspólnot lokalnych. Brak uzgodnienia stanowi podstawę do wystąpienia do właściwego sądu.

6. **Zwiększenie nakładów na edukację, godne pensje nauczycieli**
Państwo powinno, zgodnie z art. 70 Konstytucji RP, zapewnić środki prawne, finansowe i organizacyjne, potrzebne do realizacji celów związanych z edukacją powszechną.

7. **Niezależna kultura angażująca społeczności lokalne**
Transparentne i apolityczne finansowanie przez państwo kultury aktywizującej społeczności lokalne.

eprasa.pl 33acfb3920

8. **Decentralizacja służby zdrowia**
Powierzenie decyzji i kontroli w sprawach ochrony zdrowia samorządom terytorialnym. Zmiana zasad finansowania służby zdrowia poprzez wprowadzenie systemu konkurencyjnych ubezpieczeń zdrowotnych.

9. **Skuteczna ochrona środowiska, walka ze smogiem**
Zwiększenie udziału gmin we wpływach z opłat z tytułu użytkowania środowiska natu ralnego. Pełny wpływ samorządu województwa na zarządzanie funduszami ochrony środowiska, przywrócenie gminnych funduszy. Przekazanie gminom realizacji programów adresowanych do mieszkańców (np. „Czyste powietrze").

10. **Ochrona krajobrazu i przestrzeni publicznej**
Centralne regulacje (m.in. lex developer czy lex Szyszko) dewastują przestrzeń publiczną w naszych miastach i gminach. Wsparcie prawne i finansowe dla samorządów w działaniach na rzecz zrównoważonego rozwoju przestrzennego.

11. **Rozwój budownictwa komunalnego i społecznego**
Narzędzia prawne i finansowe oraz realny wpływ społeczności lokalnej na politykę mieszkaniową, skierowaną do różnych grup społecznych, ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb młodych mieszkańców.

12. **Samodzielność samorządów w zakresie podatków lokalnych oraz działalności gospodarczej**
W celu realizacji zadań wskazanych przez mieszkańców, samorządy muszą mieć prawo do samodzielnego kształtowania polityki podatkowej, o czym stanowi art. 168 Konstytucji RP. Należy znieść maksymalne/minimalne stawki podatków lokalnych, narzucane samorządom ustawowo przez władze centralne.
Możliwość prowadzenia działalności gospodarczej przez samorządy i pozyskiwania środków na projekty ważne dla mieszkańców. Swoboda realizowania zadań gminy w formule in-house.

13. **Środki z budżetu państwa muszą być adekwatne do zakresu zadań realizowanych przez samorządy**
Nie zgadzamy się na zwiększanie zakresu zadań realizowanych przez samorządy przy jednoczesnym ograniczaniu wpływów z budżetu państwa, co jest niezgodne z art. 167 Konstytucji RP.

14. **Decentralizacja rozdziału funduszy unijnych**
Maksymalna decentralizacja funduszy UE. Transparentność rozdziału dotacji rozwojowych na podstawie czytelnych kryteriów oraz jawnych arkuszy oceny projektów.

15. **Przekazanie społecznościom lokalnym mienia publicznego**
Należy przekazać społecznościom lokalnym i regionalnym mienie publiczne, będące dziś w dyspozycji agencji państwowych. Majątek ten powinien stanowić bazę rozwoju potencjałów lokalnych i regionalnych.

16. **Swoboda tworzenia związków metropolitalnych i obszarów funkcjonalnych**
Uchwalenie ustaw metropolitalnych na wniosek i wg modelu wypracowanego lokalnie dla danych aglomeracji, w celu zwiększenia konkurencyjności w Europie. Dla mniejszych jednostek prawne regulacje współdziałania samorządów w obszarach funkcjonalnych (forma pośrednia między związkiem a stowarzyszeniem komunalnym).

17. **Likwidacja urzędu wojewody. Pozostawienie władzy centralnej nadzoru nad legalnością działania jednostek samorządu terytorialnego**
Przekazanie wszystkich zadań dotyczących spraw publicznych w regionie samorządowi województwa.

18. **Zwierzchność powiatów i samorządów wojewódzkich nad zespolonymi służbami**
Realny wpływ społeczności lokalnych i regionalnych na funkcjonowanie na ich terenie zespolonych służb, m.in.: straży pożarnej, sanepidu oraz nadzoru budowlanego.

19. **Odpolitycznienie mediów publicznych**
Przekazanie lokalnych ośrodków publicznego radia i telewizji społeczności regionalnej.

20. **Policja municypalna**
Przekazanie mieszkańcom wpływu na prewencję i bezpieczeństwo w ich lokalnych społecznościach.

21. **Przywrócenie służby cywilnej**
Obowiązek konkursu na wszystkie stanowiska urzędnicze w państwie. Profesjonalna i apolityczna kadra urzędnicza, przywrócenie rangi Szkoły Administracji Publicznej.

Bardzo prosimy o Państwa uwagi i komentarze na adres: **21tez@2019gdansk.pl**

ale wykonalnych wizji rozwojowych, a jednocześnie traci mnóstwo zasobów i energii na centralne regulowanie spraw z poziomu »mikro«. To państwo niezdolne do wypracowania koncepcji transformacji energetycznej czy koncepcji reformy systemu emerytalnego, a jednocześnie zajmujące się dziś rozdzielaniem dotacji na remonty dróg lokalnych czy nadzorem nad kołami gospodyń wiejskich. (...) Polska samorządów to projekt dokończenia samorządowej rewolucji i jej zwieńczenie w zdecentralizowanym samorządowym państwie dobrobytu, polegającym na współpracy samorządu lokalnego i władz centralnych oraz samoorganizującego się społeczeństwa obywatelskiego i sektora prywatnego".

POSTULATY DECENTRALISTÓW

Czego żądają decentraliści? Najważniejszą kwestią jest demontaż państwa centralnego i rozpad jego konstytucyjnych instytucji. Senat zamieni się w instytucję, w której zasiadać mają marszałkowie regionalni. Znikną wojewodowie, którzy wciąż mają, wprawdzie niewielki, ale jednak wpływ i kontrolę nad gminami. Samorządy domagają się też swojej policji, która nie będzie podlegać Komendantowi Głównemu Policji. To niebezpieczna propozycja. Posiadanie własnej uzbrojonej formacji może być pokusą do inwigilacji obywateli oraz do skuteczniejszego zamiatania pod dywan kolejnych afer związanych z samorządem. Kolejnym punktem i żądaniem zbuntowanych samorządów jest własna oświata, która nie ma nic wspólnego z ministerialnym programem nauczania. Zlikwidowane mają być kuratoria oświaty. Łatwo się domyślić, komu będzie służyła ta koncepcja. W szkołach będzie królować tęczowa indoktrynacja, a lewaccy namiestnicy w fotelach dyrektorów szkół będą mogli przedstawiać młodzieży alternatywną historię, w której nie będzie miejsca na żołnierzy wyklętych, a Lech Wałęsa będzie symbolem oporu przeciwko komunistycznej władzy.

Decentralistom chodzi też o skok na kasę. Chcą podwyższyć lokalne podatki. „Podatek od nieruchomości ściśle powiązany z wartością rynkową nieruchomości, a nie z jej powierzchnią, jako docelowo najważniejsze źródło dochodów własnych samorządu" – czytamy w jednym z punktów planu. Samorządowcy chcą też mieć możliwość kształtowania ostatecznej stawki PIT. Chcą też przejąć Bank Gospodarstwa Krajowego, który ma gromadzić „kapitał od samorządów i Skarbu Państwa na lokalne inwestycje mieszkaniowe".

eprasa.pl 33acfb3920

Łatwo się więc domyślić, że w gminach lawinowo będzie wzrastać już i tak rozdmuchany do przesady etatyzm, a pozbawieni jakiejkolwiek kontroli bonzowie z Warszawy, Gdańska czy Poznania poprzez podporządkowane sobie media oraz wielkie pieniądze będą traktować swoje gminy jak prywatne latyfundia.

Zwolennicy decentralizacji domagają się likwidacji regionalnych izb obrachunkowych. To także nie dziwi. Zblatowani z elitami sędziowskimi prezydenci największych miast chcą mieć sądy po swojej stronie. A sądy to realna władza i ochrona dla patologii i kombinacji tych włodarzy miast, którzy ciągle boją się silnego nadzoru „centrali". To właśnie izby obrachunkowe zablokowały przymiarki do wypłacania strajkującym nauczycielom wypłat za czas protestu. Bez ich kontroli prezydenci będą mogli finansować niepokoje społeczne z pieniędzy publicznych.

Ostatecznym ciosem w jednolitość państwa będzie wprowadzenie „weta samorządowego". Twórcy „21 punktów" decentralizacji Polski nawet nie ukrywają, że chcą korzystać ze zgubnej spuścizny liberum veto. „Weto samorządowe – możliwość czasowego wstrzymywania procesu legislacyjnego przez reprezentację samorządu, co pozwoliłoby na przeprowadzenie dodatkowych konsultacji" – czytamy w planie.

KIM SĄ TWÓRCY KONCEPCJI?

Plan ma kilku twórców i dwie wersje. Pierwszą przygotowali prof. Maciej Kisilowski oraz Paweł Lisiewicz. Kisilowski nie jest debiutantem na polskim rynku opinii. Jak ustalił portal wPolityce.pl, ten związany z budapeszteńskim Central European University George'a Sorosa analityk uaktywnił się w Polsce już w grudniu 2015 r., tuż po zwycięstwie PiS w wyborach. Przypadek? Raczej nie, biorąc pod uwagę, że publikuje on swoje teorie o Europie Środkowo-Wschodniej na „Foreign Policy" – platformie idei, w której działa Anne Applebaum. Prof. Krystyna Pawłowicz ujawniła, że Kisilowski powiązany jest z budapeszteńskim uniwersytetem Sorosa, a jego wiedza o polskim ustawodawstwie jest mizerna. „W 2007 r. byłam recenzentem pracy doktorskiej pana Macieja Kisilowskiego na wydziale prawa. To była bardzo słaba praca, której nikt nie chciał recenzować. Miałam do niej wiele uwag. Recenzując jego pracę, wyszło, że nie zna on polskiego prawa, dorobku ani doktryny polskiego prawa publicznego, ani orzecznictwa sądów polskich. Należy podkreślić, że Kisilowski pracę magisterską napisał w Stanach Zjednoczonych, a w Polsce napisał doktorat z organizacji pozarządowych, który był przeglądem literatury amerykańskiej" – wspominała prof. Pawłowicz w rozmowie z portalem wPolityce.pl. „Później jako młody karierowicz został zatrudniony na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim w Budapeszcie, który sponsorowany jest przez Sorosa. To, co czytamy w ujawnionym dokumencie, to pomysły żywcem zaczerpnięte z idei otwartego społeczeństwa. Ten program to zbiór publicystycznych haseł podszytych niechęcią do PiS. To po prostu grafomaństwo polityczne" – dodała poseł PiS.

> „Ten plan to kontynuacja działań podejmowanych przez prezydentów miast metropolitarnych. Oni traktują siebie jako wodzów na półprywatnych folwarkach" – mówi dr hab. Przemysław Czarnek, konstytucjonalista i wojewoda lubelski

Sam Kisilowski już trzy lata temu dał się poznać jako autor egzotycznych koncepcji dotyczących Polski. Wspólnie z prof. Bruce'em Ackermanem pisali w „Foreign Policy", że prezydent Barack Obama jest jedyną „nadzieją Polski", w kontekście reform przeprowadzanych przez rząd PiS. Obaj też nawoływali, by prezydent USA zbojkotował szczyt NATO w Warszawie! Warto wspomnieć, że koncepcje Kisilowskiego pojawiały się nie tylko w „Foregin Policy", ale także w serwisie Politico. W obu bardzo często publikowała Anne Applebaum, żona Radosława Sikorskiego. Jednoznaczne opinie Kisilowskiego szybko pojawiły się też w TVN24 i innych wojujących z rządem PiS mediach. Zaangażował się także w walkę z reformą sądownictwa.

„Staniemy się państwem autorytarnym, jeśli nie zatrzymamy tego szaleństwa, które dzieje się w Sejmie. Te ustawy nie mają żadnych plusów, to jest autorytarny skok na ostatnią niezależną władzę w Polsce. Nie można tego merytorycznie oceniać, bo to nie jest projekt reformy, który powstał w jakiejś rozsądnej odpowiedzi na wyzwania, które są przed polskim sądownictwem" – grzmiał na antenie TVN24 w lipcu 2017 r.

Niebezpieczna i nieodpowiedzialna koncepcja nowego rozbicia dzielnicowego przewijała się także w niemiecko-szwajcarskim portalu Onet.pl. „Gdybyśmy mieli system, o którym mówimy, tzn. że konstytucyjnie decydują województwa, to Jarosław Kaczyński nie mógłby straszyć kartą LGBT w Warszawie, bo nikogo na Podkarpaciu nie interesuje, co robią warszawiacy" – mówił Kisilowski w rozmowie z Tomaszem Lisem.

Warto też prześledzić zawodową aktywność Kisilowskiego. Figuruje on jako jeden z ekspertów na liście niezwykle wpływowej agencji Primespeakers, która powiązana jest z globalnym gigantem Linkleaders. Ta ostatnia doradza wielkim graczom na całym świecie, także w branży bankowej oraz paliwowej. Z agencją Primespeakers związani są nie tylko politycy i eksperci, ale także dziennikarze – tworząc niezwykle skuteczne narzędzie na styku biznesu i polityki. Oprócz Kisilowskiego z agencją współpracują m.in. Roman Młodkow-

64/0519/F

eprasa.pl 33acfb3920

ski, były dziennikarz TVN, Krzysztof Rybiński, były wiceprezes NBP, Witold Orłowski, Daniel Passent, a listę zamyka Marek Belka, były premier i prezes NBP – prawdziwa śmietanka III RP. Czy Kisilowski to rzeczywiście niezależny i apolityczny ekspert, który obiektywnie patrzy na wewnętrzny spór, który rozgrywa się w Polsce? Może niech odpowiedzią na to pytanie będzie to, że Kisilowski w 2014 r. był wydawcą książki „Free Market in Its Twenties: Modern Business Decision Making in Central and Eastern Europe". Wstęp do tego swoistego zbioru ekonomicznych i politycznych pomysłów dla Europy Środkowo-Wschodniej napisał George Soros.

Drugim autorem planu jest Paweł Lisiewicz. To jeden z najbardziej wpływowych ludzi zaplecza ideowego Platformy Obywatelskiej i bliski współpracownik Bronisława Komorowskiego. Lisiewicz był przez lata członkiem grupy, która wspierała PO w kolejnych wyborach. Ten ekspert od wizerunku i komunikacji był też dyrektorem komunikacji w Ministerstwie Skarbu Państwa, zanim w 2010 r. został szefem gabinetu politycznego prezydenta Komorowskiego. To jednak nie koniec związków Lisiewicza z PO. Współautor planu rozbicia integralności kraju był przedstawicielem Komorowskiego w Radzie Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS).Współpracował także z Fundacją Rozwoju Demokracji Lokalnej – ważną organizacją stanowiącą zaplecze polskiego samorządu. Fundacja przez lata otrzymywała potężne wsparcie finansowe ze źródeł publicznych. W radzie programowej zasiadają ludzie związani z poprzednią władzą, m.in. Jerzy Stępień, Janusz Sepioł i Elżbieta Hibner.

NIE WSZYSCY SIĘ ZGADZAJĄ

Pomysły decentralistów budzą protesty niektórych samorządowców i urzędników administracji centralnej. Mocny głos w sprawie zabrał dr hab. Przemysław Czarnek, konstytucjonalista i wojewoda lubelski. „To kontynuacja działań podejmowanych przede wszystkim przez prezydentów miast metropolitarnych. Oni traktują siebie jako wodzów na półprywatnych folwarkach. Zniekształcili pojęcie samorząd i samorządowiec.(...) w moim przekonaniu ma to służyć dekompozycji państwa polskiego. Nasze państwo nie bardzo pasuje do lewackiej czy lewicowej dużej części Europy. Taka dekompozycja mogłaby służyć osłabieniu państwa polskiego, silnego, bardzo dobrze rozwijającego się i stojącego na fundamentach chrześcijaństwa" – mówił w rozmowie z portalem wPolityce.pl.

Decentraliści liczą na klęskę PiS w jesiennych wyborach i wprowadzenie swojego planu w życie. Wtedy ich przedstawiciele w PO i przybudówkach będą musieli zmienić konstytucję. Plan ten jest oczywiście daleki, ale determinacja w jego urzeczywistnieniu ogromna.

REKLAMA

FUNDACJA WSPIERANIA UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Ubezpieczenie od następstw kataklizmów

W ubiegłym roku lato przyniosło wysokie temperatury, susze i pożary, dwa lata temu dotknęły nas nawałnice. A co nas czeka w tym roku? – Klimat się zmienia, co objawia się gwałtownymi zdarzeniami, które pociągają za sobą olbrzymie straty. W skali kraju to miliardy złotych, natomiast w skali własnych gospodarstw to niekiedy dorobek życia – wyjaśnia Jarosław Bierecki, prezes FWUW. – Najwyższy czas poważnie pomyśleć o odpowiednim zabezpieczeniu.

Niestety meteorolodzy nie mają dla nas dobrych informacji na tegoroczne lato. Fale upałów powodujące susze i groźne pożary, potężne huragany i burze – to czeka nas w tym roku, który może być jednym z najgorętszych w całej historii pomiarów meteorologicznych. Eksperci podkreślają, że przyczyniają się do tego naturalne zmiany klimatu wywołane zjawiskiem El Nino, jak również globalne ocieplenie, którego sprawcą jest człowiek. Można z tymi przyczynami dyskutować, ale dane mówią same za siebie – ministerstwo rolnictwa podało, że straty spowodowane przez suszę w ub.r. wyniosły ok. 3,6 mld zł. Klęska dotknęła 130 tys. gospodarstw i zniszczyła 3,5 mln ha upraw. W 2017 r. nawałnica, która przeszła nad Pomorzem, zabiła pięć osób, zniszczonych zostało ponad 26 tys. ha lasów i połamane ok. 6,6 mln drzew. Należy więc poważnie potraktować ostrzeżenia ekspertów i zabezpieczyć się, a przynajmniej zadbać o zminimalizowanie kosztów ewentualnych strat.

– Szkody wyrządzone przez kataklizmy są coraz wyższe, ale niestety drożeją też koszty polis ubezpieczeniowych. Towarzystwa ubezpieczeniowe korygują je właśnie ze względu na zmiany w klimacie – przyznaje Jarosław Bierecki, prezes Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych. – To oznacza, że rolnicy często wolą zaryzykować, niż płacić wysokie koszty polis. To nie jest rozsądne. Lepiej poszukać alternatywnych rozwiązań, niż mieć nadzieję, że w tym roku uprawy dadzą zysk i nie zostaną zniszczone, np. przez nawałnice. Dobrym rozwiązaniem jest oferta TUW lub założenie własnego związku wzajemności członkowskiej, w którym jego członkowie, również rolnicy, mogą mieć duży wpływ na tworzenie oferty ubezpieczeniowej, w tym jej zakres i cenę. Założenie takiego związku dla grupy rolników nie jest skomplikowane, a przede wszystkim wcale nie musi przerastać ich możliwości finansowych. Zawsze mogą skorzystać z pomocy, jaką oferuje Fundacja Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych – wyjaśnia Jarosław Bierecki.

Jarosław Bierecki, prezes FWUW

eprasa.pl 33acfb3920

MICHAŁ KARNOWSKI

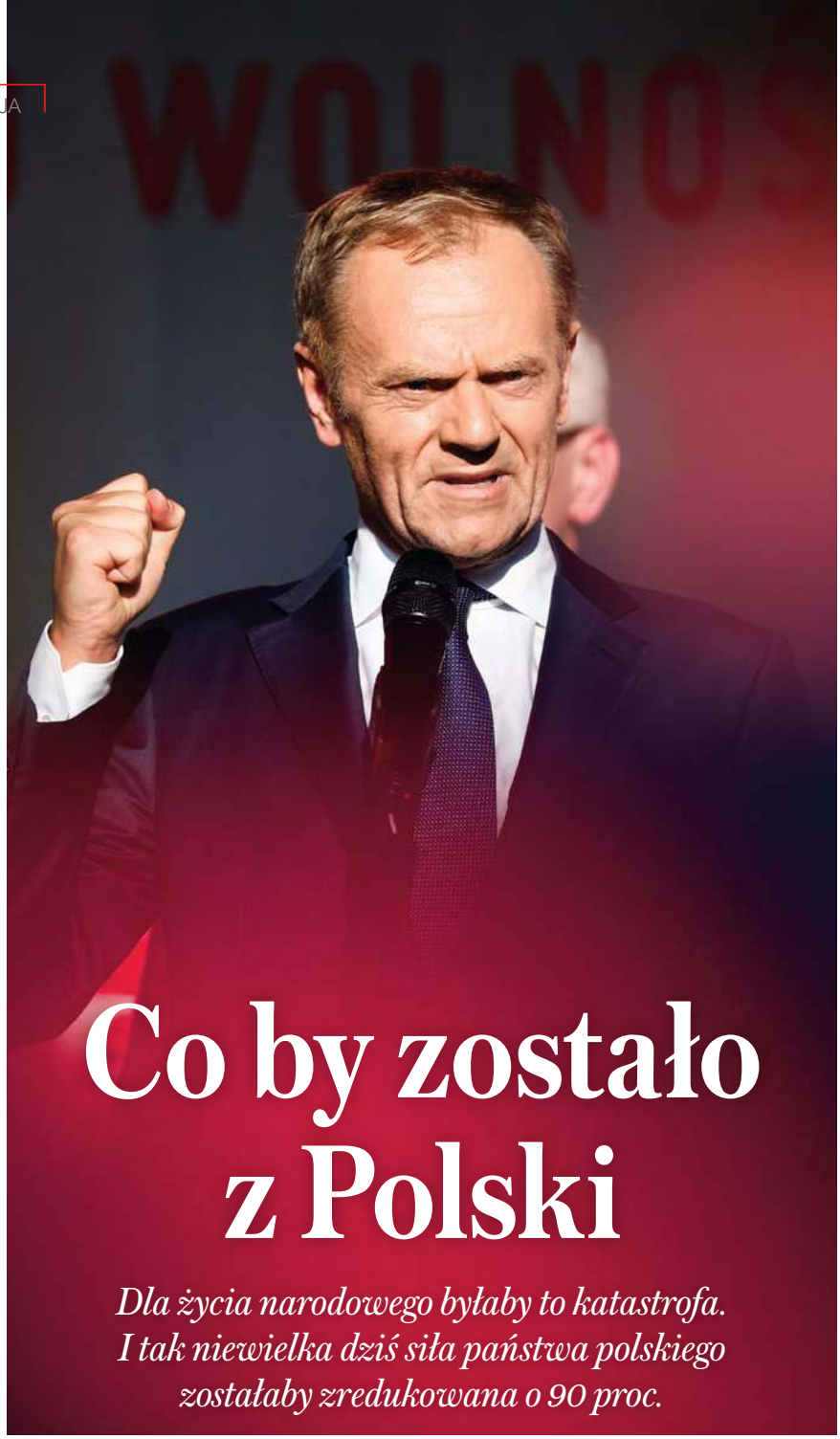

Co by zostało z Polski

Dla życia narodowego byłaby to katastrofa. I tak niewielka dziś siła państwa polskiego zostałaby zredukowana o 90 proc.

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Dochodzące z Gdańska relacje o tym, jaka wizja przyszłości państwa polskiego wychodzi z opozycyjnych głów, budzą przerażenie. Chciałoby się wierzyć, że tekst, który publikujemy na poprzednich stronach, głośne 21 tez podpisanych przez samorządowych władców, to tylko pełna frustracji reakcja na kolejną wyborczą porażkę. Niestety, ten plan jest zbyt precyzyjny, zbyt cynicznie przemyślany, by przyjąć taką wersję.

Co by zostało z Polski, gdyby to wszystko wdrożono w życie? Szyld (z czasem pewnie zamieniony na orły sąsiednie), bezbronne, bezwolne państwo, niezdolne do działania w sytuacji kryzysowej, bez siły oparcia się wyrywaniu kolejnych stref wpływów. I obywatele pozbawieni już wyborczej mocy, już niesuwerenni – bo państwo w tej części Europy raz podzielone, rozbite, rozczłonkowane nie da się już nigdy skleić w sposób pokojowy. Znów by nam przyszło się modlić o wojnę powszechną, ale wcześniej czekałby nas los niewolników. Warto pamiętać: zawsze, kiedy znikało państwo polskie, Polakom żyło się źle. Kiedy nie chcieliśmy płacić na własne państwo, władowały się, po rozbiorach, potęgi ościenne. Kiedy nie utrzymywaliśmy własnego wojska, musieliśmy służyć w armiach zachodnich i ginąć w nie swoich wojnach.

Gdyby miało to wejść w życie, żylibyśmy w książtewkach (dzielnicach) rządzonych przez sitwy, z własnymi policjami, mediami, urzędami, podatkami, szkolnictwem, mającymi do dyspozycji cały publiczny majątek. Te środowiska miałyby też prawo weta na poziomie centralnym. Poziom siły władzy centralnej, już niewielki, byłby zredukowany o 90 proc.

Dla życia narodowego byłaby to katastrofa. Można przewidzieć też dalszy ciąg zdarzeń – ciążenie lokalnych establishmentów z Ziem Odzyskanych ku Niemcom, bo patriotyzmu wszechpolskiego tam nie ma za dużo. W efekcie nastąpiłby rozbiór państwa polskiego.

To eksplozja egoizmu rzadko spotykana w życiu publicznym. Oto środowiska już uprzywilejowane domagają się prawa do trwania wiecznego przy władzy, przejęcia kontroli nad całością dóbr publicznych, wyłączenia spod wszelkiej zewnętrznej kontroli.

Każdy, kto rozumie, co znaczy nasze geopolityczne położenie, jak wielkie siły napierają na nas z obu stron (od wieków), jak silne ośrodki państwowe o imperialnych ambicjach znajdują się na Wschodzie i na Zachodzie, a mimo to proponuje „decentralizację", rozmontowanie i tak nie najsilniejszej Rzeczypospolitej, popełnia wobec narodu grzech ciężki. Przy czym podkreślam: nie chodzi nawet o wygraną pod tymi sztandarami

eprasa.pl 33acfb3920

> Każdy, kto rozumie, co znaczy nasze geopolityczne położenie, a mimo to proponuje „decentralizację", rozmontowanie i tak nie najsilniejszej Rzeczypospolitej, popełnia wobec narodu grzech ciężki

już teraz. Chodzi o wprowadzenie tego śmiertelnego wirusa do naszej debaty publicznej na równych prawach obecności. Dlatego trzeba ten pomysł od razu, natychmiast, jednoznacznie odrzucić.

Sytuacja jest niezwykle poważna. Związani z Platformą Obywatelską i szerzej obozem III RP przedstawiciele establishmentu próbują wprowadzić do naszej debaty publicznej skrajnie szkodliwe, targowickie plany kolejnego rozbioru państwa polskiego. Mają w tym najwyraźniej akceptację Donalda Tuska, który swoją obecnością te postulaty de facto wsparł, i Grzegorza Schetyny, którego formacja stoi na zapleczu tych działań i który już wcześniej proponował likwidację IPN, urzędów wojewódzkich, mediów publicznych.

Patrząc na chłodno, można dojść do wniosku, że Ktoś (znacznie ważniejszy niż nasze krajowe kukiełki) postanowił rozwiązać wreszcie „problem polski", postanowił zrobić porządek z Polską i Polakami. Taki porządek, który rozwiąże problem tego niepokornego narodu na długo, może na zawsze. Nie pierwsza to zresztą taka próba.

Najpierw mieliśmy uderzenie w sam fundament narodowy, czyli w naszą tożsamość, naszą wiarę, nasze święte ikony. To miało nas pchnąć na drogę kraju postchrześcijańskiego, bezbronnego wobec wielu zagrożeń, łatwego do manipulacji, ustępującego wobec presji w sprawach nakręcanych globalnie, np. agenda LGBT czy masowa imigracja z krajów muzułmańskich.

Teraz mamy wciągnięcie na sztandary przez główną partię opozycyjną planu rozbicia dzielnicowego Polski. Planu, który sprowadzi Polskę do roli jakiejś przestrzeni pozbawionej silnej władzy, niezdolnej do choćby ułomnej podmiotowości. Bo przecież to, co ujawniono, to coś więcej niż federalizm – to niemal wprost nawiązanie do elementów ustrojowych I Rzeczypospolitej, choć w wersji parodystycznej. Skutek byłby ten sam: niezdolność do jakichkolwiek reform, niezdolność do reakcji na zagrożenia, na końcu pełne podporządkowanie się sąsiadom.

Polacy ten plan pokrzyżowali, opowiadając się w majowych wyborach za trwaniem polskiej cywilizacji i wysyłając jasny sygnał, że raczej nie są zainteresowani polityczną rewolucją w kraju. Ale to jest wciąż tylko „raczej", wszystko rozstrzygnie się jesienią.

Sytuacja jest bardzo dramatyczna, bo tym razem stawką wydaje się nie tylko powrót do neokolonializmu, lecz także samo trwanie Polski w takiej formie, która czyni z niej realny byt państwowy.

I jeszcze jedno: uruchomienie tego scenariusza właśnie teraz nie jest przypadkiem. Nie chodzi tylko o wybory, chodzi także o to, że jeszcze parę lat i Polska będzie już w innej lidze, może nawet w światowej ekstraklasie. Wielu tego bardzo nie chce.

Pozostaje pytanie, dlaczego ośrodek platformerski zdecydował się teraz tak mocno sięgnąć po te postulaty? Wydaje się, że to skutek poczucia, iż wszystkie inne hasła tego środowiska się zdewaluowały. Nie ma już hasła polexitu, które męczone przez prawie cztery lata skompromitowało tylko autorów. Trudno nadal propagandzie III RP trąbić o złych rządach, bo zarówno wyniki ekonomiczne, jak i wzrost pozycji Polski na świecie oraz jej siły wewnętrznej są bezdyskusyjne – jeśli spojrzeć na fakty i liczby. Wynik wyborów 26 maja pokazał też, że miecz antykościelny, cynicznie użyty przed wyborami, okazał się bronią obosieczną. Ranił autorów planu dużo mocniej niż tych, w których mierzono. Zwróćmy zresztą uwagę, że temat skończył się jak nożem uciął. Chyba jednak nie o ochronę dzieci w tej sprawie chodziło. I nawet ściągnięty Donald Tusk wydaje się tylko cieniem dawnej wielkości: mimo hucznych zaproszeń ściąga skromne tłumy, zdaje się niezdolny do sformułowania żadnej poważniejszej tezy politycznej, ograniczając się do nawoływań do optymizmu.

W tej sytuacji potrzeba opozycji jakiegokolwiek nowego sztandaru. Ten postulujący rozbicie Polski, nazywany decentralizacją, wydaje się atrakcyjny z jeszcze jednego powodu: otóż sztabowcy PO i PSL już wiedzą, że to nie wynik wyborów europejskich był dla nich gorszy od oczekiwań, ale to we wcześniejszych wyborach samorządowych otrzymali nieoczekiwaną premię, nagrodę za sojusz z lokalnymi liderami czy bonzami. Próba postawienia samorządności w centrum kampanii do Sejmu i Senatu jest próbą ponownego użycia tych zasobów.

Wątpliwe jednak, by się powiodła w krótkiej perspektywie. Poza podpisaniem w Gdańsku skrajnie niebezpiecznych 21 tez nie widać żadnego planu, a rozważania o porzuceniu przez nich dających realną władzę stanowisk na rzecz kandydowania do Senatu wydają się fantasmagorią. Można zatem postawić tezę, że cała operacja przypomina tę z pompowaniem i sprowadzaniem Tuska w roli objazdowego koncertmistrza. Nieprzemyślana, bez oceny skutków, przynosząca więcej strat niż korzyści. Co najważniejsze, odsłaniająca prawdziwe zamiary opozycji względem państwa polskiego.

A te są proste: ponieważ Prawo i Sprawiedliwość wygrało w roku 2015 i zaczęło używać struktur państwa polskiego do zmiany rzeczywistości, do rządzenia, trzeba zrobić wszystko, by już nigdy nie mogło ich użyć. Celem jest sytuacja, w której żaden zwycięzca wyborów nie będzie już mógł realnie zmienić kraju. Powiedzmy wprost: mamy zostać ubezwłasnowolnieni, stać się mieszkańcami państwa feudalnego, gdzie układ klientelistyczny jest jedynym akceptowalnym. Kto ma być w nim kastą książęcą, a kto wasalem, jest dla autorów tej koncepcji oczywiste.

Współpraca: ***Jacek Karnowski***

eprasa.pl 33acfb3920

Czy poświęciłbyś własne dzieci?

Zachodnioniemieckie sądy wydały blisko 600 wyroków za zbrodnie dokonane na blisko 6 mln Żydów, co daje wskaźnik jednego wyroku na 10 tys. zamordowanych Żydów. Dla porównania peerelowskie sądy skazały po wojnie wiele setek Polaków, którzy brali udział, często pod przymusem i groźbą śmierci, w niemieckich polowaniach urządzanych na Żydów. Ale to Polskę – zauważa Bogdan Musiał – a nie Niemcy oskarża się dziś o brak rozliczeń

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kto dopomoże Żydowi? – pyta w tytule swojej najnowszej książki znany badacz Holokaustu i stosunków polsko-żydowskich prof. Bogdan Musiał. I przypomina, że odpowiedź na to pytanie była dla przytłaczającej większości Polaków, na których oczach rozegrał się Holokaust, najstraszniejszym wyzwaniem, z jakim przyszło im się zmierzyć. We wstępie przytacza przerażającą historię rodzinną, gdy do domu jego dziadka Jana Treli, mieszkającego nieopodal Dąbrowy Tarnowskiej, zapukało pewnej nocy dwóch mężczyzn z 12-letnią dziewczynką. Trela znał jednego z nich, był to miejscowy Żyd z córką. Prosili tylko o pomoc dla dziecka, o to, by wziął dziewczynkę na przechowanie. Trela zaoferował jedzenie, ale odmówił przyjęcia dziecka: „Ja mam małe dzieci" – wyjaśnił przestraszony.

Potem, przez wiele lat, wspominał tamtą noc i nieoczekiwanych gości. Gryzło go sumienie, ale przecież nie był w stanie – mało kto byłby – poświęcić życie swoje i rodziny. Można wręcz zadać pytanie, czy w ogóle miał prawo ryzykować życie najbliższych.

ODPOWIEDŹ NA MANIPULACJE

Dziś coraz częściej takich ludzi jak Trela z niesłychaną łatwością się potępia. Wręcz przypisuje im się współsprawstwo w zagładzie Żydów. Pomija się kontekst, wojenną rzeczywistość, która w Polsce – o czym, strona po stronie, przypomina w swojej pracy Musiał – była zasadniczo odmienna niż w każdym innym kraju Europy, nie wyłączając Niemiec.

Z ogromną łatwością i całkiem świadomie ignorują tę rzeczywistość autorzy pokroju Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego czy Barbary Engelking. Dwójka ostatnich zasłynęła rok temu publikacją „Dalej jest noc...", w której wraz z innymi historykami Centrum Badań nad Zagładą przy Instytucie Filozofii i Socjologii PAN zajęła się wojennymi losami Żydów na terenie dziewięciu powiatów Generalnego Gubernatorstwa. Praca ta – jak już udowodnił kielecki historyk z IPN dr Tomasz Domański – jest pełna przeinaczeń, manipulacji źródłami i przemilczeń. Przede wszystkim jednak pomija kontekst, jakim był niespotykany nigdzie indziej w Europie terror, któremu poddano polską ludność.

Publikacje Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego czy Barbary Engel-

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. Fratria

king wpisują się w coraz silniejszy nurt reinterpretacji najnowszej historii Polski, którego celem jest całkowita zmiana narracji o naszej przeszłości. Jednak prace wymienionych autorów – w założeniu krytyczne, wręcz wywracające porządek rzeczy – są w rzeczywistości naginaniem historii do krzywdzących Polskę stereotypów i ich uzasadnianiem przy użyciu rzekomo obiektywnych naukowych metod. Nie ma sensu wdawać się tutaj w rozważania, jakie racje stoją za Grossem czy Grabowskim, przypisującym Polakom największe możliwe przewiny wobec Żydów podczas II wojny światowej, dość powiedzieć, że zyskali oni dzięki temu niemałą popularność w środowiskach przypisujących Polsce i Polakom znaczący współudział w Holokauście.

Zresztą Jan Grabowski – podobnie jak i Barbara Engelking – już wcześniej znani byli z bardzo dyskusyjnych poglądów na temat stosunków polsko-żydowskich. Warto przypomnieć, że w swoich publicznych wypowiedziach Engelking twierdziła na przykład, że śmierć Polaka nie może się równać ze śmiercią Żyda (bo dla Żyda śmierć to „metafizyczna tragedia"), a ludzie o prawicowych poglądach mają „inny genotyp". Z kolei sam Grabowski znany jest przede wszystkim z rozpowszechniania od wielu lat niepopartej żadnymi źródłami liczby 200 tys. Żydów, którzy mieli – wedle jego szacunków – zostać zamordowani przez Polaków podczas ostatniej wojny. Gdyby z góry przyjąć tę liczbę za prawdziwą (a chętnie podchwyciły ją światowe media), to wówczas należałoby uznać, że współudział Polaków w Holokauście miał charakter masowy, a zatem jesteśmy współwinni Zagłady.

Bogdan Musiał, „Kto dopomoże Żydowi…", wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2019

Brak odpowiedzi na tego rodzaju twierdzenia byłby więc nie tylko kapitulacją wobec oczywistego historycznego kłamstwa, lecz również niósłby dla Polski poważne konsekwencje polityczne i – zapewne – finansowe. Dlatego z dużą satysfakcją należy odnotować najnowszą publikację Bogdana Musiała. W odróżnieniu od wspomnianej pracy dr. Domańskiego nie jest ona naukową polemiką z książką pod redakcją Grabowskiego i Engelking, lecz solidnie udokumentowaną – zwłaszcza w źródłach niemieckich – analizą konsekwencji terroru rozpętanego na terenach Generalnego Gubernatorstwa przez władze Trzeciej Rzeszy dla relacji polsko-żydowskich.

NIEBEZPIECZNE KONTAKTY

Nie ulega chyba większej wątpliwości, że jedną z zasadniczych przyczyn podjęcia akcji zagłady Żydów na terytorium Polski było istnienie na miejscu wielkiego skupiska ludności żydowskiej. Inną przyczyną było traktowanie podbitej Polski przez niemieckiego okupanta jako obszaru peryferyjnego, na którym nie obowiązują żadne normy. Sami Polacy, przypomnijmy, również byli przeznaczeni do eksterminacji – pierwsze podlegały jej elity, w dalszej kolejności, zgodnie z przyjętym

eprasa.pl 33acfb3920

planem germanizacji (Generalplan Ost) przesiedlenia oraz eliminacja miały objąć kolejne kręgi polskich „podludzi”.

Niemcom – jak dowodzi w swojej pracy Bogdan Musiał – nie udało się, wbrew podejmowanym wysiłkom, doprowadzić do przeciwstawienia sobie ludności polskiej i żydowskiej. Oczywiście sytuacja Polaków była zdecydowanie lepsza niż ludności żydowskiej skazanej w pierwszej kolejności na eksterminację, ale obie grupy łączyła świadomość, że są ofiarami okupacyjnego terroru (choć w różnej skali). W rezultacie powstające w miastach Generalnego Gubernatorstwa getta żydowskie nigdy nie były w pełni szczelne. Dochodziło do nieustannych kontaktów, głównie handlowych, między ludnością polską a żydowską. Polegały one przede wszystkim na szmuglowaniu do getta żywności oraz różnych produktów – rzecz jasna w większości przypadków nie za darmo. Zdarzały się nawet przypadki, w których zlecano żydowskim rzemieślnikom rozmaite prace – wszystko to odbywało się pomimo zakazów niemieckiego okupanta. Szmugiel towarów i usług, choć zwykle odpłatny, pozwalał jednak przetrwać ludności żydowskiej.

O ile jednak szmugiel trudno było uznać za formę bezinteresownej pomocy, o tyle rzecz wyglądała zupełnie inaczej w przypadku żydowskich dzieci żebrzących poza murami getta. Jak pisze Musiał, to właśnie żydowskie dzieci budziły najwięcej współczucia wśród polskiej ludności i odruchów pomocy. Było to jednak niebezpieczne. Musiał przytacza wstrząsającą relację Zofii Kossak. Jak wspominała współtwórczyni Żegoty (Rady Pomocy Żydom) w swoim już powojennym liście do Ireny Rebotyckiej, na warszawskim moście Kierbedzia pewien przechodzień dał jałmużnę żydowskiemu maluchowi. Niestety dostrzegł to Niemiec, który zagroził, że zastrzeli Polaka, jeśli ten nie zrzuci dziecka do Wisły. Polak przymuszony przez Niemca zepchnął dziecko z mostu i ocalił życie. Nie na długo. Po dwóch dniach, nękany wyrzutami sumienia, powiesił się.

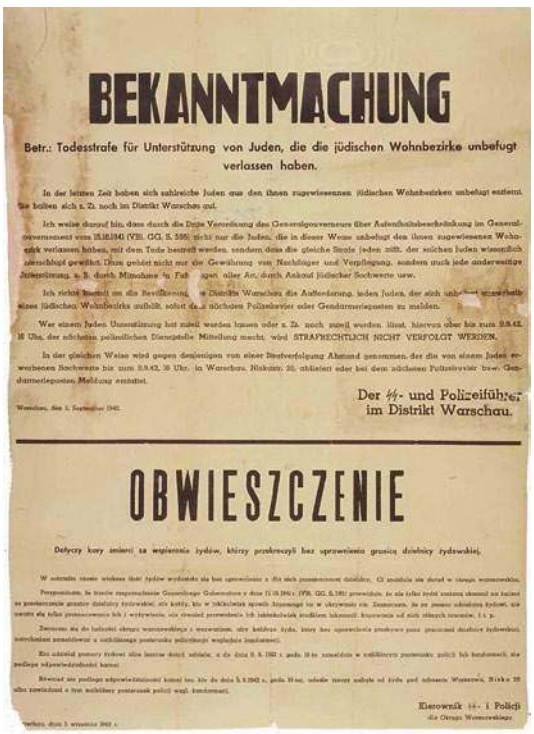

BEKANNTMACHUNG

Betr.: Todesstrafe für Unterstützung von Juden, die die jüdischen Wohnbezirke unbefugt verlassen haben.

In der letzten Zeit haben sich zahlreiche Juden aus den ihnen zugewiesenen jüdischen Wohnbezirken unbefugt entfernt. Sie halten sich z. Zt. noch im Distrikt Warschau auf.

Ich weise darauf hin, dass durch die Dritte Verordnung des Generalgouvernements über Aufenthaltsbeschränkung im Generalgouvernement vom 15.10.1941 (VB. GG. S. 595) nicht nur die Juden, die in dieser Weise unbefugt den ihnen zugewiesenen Wohnbezirk verlassen haben, mit dem Tode bestraft werden, sondern dass die gleiche Strafe jeden trifft, der solchen Juden wissentlich unterstützt gewährt. Dies gilt nicht nur die Gewährung von Nachtlager und Verpflegung, sondern auch jede anderweitige Unterstützung, z. B. durch Mitnahme in Fahrzeugen oder Ausgabe jüdischer Sachwerte usw.

Ich richte hiermit an die Bevölkerung im Distrikt Warschau die Aufforderung, jeden Juden, der sich unbefugt ausserhalb eines jüdischen Wohnbezirks aufhält, sofort dem nächsten Polizeibeamten oder Gendarmeriepostens zu melden.

Wer einem Juden Unterstützung hat zuteil werden lassen oder z. Zt. noch zuteil werden lässt, hierüber aber bis zum 9.9.42, 18 Uhr, der nächsten polizeilichen Dienststelle Mitteilung macht, wird STRAFRECHTLICH NICHT VERFOLGT WERDEN.

In der gleichen Weise wird gegen denjenigen von einer Strafverfolgung Abstand genommen, der ein von einem Juden erworbenes Sachwerte bis zum 9.9.42, 18 Uhr, in Warschau, Niskiny 26, abliefert oder bei dem nächsten Polizeibeamten bzw. Gendarmerieposten Meldung erstattet.

Warschau, den 1. September 1942.

Der SS- und Polizeiführer im Distrikt Warschau.

OBWIESZCZENIE

Dotyczy kary śmierci za wspieranie żydów, którzy przekroczyli bez uprawnienia granicę dzielnicy żydowskiej.

W ostatnim czasie wielkaw ilość żydów wydostała się bez uprawnienia z dla nich przeznaczonej dzielnicy. Ci zmuleiu się dotąd w okręgu warszawskim.

Przypominam, że trzecie rozporządzenie Generalnego Gubernatora z dnia 15.10.1941 r. (VB. GG. S. 595) przewiduje, że nie tylko żydzi zostaną skazani na śmierć za opuszczenie granicy dzielnicy żydowskiej, ale każdy, kto w jakikolwiek sposób bezprawnie im w ukrywaniu się. Zaopiekuje, że ze pomocy udzielają żydom, nie tylko przenocowania lub i wyżywienia, ale również przewiezienia lub jakiekolwiek środkiem lokomocji, kupowania od nich różnych towarów, i t. p.

Zwracam się do ludności okręgu warszawskiego i ostrzegam, aby każdego żyda, który bez uprawnienia przebywa poza granicami dzielnicy żydowskiej, natychmiast zgłaszał o zaistniałego postarunku policyjnego wspólnego komisarzowi.

Kto udzielił pomocy żydowi albo bezwiedzy ukrywa, a do dnia 9. 9. 1942 r. godz. 18 nie zgłosiłem w najbliższym posterunku policji lub komisarzowi, ma podlega odpowiedzialności karnej.

Również nie podlega odpowiedzialności karnej ten, kto do dnia 9. 9. 1942 r. godz. 18 nie, odda rzeczy należy od żyda pod adresem Warszawa, Niska 26 albo zawiadomi o tym najbliższy posterunek policji wzgl. komisarzowi.

Warszawa, dnia 1. września 1942 r.

Kierownik SS- i Policji dla Okręgu Warszawskiego.

Fot. IPN

Jak teraz to zinterpretować? Można oczywiście napisać – niewykluczone, że tak zrobiłby Gross lub Grabowski – że Polak antysemita zabił żydowskie dziecko. Byłoby to jednak oczywiste fałszerstwo. Kontekst jest bowiem znacznie szerszy i bardziej dramatyczny.

Niemcy próbowali terrorem oduczyć Polaków jakichkolwiek gestów pomocy Żydom. Zarządzenia wydawane przez władze okupacyjne, najpierw cywilne, a potem również policyjne, stawały się z każdym rokiem okupacji coraz bardziej bezwzględne i surowe. Początkowo za pomoc udzielaną Żydom płaciło się grzywny, potem można było trafić, w zależności od dystryktu, do obozu koncentracyjnego. Jednak od 1941 r. coraz częściej karano śmiercią. Rok później była to już jedyna kara, jaką wymierzano Polakom wspierającym Żydów.

Tak gwałtowne zaostrzenie represji wynikało z tego, że Polacy i Żydzi – mimo gróźb, szykan i zakazów – nadal utrzymywali z sobą kontakty, istniał szmugiel utrzymujący wielu Żydów przy życiu, wciąż zdarzały się przypadki – również bezinteresownej – pomocy. Prof. Musiał trafnie zauważa, że gdyby było inaczej, gdyby rzeczywiście Polacy byli odwróceni plecami do Żydów, to wówczas Niemcy nie musieliby się uciekać do wymierzania kary śmierci.

STERRORYZOWANI PRZEZ NIEMCÓW

Również jedynie w Polsce odpowiedzialność za kontakty z Żydami miała charakter zbiorowy. Znana jest historia z Markowej, gdzie Niemcy w marcu 1944 r. zamordowali całą rodzinę Ulmów przechowujących Żydów: Józefa, jego brzemienną żonę oraz szóstkę dzieci, z których najmłodsze miało półtora roku, a najstarsze osiem lat. Bogdan Musiał przytacza jeszcze kilka podobnych, wstrząsających historii, w których zginęły całe polskie rodziny z dziećmi (m.in. w Porębach, Narożnikach koło Radgoszczy, Bulianowie-Kopalni).

Odpowiedzialność zbiorowa została wprowadzona na podstawie niemieckich zarządzeń policyjnych z października i listopada 1942 r. ustanawiających „żydowskie dzielnice mieszkaniowe” na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Zgodnie z nimi karze śmierci podlegał każdy, kto „świadomie udzielał schronienia” Żydom, a w szczególności „żywił ich i ukrywał”. Poza tym zarządzenia nakazywały każdemu, kto „uzyskał wiadomość” na temat Żydów przebywających poza gettem, zgłosić to władzom niemieckim pod rygorem zastosowania „policyjnych środków bezpieczeństwa”, czyli – w praktyce – rozstrzelania. Oznaczało to, ni mniej, nie więcej, obowiązek donoszenia pod groźbą śmierci.

Na tej też podstawie stosowano również odpowiedzialność zbiorową. Członkowie rodziny mieli bowiem – w opinii Niemców – świadomość, że w ich domu ukrywani są Żydzi, a mimo to nie donieśli o tym władzom. Represje nie dotyczyły zresztą wyłącznie rodzin. W książce prof. Musiała znajdziemy przykłady pacyfikacji całych wsi, w których ukrywani byli Żydzi (np. Podborze, Zawadka).

Nasilenie represji związane było z rozpoczęciem likwidacji gett w 1942 r. i uruchomieniem akcji „Rein-

1/0119/F

eprasa.pl 33acfb3920

hardt" oznaczającej masową eksterminację Żydów. Wielu Żydów szukało wówczas schronienia poza miastami, błąkając się po lasach i wsiach. Niemcy organizowali wówczas tzw. polowania na Żydów (Judenjagd), jednak aby akcja wyłapywania Żydów mogła być skuteczna, konieczne było zastraszenie polskiej ludności. We wsiach typowani byli tzw. dziesiętnicy, czyli zakładnicy, którzy w pierwszej kolejności ponosili odpowiedzialność w przypadku schwytania na terenie ich wsi ukrywającego się Żyda. Organizowano także tzw. straże wiejskie, które również pod groźbą śmierci musiały meldować o zauważonych Żydach. To samo dotyczyło każdego, kto wiedział o ukrywającym się Żydzie.

Głową swoją i rodziny płacił za brak meldunku o Żydach na swoim terenie sołtys. W książce prof. Musiała znajdziemy przykłady oświadczeń, które musieli podpisywać sołtysi. Jeden z punktów ostrzegał o karze, która groziła za niewywiązanie się z zobowiązania. Terror sprawiał, że uzyskanie schronienia na wsi stało się dla Żydów niemal niemożliwe. Nawet jeśli ktoś się ulitował, to ściągał ryzyko na całą wieś. Ale i tacy się ciągle zdarzali.

> Dlaczego jedynie w Polsce karano śmiercią za pomoc Żydom? Odpowiedź może być chyba tylko jedna: bo nie udało się powstrzymać dużych grup Polaków od podejmowania kontaktów z Żydami

Strażnicy wiejscy musieli też niekiedy pilnować schwytanych Żydów – oczywiście pod rygorem kary śmierci dla siebie i rodzin. W cytowanym przez prof. Musiała dzienniku Franciszki Reizer opisuje ona historię z Albigowej (pow. Łańcut). Trzech wytypowanych chłopów otrzymało zadanie przypilnowania siedmiu Żydów złapanych podczas obławy. „Opowiadał mi jeden z wartujących – Władysław Bartman – że to była dla niego najstraszniejsza w życiu noc. Bez przerwy słyszał skowyt ludzki: Panie Bartman, puść nas, puść mnie, jeśli masz Boga w sercu, na rany Jezusa, twojego Boga, puść nas. Boże Abrahama zmiłuj się nad nami – jęk i skowyt trwał aż do rana".

Naprawdę trzeba dużo złej woli, aby interpretować tę i podobne historie jako dowód na entuzjastyczny udział Polaków w chwytaniu i eksterminacji Żydów.

Oczywiście zdarzały się również przypadki świadomego donosicielstwa. Część była – jak pisze prof. Musiał

REKLAMA

Mała rata na duże plany

kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.
Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku.
eprasa.pl 33acfb3920

– spowodowana strachem przed represjami niemieckimi, inne – antysemityzmem lub chęcią zemsty. Przy czym niekoniecznie musiało tu chodzić o zemstę na Żydach, znacznie częściej chodziło o sąsiedzkie lub rodzinne porachunki we wsi, w książce znajdziemy m.in. przykład teściowej, która postanowiła ukarać swoich bliskich, donosząc Niemcom, że ukrywają Żydów.

Były też pobudki materialne. Niemcy często oferowali nagrody za wskazanie miejsc, w których ukrywają się Żydzi. Nagrodami mogły być pieniądze, ale również deficytowe towary: cukier, papierosy, ubrania, bywało, że wydawano Żydów za wódkę. Zamordowany w 1944 r. historyk Emanuel Ringelblum twierdził, że w Małopolsce Polacy masowo wydawali Żydów w zamian za 500 zł i kilogram cukru za jednego schwytanego.

Prof. Musiał zauważa jednak, że gdyby rzeczywiście proceder wydawania Żydów za nagrody był tak masowy, to Niemcy nie musieliby się uciekać do stosowania represji. Wystarczyłby przecież kilogram cukru.

Donosiciele zdarzali się też – co przypomina prof. Musiał – nie tylko wśród Polaków, lecz także Żydów, którzy denuncjowali swoich współtowarzyszy niedoli w płonnej nadziei na uratowanie życia. Niektórzy denuncjowali z tych samych zresztą powodów także pomagających im Polaków. W książce znajdziemy historię 18-letniej Małki Schönfeld, która zdecydowała się wydać rodziny z Pantalowic pod Łańcutem, które ukrywały Żydów. Wszyscy pojmani Polacy zginęli od strzału w tył głowy. W podobnej historii – tym razem z małopolskiego Miechowa – przymuszony bronią Żyd wydał Niemcom ukrywającą go siedmioosobową rodzinę i zadenuncjował chłopów zajmujących się nielegalnym ubojem i handlem (również zginęli).

Czy można mieć do nich pretensje? Czy można oskarżać ich, że zrobili to z „antypolskich" pobudek? Nie, zrobili to ze strachu, w nadziei, że może uda im się uratować życie. Szkoda jednak, że ta sama argumentacja nie działa już w drugą stronę. Trudno przecież przypuszczać, że Żydzi, którzy przetrwali Holokaust – pomimo głębokiej, przerażającej traumy – nie mieli świadomości, że dla wielu, o ile nie dla większości Polaków, stawką było ich życie.

Niektórzy, niestety nieliczni, potrafili to przyznać. Cytowany przez Bogdana Musiała dziennikarz Roman Frister pisze: „Jakim prawem miałbym ich [Polaków] oskarżać? Dlaczego mieliby ryzykować własne życie i życie ich rodzin dla żydowskiego chłopca, którego nie znali? Czy sam zachowałbym się inaczej? Na to pytanie znam także odpowiedź: ja nie ruszyłbym nawet palcem. Wszyscy byli jednakowo zastraszeni".

> W polskich wsiach Niemcy typowali tzw. dziesiętników, czyli zakładników, którzy w pierwszej kolejności płacili głową w przypadku schwytania na terenie ich wsi ukrywającego się Żyda

Przyczyną wielu – obiektywnie niegodziwych – zachowań był wywołany przez Niemców terror. Pomijając to, brniemy w historyczne kłamstwo.

ZBRODNIARZE BEZ KARY

Zachowania Niemców zaangażowanych w eksterminację Żydów są nieodłączną częścią tej historii. Większość z nich chętnie i gorliwie brała udział w Zagładzie. Inne postawy zdarzały się niezmiernie rzadko. Prof. Musiał pisze m.in. o szefie wydziału administracji wewnętrznej urzędu generalnego gubernatora Eberhardzie Westerkampie, który sprzeciwiał się prowadzonej polityce zagłady Żydów i w styczniu 1942 r. złożył dymisję przyjętą przez Hansa Franka. Jego opór zwieńczony odejściem z urzędu bezdyskusyjnie dowodzi, że nie było przymusu uczestnictwa w Holokauście.

W książce możemy też krótko prześledzić powojenne losy niektórych zbrodniarzy. Większość zrobiła kariery w RFN jako prawnicy czy biznesmeni. Szczególnie uderzający jest tu przykład porucznika policji Eilerta Diekena, który dowodził akcją mordu na rodzinie Ulmów w Markowej. Dieken po wojnie nadal służył w policji, tyle że zachodnioniemieckiej. Nie tylko nigdy nie poniósł żadnej odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, lecz wręcz uchodził za człowieka, który podczas służby w okupowanej Polsce chętnie pomagał Polakom i Żydom (!). Najstarsza córka Diekena, którą w 2013 r. odwiedził z ramienia IPN prof. Musiał, była wręcz przekonana, że polskie władze chcą uhonorować jej ojca za piękną postawę podczas wojny. Gdy dowiedziała się o wyczynach ojca, straciła jakiekolwiek zainteresowanie dalszą rozmową.

Prof. Musiał wskazuje, że akcja ekstradycyjna zbrodniarzy wojennych zakończyła się w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec wraz z zaostrzeniem sytuacji międzynarodowej w 1948 r. Ekstradycje były bardzo źle przyjmowane przez społeczeństwo niemieckie, stąd też po proklamowaniu Republiki Federalnej Niemiec w 1949 r. zaniechano ich całkowicie, wpisując odpowiednie zapisy do konstytucji i znosząc karę śmierci właśnie po to – jak przekonuje prof. Musiał – aby mogli jej uniknąć zbrodniarze wojenni. Ostatnie procesy norymberskie (było ich, o czym nie każdy wie, kilka) zakończyły się zresztą na samym początku lat 50. ubiegłego wieku bardzo łagodnymi wyrokami.

W sumie – jak pisze prof. Musiał – zachodnioniemieckie sądy wydały blisko 600 wyroków za zbrodnie dokonane na blisko 6 mln Żydów, co daje wskaźnik jednego wyroku na dziesięć tysięcy zamordowanych Żydów. Dla porównania peerelowskie sądy skazały po wojnie wiele setek Polaków, którzy brali udział, często pod przymusem i groźbą śmierci, w niemieckich polowaniach urządzanych na Żydów. Ale to Polskę – zauważa Bogdan Musiał – a nie Niemcy oskarża się dziś o brak rozliczeń. I do tych oskarżeń dołączają również niektórzy polscy historycy.

61/0319/F

eprasa.pl 33acfb3920

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

TY MASZ DOM, A ONI?

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały jest powrót wielu osób i rodzin oraz odbudowa domów w Dolinie Niniwy” – kard. Pietro Parolin – Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba również Twojej pomocy.

I Ty możesz się włączyć w BUDOWĘ DOMÓW

w Dolinie Niniwy, w dwóch miastach Iraku: BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów
Tytuł przelewu: Akcja DOM
Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602 7608 3791

Więcej informacji na:
www.fundacja.niedziela.pl

Archiwum ks. Mariusza Boguszewskiego/PKWP

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

maika MŁODZIEŻOWA AGENCJA INFORMACYJNA

eprasa.pl 33acfb3920

Operacja konsolidacja

Jacek Sasin
wicepremier, szef Komitetu Stałego Rady Ministrów

Przeprowadzona rekonstrukcja ma upewnić Polaków, że rząd zachowuje skuteczność i sprawność, a kolejne programy nie utracą jakości ani użyteczności

STANISŁAW JANECKI

Już za cztery miesiące odbędą się wybory parlamentarne. Połowa tego czasu przypadnie na wakacje, więc kalendarz polityczny został bardzo ściśnięty. I to głównie sprawia, że rekonstrukcja rządu Mateusza Morawieckiego stała się w istocie konsolidacją. I to na warunkach ośrodka dyspozycji politycznej, bo to on odpowiada za wybory oraz taką politykę rządu, która nie zawiera niespodzianek utrudniających wyborcze zwycięstwo. A w przeszłości takie niespodzianki bywały, np. różne projekty ustaw, które okazywały się kłopotem: albo po wpłynięciu do Sejmu, albo po uchwaleniu. Teraz takich niespodzianek ma nie być wcale, a dopilnować ma tego szef Komitetu Stałego Rady Ministrów Jacek Sasin, wyniesiony do funkcji wicepremiera. Pod pełną kontrolą ma być też MSWiA, stąd Elżbieta Witek w tym resorcie. Ale przede wszystkim żadnych niespodzianek nie może być w dziedzinie finansów państwa, dlatego następcą prof. Teresy Czerwińskiej został jej zastępca Marian Banaś.

Kiedy pytałem polityków PiS, w jakim stopniu jest to rekonstrukcja Jarosława Kaczyńskiego, odpowiadali, że w stu procentach. A w jakim stopniu Mateusza Morawieckiego? Też w stu procentach, tylko że prezes był pierwszy, a premier się z nim zgodził.

STATUS QUO W OBOZIE WŁADZY

Rekonstrukcja, czyli konsolidacja, będzie dokończona w ten sposób, że Mateusz Morawiecki zdecyduje o stanowiskach wiceministrów tam, gdzie uzna to za stosowne. Premier wolałby na stanowisku szefa resortu finansów wiceministra Leszka Skibę, ale ministrem został Marian Banaś, którego wolało kierownictwo partii. Jarosław Kaczyński nie rozważał natomiast kandydatury wiceministra Pawła Szefernakera na stanowisko szefa MSWiA, choć mu ją rekomendowano (robił to np. poprzedni minister Joachim Brudziński), gdyż uważa, że w wieku 32 lat nie można być jeszcze gotowym do kierowania resortem spraw wewnętrznych i wydawania np. poleceń generałom. Nowa szefowa MSWiA Elżbieta Witek kiedyś była uznawana za protegowaną wiceprezesa PiS Adama Lipińskiego, ale to już od lat nieaktualne (podobnie jak w przypadku byłej już

eprasa.pl 33acfb3920

Marian Banaś
minister finansów

Bożena Borys-Szopa
minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Michał Dworczyk
minister – członek Rady Ministrów

Fot. Andrzej Wiktor (x2), mat. prasowe (x2), Shutterstock

minister edukacji Anny Zalewskiej). Najbliżej Elżbiecie Witek do Beaty Szydło. Ale prawdopodobnie nie zostałaby ona ministrem spraw wewnętrznych, gdyby nie rekordowy wynik uzyskany w wyborach europejskich przez Beatę Szydło (525 811 głosów). To osiągnięcie zrobiło takie wrażenie na prezesie PiS, że zaakceptował rekomendowaną przez Beatę Szydło współpracownicę.

Rekonstrukcja zachowała status quo w ramach Zjednoczonej Prawicy, choć politycy Porozumienia mogliby twierdzić, że mieli prawo wskazać kandydata na ministra finansów, skoro prof. Teresa Czerwińska do resortu finansów przeszła z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, dokąd ściągnął ją minister Jarosław Gowin. Ale taka ewentualność, aby to wicepremier Gowin wskazywał szefa resortu finansów, nie wchodziła w grę. Żeby jednak wilk był syty i owca cała, nowym rzecznikiem rządu został zastępca Jarosława Gowina w resorcie nauki – Piotr Müller.

Z kolei Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry miała ochotę na obsadzenie Ministerstwa Sportu i Turystyki. Choćby dlatego, że to resort dysponujący sporymi pieniędzmi i wpływami. Tyle że na stanowisku ministerialnym nie było wakatu, choć mógłby być. Obecny minister Witold Bańka został przez przedstawicieli rządów wskazany na szefa Światowej Agencji Antydopingowej (WADA), ale urząd obejmie dopiero 1 stycznia 2020 r., i to pod warunkiem że powoła go kongres WADA, który w listopadzie br. odbędzie się w Katowicach. Niby to formalność, ale lepiej być ministrem przed głosowaniem niż byłym ministrem. Poza tym Witold Bańka jest tak dobrym ministrem sportu, że jego wymiana, nawet kilka miesięcy przed końcem kadencji, byłaby stratą. Skoro Witold Bańka został w rządzie, to aspirujący na jego następcę Michał Woś, były podsekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, został ministrem – członkiem Rady Ministrów, czyli zachowano status quo, wcześniej bowiem to miejsce zajmowała Beata Kempa.

PROBLEMY ZASTĄPI WSPÓLNY CEL

Przez najbliższe cztery miesiące w rządzie ma nie być żadnych niespodzianek, przede wszystkim w kwestii legislacji oraz współpracy między różnymi ministerstwami. I nad tym ma czuwać wicepremier Jacek Sasin, nienależący do żadnej frakcji w obozie rządzącym, co ma go czynić odpornym na wewnętrzne gry. Ale wywiąże się z tego zadania pod warunkiem, że Kancelaria Prezesa Rady Ministrów będzie z nim ściśle współpracować. A znakiem tego jest awans szefa kancelarii Michała Dworczyka na ministra – członka Rady Ministrów. Dworczyk, podobnie jak Sasin, uchodzi za osobę raczej grającą na siebie niż na jakąś frakcję.

Nawet jeśli nie będzie niespodzianek w rządzie, mogą być jednak problemy. Przede wszystkim dlatego, że premier Mateusz Morawiecki nie jest już politykiem w pełni chronionym przez Jarosława Kaczyńskiego. Przez ponad rok tak było, głównie dlatego że był kimś z zewnątrz i potrzebował wsparcia.

Wedle moich informacji z Nowogrodzkiej od kilku tygodni premier bywa krytykowany, choć nie jest to oczywiście zbyt ostre ani dotkliwe. Wiadomo, że Mateusz Morawiecki może liczyć na wicepremierów Piotra Glińskiego i Jarosława Gowina, ale z tzw. zakonem PC (Porozumienia Centrum) sprawa jest już znacznie bardziej skomplikowana. Na szefie rządu (i nie tylko) wrażenie zrobił wynik wyborczy Beaty Szydło, która wprawdzie wyprowadza się do Brukseli i Strasburga, lecz nie przestaje być jednym z najważniejszych polityków PiS, mimo odejścia z rządu. A nie jest tajemnicą, że w minionych kilkunastu miesiącach relacje miedzy premierem a jego zastępczynią bywały różne. Przez najbliższe cztery miesiące wszyscy mają jednak pracować na wspólny cel – wygranie wyborów parlamentarnych, co oznacza, że prezes Jarosław Kaczyński zdyscyplinuje tych polityków PiS, którzy rozochocili się krytycznymi głosami pod adresem premiera.

Konkretne problemy, przed którymi zabezpieczyć chcą się rząd i jego polityczne zaplecze, to przede wszystkim ewentualne protesty nauczycieli we wrześniu, czyli w ostatniej fazie kampanii. Takie protesty zostały zapowiedziane i Związek Nauczycielstwa Polskiego na pewno je zorganizuje, choćby po to, żeby zatrzeć złe wrażenie po zakończonym porażką kwietniowym i majowym strajku. Nowy minister edukacji Dariusz Piontkowski zderzy się nie tylko z kontynuacją protestów, ale też z próbami zrobienia przez opozycję oraz sympatyzujących z nią rodziców i nauczycieli piekła z tego, że od września br. w szkołach średnich znajdzie się tzw. podwójny rocznik, czyli absolwenci gimnazjów i podstawówek. Już na początku roku straszono, że klasy będą liczyć ok. 40 uczniów, zajęcia będą trwać do wieczora, a wielu nastolatków będzie rozżalonych, gdyż nie trafili do tych szkół, w których najbardziej chcieli się znaleźć.

Szkolne sprawy będą najbardziej zapalną częścią ostatniej fazy kampanii, chyba nawet bardziej niż kwestie ochrony zdrowia. Ale minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski też po wakacjach, a może nawet w ich trakcie znajdzie się pod ostrzałem, także uczestników protestów w ochronie zdrowia. A jeśli protesty nauczycieli i pracowników ochrony zdrowia się rozleją, mogą się do nich dołączyć następne grupy z tzw. budżetówki. Oczywiście może się też tak zdarzyć, że protestujący sami

eprasa.pl 33acfb3920

Dariusz Piontkowski
minister edukacji narodowej

Elżbieta Witek
minister spraw wewnętrznych i administracji

Michał Woś
minister – członek Rady Ministrów

sobie zaszkodzą formą strajków i manifestacji, jak to się stało z nauczycielami, ale rząd i PiS nie mogą tego z góry zakładać.

SPOSÓB NA SAMORZĄDOWCÓW OPOZYCJI

Obóz rządzący już zapowiedział kolejne propozycje programowe (jeszcze w czerwcu br.), żeby Polacy przyzwyczaili się do tego, że zdobycze ostatnich ponad trzech lat nie są epizodem, lecz częścią szerszego planu rozłożonego na lata, jeśli nie na dekady. I obejmującego kolejne grupy społeczne, także te, które czekały w kolejce, bo nie miały najgorzej. W uwiarygodnieniu tego planu mają uczestniczyć także ministrowie, którzy odeszli do Parlamentu Europejskiego. Jako ci, którzy odnieśli sukcesy i zostały one nagrodzone przez wyborców w głosowaniu, a teraz mogą być gwarantami tego, że nie tylko nic nie zostanie odebrane ich zwolennikom, ale dojdą kolejne propozycje.

Dotychczas żadne rządzące ugrupowanie nie mogło twierdzić, że jego wynik w kolejnych wyborach (w tym wypadku europejskich) był także efektem osiągnięć kandydatów na europosłów jako ministrów (oczywiście trzeba zakładać, że kontestowana będzie Anna Zalewska, choć przecież bardzo ostra krytyka jej posunięć nie przeszkodziła byłej minister w zdobyciu ponad 168 tys. głosów). Ministrowie, którzy odeszli z rządu, będą więc starali się dyskontować na rzecz całego obozu rządzącego swoją pozycję i osiągnięcia oraz popularność i akceptację wyrażone w najbardziej wymierny sposób, czyli poprzez poparcie setek tysięcy wyborców. Ci, którzy ze świetnymi wynikami uzyskali mandaty do Parlamentu Europejskiego, mogą być w jesiennej kampanii skuteczną przeciwwagą dla popularnych samorządowców, którzy 4 czerwca br. w Gdańsku zapowiedzieli aktywny udział w wyborach, szczególnie do Senatu, gdzie obowiązuje ordynacja większościowa i liczą się popularność oraz autorytet.

RACJONALNY WYBÓR

Rekonstrukcja jako konsolidacja ma upewnić Polaków, że rząd zachowuje skuteczność i sprawność, taką jak w przypadku wprowadzania programu 500+, 13 emerytury, pomocy dla uczniów i niepełnosprawnych, podniesienia płacy minimalnej i minimalnej stawki godzinowej czy obniżenia wieku emerytalnego. To też gwarancja, że nowe programy nie utracą jakości i użyteczności, a tempo zmian nie zostanie zahamowane. Obywatele mają poczuć, że Zjednoczona Prawica dysponuje kolejnymi projektami i ma odpowiednie kadry do ich wdrożenia. Że za jej rządów nie będzie eksperymentów, uczenia się i przeciągania liny, szczególnie wtedy, gdy rządzi wieloelementowa koalicja, co znacznie zmniejsza efektywność rządzenia i jakość proponowanych zmian.

Rządzący wysyłają podobny komunikat jak sportowcy o uznanej renomie i osiągniętych sukcesach: zawsze można liczyć na jakieś niespodzianki, ale polega się głównie na sprawdzonych mistrzach. Ta analogia może być nawet potraktowana dosłownie, nawet w sporcie bowiem minister obecnego rządu Witold Bańka gwarantuje sukcesy, jakich nie było przez lata, gdyż jest fachowcem potrafiącym stworzyć zdrowe podstawy polskiego wyczynu.

Przedłużenie mandatu obecnemu rządowi ma być dla wyborców najbardziej racjonalnym rozwiązaniem, opartym na doświadczeniu przeszłości i przekonaniu o zdrowych fundamentach na przyszłość. Oczywiście najbardziej przekonują konkrety dla rodzin czy poszczególnych obywateli, ale nie bez znaczenia są też fundamenty makroekonomiczne. Nie wynikające z tego, że rząd sam się chwali, lecz potwierdzone przez międzynarodowe instytucje i będące powodem zazdrości w Brukseli oraz w poszczególnych europejskich stolicach. A połączenie tego, co uzyskują konkretni ludzie ze zdrowymi podstawami całej gospodarki i odpowiedzialnym oraz bezpiecznym funkcjonowaniem całego państwa, jest najlepszą rekomendacją wyborczą. Opozycja nie ma w tej mierze nic konkurencyjnego do zaproponowania, a rządząca przez osiem lat PO nie może się pochwalić nie tylko spektakularnymi sukcesami, ale też trwałymi fundamentami.

Rekonstrukcja rządu ma udowodnić, że wybory można w Polsce opierać na racjonalnych podstawach, jak ostra i histeryczna nie byłaby opozycja oskarżająca rządzących o rujnowanie gospodarki i niszczenie demokracji. A gdy jeszcze obecne władze gwarantują nie tylko bezpieczeństwo materialne, ale i ochronę podstawowych wartości, z rodziną i wychowaniem dzieci na czele, powstaje bardzo spójny obraz obozu Zjednoczonej Prawicy, który nie tylko potrafi wiele zrobić dla ludzi, ale gwarantuje też obronę wartości najważniejszych dla obywateli. Nic dziwnego, że opozycja się wścieka, bo właściwie jest bezradna.

To nie znaczy jednak, że wszystko jest już wygrane, a władza zagwarantowana przynajmniej na kolejną kadencję. Dlatego obozowi rządzącemu potrzebna jest integracja nie tylko na poziomie rządu, ale też na poziomie zwolenników. A konsolidacja rządu jest tylko pierwszym krokiem na tej drodze. Nie można jednak spocząć na laurach, choćby opozycja wciąż się nie podnosiła po nokaucie w wyborach europejskich. Jedna kadencja o niczym nie przesądza i wiele można jeszcze odkręcić. Polacy też o tym wiedzą.

Fot. mat. prasowe, Andrzej Wiktor (x2), Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

PiS umie coraz więcej

Liderzy PO nawet gdyby bardzo chcieli zmienić strategię, gdyby chcieli wyjść z opozycyjności totalnej, nie są już w stanie tego zrobić. Ich wyborcy tego nie zaakceptują

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Waldemarem Paruchem, szefem rządowego Centrum Analiz Strategicznych

Fot. Andrzej Wiktor

Jaki jest główny wniosek z majowego zwycięstwa PiS? Zwycięstwa historycznego, bo nigdy w całej historii III RP żadna partia nie zdobyła ok. 46 proc. głosów w jakichkolwiek wyborach.

Waldemar Paruch: Po pierwsze, opozycja przegrała wybory, o których myślała, że są już wygrane. W tym sensie powtórzył się scenariusz z roku 2015. Liderzy Koalicji Europejskiej naprawdę wierzyli, że idą po zwycięstwo, mówili o tym niemal publicznie. O narastającej pewności siebie świadczyły również coraz głośniejsze groźby pod adresem całego obozu rządzącego.

Otwarcie szykowano się do zemsty.

Tak. Zapowiadano powołanie różnych komisji, opowiadano o gotowych aktach prawnych.

Znów pycha kroczyła przed upadkiem. Co jeszcze?

Po drugie, te wybory zweryfikowały kilka popularnych tez sformułowanych po wyborach samorządowych. Choćby tę, że nie ma podziału na Polskę wschodnią i Polskę zachodnią w rozumieniu głosowania na poziomie gminno-powiatowym. Opłaciła się konsekwencja, z jaką Prawo i Sprawiedliwość od 2014 r. zdobywało, kawałek po kawałku, kolejne punkty na mapie. PiS wygrało w ponad 80 proc. gmin, a w moim macierzystym województwie lubelskim we wszystkich gminach, włącznie z Lublinem.

A po trzecie?

A po trzecie, okazało się, że wysoka frekwencja wcale nie musi działać na korzyść strony lewicowo-liberalnej.

To jest rzeczywiście obalenie ważnego mitu, uznawanego za świętość co najmniej od wyborów w roku 2007.

To bardzo mocno zaskoczyło wszystkich komentatorów. Nieco mniejszym zaskoczeniem, ale wartym odnotowania, jest to, że ponad połowa Polaków zagłosowała w wyborach przeciwko nurtowi liberalno-lewicowemu, wskazując albo na PiS, albo na Konfederację, albo na Kukiz '15. I o ile nie wiemy, czy wyborcy dwóch ostatnich ugrupowań będą gotowi zagłosować na ugrupowanie rządzące, o tyle wiemy, że na pewno nie zagłosują na Koalicję Europejską. To jest wniosek czwarty. I wreszcie piąty: Prawo i Sprawiedliwość z wyborów na wybory rozwija swoją kulturę organizacyjną. PiS coraz więcej umie.

W jakim sensie? Sprawności kampanijnej?

PiS coraz lepiej rozwiązuje typowe, klasyczne sytuacje w ramach kampanii wyborczej. Potrafi zarządzać stanami kryzysowymi. Ostatnia kampania była pod tym względem szczególnie intensywna, porównywalna tylko z wyborami prezydenckim sprzed czterech lat.

Sprawując władzę, PiS nie było jednak zdolne do narzucenia własnych tematów debaty.

Nie jest to prawda albo – inaczej – to nie o to chodziło. Istotą majowej kampanii było bowiem potwierdzenie prostej tezy – ta część wyborców, która w Polsce wskazuje zwycięzcę,

eprasa.pl 33acfb3920

nie akceptuje polityki radykalnej i rewolucyjnej. Gdy Koalicja Europejska, ścigając się na radykalizm z Wiosną, zapowiedziała, że wywróci Polakom rzeczywistość, że zmieni ich świat codzienny w kontekście światopoglądowym, religijnym, cywilizacyjnym, została jednoznacznie zatrzymana. Wywołała tak dużą mobilizację społeczną przeciw sobie, że już nic nie mogła zrobić.

Czyli to sukces opozycji w narzucaniu tematów debaty był źródłem jej klęski?

Tak. Nie mam żadnych wątpliwości, że wystąpienie Jażdżewskiego, profanacje wizerunku Matki Boskiej, moment wprowadzenia filmu Sekielskich, nie były przypadkowym ciągiem zdarzeń. Moim zdaniem przełomowa była profanacja świętej ikony. Z badań wynika, że 65 proc. Polaków uznała się za osobiście obrażonych tym faktem. Ponad połowa popierała interwencję organów państwowych. Przekroczono granicę, za którą Koalicja Europejska stała się w oczach wyborców siłą zarówno radykalną, jak i opresyjną, próbującą narzucać Polakom antywartości.

Analitycy opozycji sądzili chyba, że społeczeństwo jest znacznie bardziej na lewo, niż naprawdę jest.

To jest jeszcze inne zjawisko. Z roku na rok, zwłaszcza od objęcia rządów przez PiS, utrwala się wśród wyborców przekonanie, że władza – nieważne jaka – nie może ingerować w życie domowe, rodzinne ani codzienne. Polacy nie chcą władzy, która będzie się zajmowała sferą życia prywatnego.

Czy jednak całej dynamiki kampanii nie można odczytać zupełnie inaczej? Oto PiS, po części zmuszone okolicznościami, wysłało dwa bardzo mocne, jednoznaczne sygnały: w obronie cywilizacji chrześcijańskiej i w obronie Polski przed roszczeniami żydowskimi. Ta jednoznaczność dała premię.

Widzę to inaczej. Wprowadzając na scenę Konfederację, a więc ugrupowanie uznawane przez wielu za antyamerykańskie, filorosyjskie i intensywnie podejmujące kwestie żydowskie, a jednocześnie podejmując w kampanii kwestie religijne, spodziewano się konkretnej reakcji Prawa i Sprawiedliwości. Liczono na błyskawiczne upolitycznienie obu tych nurtów debaty. A więc np. silnego ataku na film Sekielskich i ostrej krytyki Izraela, a tym samym perturbacji na arenie międzynarodowej, także w relacjach z USA. W szerszym sensie były to świadomie zorganizowane pułapki, a może i prowokacje.

PiS zamiast konfrontacji wybrało uchylenie się od czołowego zderzenia?

Prawo i Sprawiedliwość zareagowało doskonale. Rzeczywiście jednoznacznie odniosło się do kwestii roszczeń, ale w taki sposób, że nie wywołało poważnej reakcji – czy może nadreakcji – Izraela i USA. A w sprawie pedofilii poprzez szybkie zaostrzenie kar w Kodeksie karnym nie pozwoliło opozycji na sklejenie problemu pedofilii z obozem rządzącym.

Z roku na rok, zwłaszcza od objęcia rządów przez PiS, utrwala się wśród wyborców przekonanie, że władza – nieważne jaka – nie może ingerować w życie domowe, rodzinne ani codzienne

PiS nie zaszkodziło także bombardowanie różnego rodzaju sensacjami: najpierw był przecież atak na prezesa Kaczyńskiego w związku z planami budowy wieżowców, a później atak na premiera Morawieckiego w związku z posiadanymi przez niego nieruchomościami. Dlaczego to nie zadziałało?

Dlatego, że te ataki przeprowadzały media o niskiej wiarygodności społecznej. Wprowadzenie do obiegu społecznego sprawy działki premiera nie mogło mieć żadnego istotnego znaczenia wyborczego, ponieważ zrobiła to „Gazeta Wyborcza". Podobnie jałowe były próby zburzenia wizerunku Jarosława Kaczyńskiego poprzez opisywanie go jako oligarchy miliardera. To już było przekroczenie granicy śmieszności.

Ta gazeta nie jest już sędzią.

Tak, jej działania mają znaczenie dla niewielkiego kręgu wyborców, którzy są już jasno określeni politycznie. A cała premia, którą PiS zebrało, a więc te kilka punktów powyżej progu 40 proc., to nie są wyborcy zdeterminowani ideologicznie lub politycznie. To nie są ludzie, którzy głosują na PiS „od zawsze".

Tych wyborców nie można więc traktować jako trwale zdobytych? Jesienią trzeba ich znów pozyskać?

Trzeba o nich stale zabiegać. Co było najważniejsze w obietnicach PiS? Najważniejszy był znak „+". Piątka Kaczyńskiego ustabilizowała poparcie dla partii rządzącej na poziomie 40 proc., co oznaczało powrót do stanu sprzed kwestii nagród dla ministrów Beaty Szydło. Do tego doszedł jeszcze jeden plus, jeszcze jeden bonus: obrona wolności przed szaleństwem radykałów i liberałów, to przyciągnęło kolejnych wyborców. To był strzał w dziesiątkę wprowadzony osobiście przez Jarosława Kaczyńskiego. To spowodowało, że ujawniły się pozytywne emocje skierowane w stronę PiS.

Właśnie, spokojne, ale stanowcze powiedzenie „nie" przez Jarosława Kaczyńskiego zarówno w sprawie roszczeń, jak i rewolucji obyczajowej okazało się skutecznym zabiegiem mobilizującym wyborców prawicy.

eprasa.pl 33acfb3920

Powtarzam: nie o to chodziło tym, którzy to planowali. Gdyby kampania wyborcza została całkowicie zdominowana np. przez sprawę roszczeń, Konfederacja zawsze by na tym zyskiwała, bo PiS nie mogłoby konkurencji przelicytować, choćby dlatego, że rządzi i na nim spoczywa odpowiedzialność za państwo j i za ewentualne reperkusje międzynarodowe. Co by było, gdyby do sprawy odniósł się np. Donald Trump? Był więc tylko jeden sposób na Konfederację: jej rozwodnienie poprzez podniesienie frekwencji wyborczej. I to się udało. Co ciekawe, PiS nie miało problemów z mobilizacją swoich wyborców w dużych miastach. Największym kłopotem była mobilizacja elektoratu wiejskiego, stąd precyzyjnie adresowane do konkretnej grupy, tak głośno wyśmiewane dopłaty do hodowli krów. Platforma znacznie łatwiej mobilizowała swój elektorat w miasteczkach, wcale nie w metropoliach.

Konfederacja jest martwym projektem?

Moim zdaniem tak. Nawet gdyby teraz przekroczyła 5 proc., też wiele by jesienią nie ugrała. Tam dynamiczną siłą są jedynie narodowcy, Janusz Korwin-Mikke już nie.

A PSL?

Owszem, trzy mandaty są sukcesem tej partii, ale w zestawieniu z pięcioma zdobytymi przez SLD już nie wyglądają tak imponująco. Teraz ludowcy są w bardzo trudnej sytuacji, bo każda z dwóch dróg – albo samodzielny start, albo trwanie w koalicji – może się skończyć śmiercią. Wejście PSL do formacji Schetyny sprawiło, że PiS wzięło wieś, w ciągu kilku miesięcy znacznie poszerzając swoje wpływy.

Kukiz może się podnieść po tym, gdy teraz nie przekroczył progu?

Paweł Kukiz ma dwa problemy. Pierwszy to jego przywództwo, a drugi to dopełnienie oferty tego ruchu. Nie można utrzymać ruchu dłużej niż kilka lat, jeśli wszystko opiera się na dwóch, trzech ogólnych hasłach. Poza tym wyborcy Kukiz '15 zestarzeli się już o niemal cztery lata i zaczęli myśleć nieco inaczej, kierując się także własnymi interesami. Tu warto wspomnieć o mało docenianym osiągnięciu PiS, a mianowicie o odblokowaniu karier i awansów w wielu środowiskach. Klęska PO-PSL w roku 2015 wzięła się m.in. stąd, że zbyt wielu młodych ludzi utknęło na dole drabiny.

Czym to grozi, przekonał się już Władysław Gomułka.

Tak, to się w historii powtarza. Uważam, że należy w tej sferze pójść jeszcze dalej, wciąż wiele instytucji w Polsce zasługuje na przewietrzenie i głębokie zmiany.

Opozycja nie ma chyba innego wyjścia niż trwanie w Koalicji Europejskiej. To niczego jej nie gwarantuje, ale samodzielny start kilku bloków sprawia, że dominacja PiS może być znacznie wyraźniejsza niż dotąd.

Samodzielny start Platformy oznaczałby, że ta partia zdobyłaby dwadzieścia kilka procent. W majowych wyborach, proszę zwrócić uwagę, partia Schetyny schowała swoje logo.

Fot. Andrzej Wiktor

Bo jest to logo znacznie mocniej obciążające niż logo PiS, co potwierdzają badania. Zaangażowano też Donalda Tuska, pełniącego nieformalnie funkcję lidera. To wszystko nic nie dało. Już marna frekwencja na manifestacji w Warszawie powinna być dla liderów Koalicji ostrzeżeniem, że coś jest nie tak.

Czyli, kierując się swoim interesem, powinni pójść razem?

Sprawa jest bardziej złożona, bo nie mogą już zagrać hasłem zjednoczenia opozycji, to już hasło zużyte. Bardziej rozszerzyć się nie mogą, bo jeśli wejdzie Wiosna, to na pewno wyjdzie PSL. Poza tym jest w Polsce pewna część wyborców liberalnych, a jednocześnie bardzo niechętnych PiS, którzy nigdy nie zagłosują na Platformę. Oni po prostu nie akceptują takiego pojmowania liberalizmu, jaki prezentowała PO w latach 2007–2015. A więc neokolonialnego, podporządkowanego sondażom, blokującego awanse, skrajnie metropolitarnego. Spodziewam się więc, że to wszystko będzie zmierzało ku większej Platformie, wchłaniającej mniejsze byty, takie jak Nowoczesna, ale jednocześnie niezdolnej do zagospodarowania całej sceny opozycyjnej.

Czy wynik wyborów oraz frekwencja potwierdziły, że wielkie programy społeczne oraz imponujący rozwój gospodarczy, razem przywołujące w jakimś sensie atmosferę pierwszej połowy lat 70., doprowadziły do uobywatelnienia dużych grup społecznych do tej pory nieaktywnych politycznie?

Widać pewne światełko w tunelu, choć tak daleko jak pan bym nie szedł. Na pewno jest tak, że i te programy, i inny model rozwoju Polski, i dostrzeżenie zaniedbanych regionów, są przez Polaków naprawdę odczuwane i doceniane. Na mojej Lubelszczyźnie wreszcie buduje się infrastrukturę. Co więcej, opozycja, krytykując rządy PiS, nie brała pod uwagę pozytywnych skutków tych rządów, rosnącego optymizmu konsumentów, wreszcie kolejnych inwestycji. Nie brała także pod uwagę, że konsekwentnie realizowano obietnice, każdą następną piątkę, z niczego się nie wycofując. Zwróćmy uwagę: wybory europejskie wygrało PiS prowadzone osobiście przez Jarosława Kaczyńskiego. A więc wyborcy nagrodzili człowieka, który ten projekt Polakom zaproponował, który go firmował.

Słychać, że w końcówce kampanii schowano premiera.

To sformułowanie zdecydowanie zbyt daleko idące. Ale na pewno w głównej roli wystąpił prezes Kaczyński.

eprasa.pl 33acfb3920

Jak napisała „Gazeta Wyborcza", już nie „Kaczor dyktator", ale „wujek Jarek".

Coś w tym jest. Opozycji zabrakło rzeczowej analizy, ale to nie nowość, to jest błąd, który powiela, odkąd utraciła władzę. Oni do dziś nie wiedzą, dlaczego w ogóle przegrali w roku 2015.

Próbowano też powtórzyć schemat z lat 2005–2007, a więc histeria, panika moralna, bunty i rokosze. Nie zauważono, że PiS skorygowało swój kurs, unikając niepotrzebnych konfliktów.

Dodajmy, że parlament przestał być sceną nieustannego, męczącego show. Wszystkie konieczne ustawy zostały sprawnie przeprowadzone. PiS potrafiło pokazać zdolność do realizacji swoich celów przy jednoczesnym obniżeniu emocji społecznych. Te emocje działały na niekorzyść PiS, bo zawsze to na rządzących spada wina za awanturę.

Media straciły rząd dusz w rozumieniu realnym. Wyborcy identyfikują się z określonym kanałem informacyjnym, z określonym programem, ale jednocześnie mają świadomość, że jest on stronniczy

Jakie znaczenie miała pogarda „elit", tych wszystkich celebrytów, którzy tak nachalnie prezentują swoje przekonanie o własnej wyższości?

To już jest bardzo ugruntowany i bardzo powszechny pogląd. Całe grupy zawodowe w istocie nie akceptują stanowiska, że to lud wskazuje zwycięzcę. Uderzenie w religię tylko potwierdziło to podejrzenie.

Mają potężne media, mają po swojej stronie gwiazdy i uwielbianych aktorów, mają wsparcie biznesu. To są poważne zasoby. Dlaczego w zderzeniu wyborczym okazuje się to relatywnie mało znaczące, impotentne?

Opozycja wszystko chce upolityczniać, od odstrzału dzików po strajk nauczycieli. A tego Polacy sobie nie życzą. Kiedy upadł strajk w szkołach? Wówczas, gdy wsparła go opozycja. PiS to rozumie i zachowuje się w wielu przypadkach nadzwyczaj powściągliwie, pewnie wbrew instynktom wielu własnych działaczy.

Ta kampania przyniosła też ciekawe zjawisko bardzo silnych impulsów, które jednak szybko gasną. Strajk nauczycieli nie miał precedensu, dzieci zostały w domach. Była też śmierć Pawła Adamowicza, był ów film Sekielskich. To wszystko wstrząsa krajem, po czym gaśnie. Czy to jest kwestia zmian cywilizacyjnych, szybkiego tempa życia, czy może dowód, że władza PiS jest naprawdę mocno osadzona?

Tłumaczę to inaczej. Otóż Polacy wiedzą, że media są stronnicze. Media straciły rząd dusz w rozumieniu realnym. Wyborcy identyfikują się z określonym kanałem informacyjnym, z określonym programem, ale jednocześnie mają świadomość, że jest on stronniczy.

Wielu liderów opozycji twierdzi, że to TVP dała PiS zwycięstwo. To rzeczywiście był tak kluczowy czynnik?

Twierdzenia opozycji są wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony mamy twierdzenia dotyczące upadku telewizji publicznej, jej zapaści także w sferze oglądalności i wiarygodności, z drugiej sugestie, że przegrali przez Jacka Kurskiego. To jest szukanie kozła ofiarnego, ale mogę ocenić, że przekaz TVP był w czasie tej kampanii budowany dobrze.

Czy zapowiadane włączenie się prezydentów miast, np. Rafała Trzaskowskiego i innych samorządowców, w kampanię wyborczą da coś opozycji?

Rafał Trzaskowski jest znanym politykiem PO, trudno go traktować jako apolitycznego samorządowca. Inna jest sytuacja niektórych prezydentów, ich polityczność była dotąd niska. Oni mogą odegrać pewną rolę, ale też bym nie przesadzał. Przypominam, że gdy prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc, wygrywający wybory w pierwszej turze, postanowił zostać senatorem, przegrał z kretesem. Wyborcy nie zaakceptowali go w tej roli.

W sumie mamy prezydentów miast, którzy zamiast zajmować się chodnikami, bawią się w politykę, i mamy szefa Rady Europejskiej, który stoi na czele opozycji. To nie są europejskie standardy.

To jest kwestia typu opozycyjności przyjętego po wyborach 2015 r., to wynika z owej „totalności". Jeśli PiS zapewni sobie reelekcję, to krajobraz wyraźnie się zmieni.

Spodziewa się pan uspokojenia sytuacji?

Tak. Nikt nie wytrzyma ośmiu lat takiej gonitwy. Poza tym w razie porażki po stronie opozycyjnej musi nastąpić zmiana pokoleniowa. Czy jednak na lepsze, tego nie wiem.

Kampania będzie krótka, to ledwie pięć miesięcy, wliczając w to wakacje. Czy te wielkie polityczne pancerniki mają jeszcze realne pole manewru?

Niewielkie. Nie tylko dlatego, że to ogromne jednostki, ale także dlatego, że partie wychowują swoich wyborców. I PiS, i PO, robią to już wiele lat. Z badań wiemy, że wyborcy opozycji wręcz nienawidzą wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Wyborcy PiS starają się z kolei przekonywać, wyjaśniać, nauczyli się też, że nie można wszystkiego zreformować od razu. Liderzy Platformy nawet gdyby bardzo chcieli zmienić strategię, gdyby chcieli wyjść z opozycyjności totalnej, nie są już w stanie tego zrobić. Ich wyborcy tego nie zaakceptują. Tu zmianę może przynieść tylko krach.

eprasa.pl 33acfb3920

Pilne zadania dla nowego szefa MEN

Dariusz Piontkowski, nauczyciel, były marszałek województwa podlaskiego, wiceprzewodniczący sejmowej komisji edukacji, nauki i młodzieży, zastąpił w fotelu szefa MEN Annę Zalewską, która została posłanką do Parlamentu Europejskiego. Zapytałam przedstawicieli środowisk rodziców i uczniów, jakie są ich zdaniem najpilniejsze zadania dla nowego ministra edukacji

DOROTA ŁOSIEWICZ

1. Zwiększyć wpływ rodziców na edukację

Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, zwraca uwagę na to, że rodzicom często brakuje szczegółowej wiedzy na temat treści przekazywanych dzieciom podczas organizowanych przez stowarzyszenia lub inne organizacje wpuszczane do szkoły zajęć dodatkowych. Zdarza się, że dzieci uczęszczają na zajęcia, na które w przypadku dokładniejszego poinformowania rodziców na ich temat nie zostałyby zapisane. Zdaniem Marka Grabowskiego konieczne jest podniesienie poziomu zajęć dodatkowych w szkołach, a to ma charakter ponadpartyjny i leży w interesie każdego rodzica.

– Ustawa z 14 grudnia 2016 r. – Prawo oświatowe – przewiduje konieczność uzyskania pozytywnej opinii rady rodziców oraz wydania zgody przez dyrektora szkoły lub placówki przed podjęciem przez stowarzyszenie lub inną organizację działalności w danej szkole lub placówce. Takie środki nie są jednak wystarczające – tłumaczy Grabowski.

Prezes Fundacji Mamy i Taty stoi na stanowisku, iż konieczność sporządzania przez wspomniane podmioty prospektu informacji wychowawczej umożliwiłaby rodzicom sprawowanie rzeczywistej kontroli nad sposobem edukacji dziecka podczas zajęć dodatkowych. Szczegółowa informacja o przebiegu zająć ograniczyłaby

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. Shutterstock

Rok szkolny kończy się świadectwem ucznia, może warto, by świadectwo z ocenami otrzymał również nauczyciel? – proponuje Anna Nowak, pedagog i psycholog z Warszawy

możliwości manipulacji treściami różnym organizacjom, które wchodzą do szkół z zajęciami dodatkowymi. Rodzice musieliby znać wcześniej treści i materiały, które byłyby prezentowane na danych zajęciach. Ponadto oprócz samej informacji na temat ewentualnych zajęć rodzice powinni mieć możliwość wyrażenia sprzeciwu co do ich organizacji oraz wpływu na ich kształt.

– Opinia rady rodziców nie odzwierciedla poglądów samych rodziców, jest to ciało kojarzone z prowadzeniem działań w sprawach organizacyjnych, nie zaś podejmowaniem decyzji dotyczących treści zajęć dodatkowych, nieraz bardzo ściśle związanych z obyczajowością lub innymi kluczowymi dla sposobu wychowania tematami – uważa Grabowski.

Stąd postuluje zmianę art. 86 ustawy Prawo oświatowe (zmianę już opracowali prawnicy), tak by rodzice dostali realne narzędzia umożliwiające im wywarcie wpływu na kształt i samo organizowanie dodatkowych zajęć. – W ten sposób urzeczywistnione zostałoby konstytucyjne prawo rodziców do wychowania dziecka zgodnie z własnymi przekonaniami, wyrażone w art. 48 Konstytucji RP – podkreśla Grabowski.

– Sposób wyrażenia przez rodziców zgody na organizację zajęć w danym kształcie może być przedmiotem dyskusji. Należy pamiętać, że postawienie organizatorom zajęć zbyt dużych wymagań i zbytnie skomplikowanie procesu organizacji zajęć może paraliżować działalność, którą dane stowarzyszenia i organizacje winne prowadzić, i spowodować znaczne zmniejszenie liczby zajęć dodatkowych. Dlatego odpowiednim wydaje się tryb, w którym za zgodę rodzica poczytuje się brak jego sprzeciwu w odpowiednim terminie – tłumaczy Grabowski. – Wspominany art. 86 ustawy Prawo oświatowe jest jedynym przepisem regulującym opisywaną materię. Proponowana przez Fundację Mamy i Taty zmiana ustawy wypełniłaby więc lukę prawną.

Wprowadzenie nowych przepisów zwiększyłoby zdaniem Marka Grabowskiego kontrolę rodziców nad procesem wychowawczym. Nowa regulacja dałaby także rodzicom możliwość żądania odszkodowania od szkoły i organizacji, która poprowadziłaby zajęcia niezgodnie z przygotowanym prospektem.

– Taka zmiana prawa wzmocniłaby nie tylko rodziców, lecz także dyrekcję szkoły, która ma teraz w dużym stopniu związane ręce: z jednej strony jest bowiem kuratorium oświaty, a z drugiej samorząd, który może wywierać presję na wprowadzenie określonych zajęć, grożąc przykładowo wstrzymaniem środków na remont hali sportowej – tłumaczy Grabowski. – Gdy większość rodziców nie wyrazi zgody na dane zajęcia, wówczas dyrekcja będzie mogła odmówić ich organizatorom, powołując się na wolę rodziców, a nie własne widzimisię – dodaje prezes Fundacji Mamy i Taty.

2. *Wzmocnić rady rodziców*

O wzmocnieniu roli rodziców mówi także Wojciech Starzyński, prezes Zarządu Fundacji „Rodzice Szkole". Obok konieczności korekty części podręczników, weryfikacji i dalszego doskonalenia innych materiałów edukacyjnych, całkowitej zmiany systemu kształcenia nauczycieli, zwiększenia uprawnień dyrektora szkoły jako menedżera, kierownika zakładu pracy i lidera lokalnego środowiska oświatowego Starzyński wskazuje na bezapelacyjną konieczność uporządkowania sytuacji rad rodziców. Celem zmian miałoby być przygotowanie rodziców do roli współodpowiedzialnych za oświatę i szkołę ich dzieci.

– Chodzi m.in. o jednoznaczne wyjaśnienie statusu rady rodziców, która powinna być wyposażona w możliwość podejmowania czynności prawnych, to się wiąże z prowadzeniem gospodarki finansowej przez radę rodziców. Pierwszy krok w tym kierunku został zrobiony poprzez umożliwienie radom posiadania rachunków bankowych – tłumaczy Starzyński. – Rada rodziców powinna mieć także możliwość występowania o ocenę pracy dyrekcji szkoły – uzupełnia Starzyński.

Według Fundacji „Rodzice Szkole" Prawo oświatowe wymaga nowelizacji i przyjęcia rozwiązań wskazujących, że rady rodziców: działają na zasadach stowarzyszeń zwykłych, nie mogą zawierać umów kredytu lub pożyczki, nabywać nieruchomości lub praw użytkowania wieczystego, ustanawiać ograniczonych praw rzeczowych, przejmować długów, zawierać umów poręczenia lub innych podobnych umów, odpowiadają za swoje zobowiązania swoim majątkiem, obligatoryjnie gromadzą środki finansowe na swoim rachunku bankowym. Konieczne jest także wyposażenie rad w prawo do: występowania do organu sprawującego nadzór pedagogiczny nad szkołą lub placówką z wnioskami o ocenę pracy dyrektora szkoły, dokonywanie raz do roku oceny współpracy dyrektora szkoły z radą rodziców i przedstawia-

eprasa.pl 33acfb3920

nia tej oceny organom prowadzącym i organom nadzoru pedagogicznego, zgłaszania propozycji zapisów dotyczących treści w statucie szkoły. Konieczne byłoby także umożliwienie korzystania z funduszy publicznych na organizację szkoleń rodziców i rad rodziców w zakresie ich praw i obowiązków w systemie oświaty.

– Jeśli system ma się zmieniać w pożądanym kierunku, po prostu konieczne jest wprowadzenie rozwiązań, które będą umożliwiały ocenę pracy dyrektora oraz nauczycieli środowiskom zewnętrznym w stosunku do struktur szkolnych. Chodzi o ocenę, nie kontrolę – podkreśla Starzyński. – Sytuacja strajkowa pokazała nam wyraźnie, że jeśli w sprawy edukacji i oświaty nie zaangażuje się szerszego kręgu społecznego, szczególnie rodziców, wówczas nie uda się doprowadzić do powstania szkół na miarę XXI w.

3. *Zerwać z metodą „3 × z"*

Piotr Wasilewski, przewodniczący Rady Dzieci i Młodzieży RP przy Ministrze Edukacji Narodowej, podkreśla, że edukacja wiąże się zarówno z oświatą, jak i wychowaniem, dlatego przy budowaniu sprawnego systemu zawsze warto postawić na pierwszym miejscu wartości, które kształcą w sobie młodzi ludzie. To fundament, którego nie może zabraknąć. Właśnie dlatego, jego zdaniem, system edukacji w Polsce powinien być odporny na wszelkie zagrożenia ideologiczne, które nie są zgodne z wartościami rodziców i uczniów.

– Dzisiaj na całym świecie dokonuje się kolejna zmiana pokoleniowa, która jest spowodowana szybkim postępem technologicznym. W związku z tym nie możemy zatracić łączności między pokoleniami i musimy trwać w stałym i skutecznym dialogu. Właśnie po to działa Rada Dzieci i Młodzieży RP. Chcemy przekazywać postulaty uczniów i rozmawiać o tym, jak dostosować system edukacji do nowych technologii tak, aby wychowywał, a jednocześnie dostosowywał do rynku pracy. To jest właśnie największe wyzwanie, które stoi dzisiaj przed decydentami – nie ma wątpliwości Wasilewski. – Kształcenie kompetencji miękkich poprzez pracę metodą projektu, znajomość przez uczniów metod uczenia się, doskonalenie pamięci długotrwałej, a nie jak dotychczas tylko zgodnie z zasadą „3 × z", czyli „zakuj, zdaj, zapomnij", także skuteczne doradztwo zawodowe – to ważne zadania, nad którymi warto pracować wspólnie w grupie: uczniowie, nauczyciele i rodzice. Nie można zapomnieć o tym, że to uczniowie są adresatami systemu edukacji i to ich dobro powinniśmy stawiać na pierwszym miejscu – dodaje Wasilewski.

Właśnie dlatego zdaniem przewodniczącego Rady Dzieci i Młodzieży RP kluczowe jest wspieranie uczniów osiągających sukcesy zarówno w nauce, sporcie, działalności artystycznej, jak i w działalności społecznej: w formie wolontariatu, samorządu uczniowskiego, młodzieżowej rady czy harcerstwa, ponieważ to właśnie w tych obszarach kształci się kompetencje miękkie, które tak bardzo są dziś potrzebne w dorosłym życiu.

– Młodzi ludzie potrzebują dzisiaj autorytetów. Często są to ważni bohaterowie historii, którzy dawali dobry przykład swoim życiem, czy też religia. Jeśli zostaną zapomniani, młodzież gubi się, szuka ich gdzie indziej – w alkoholu, narkotykach czy seksualizacji. Doskonale obrazuje to raport Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej. Stawianie wzorów do naśladowania to duże wyzwanie w dzisiejszym świecie. Wierzę, że wspólny dialog i chęć wszystkich podmiotów to dobra droga do dostosowywania polskiej szkoły do nowych technologii i dzisiejszych wyzwań – kończy Piotr Wasilewski.

4. *Poprawić jakość nauczania*

Swoje postulaty pod adresem nowego szefa MEN wysuwają także rodzice niezwiązani z żadną fundacją czy stowarzyszeniem. – Główne postulaty, jakie wysunęłabym wobec nowego kierownictwa MEN, są ściśle związane z niedawnym strajkiem nauczycieli – mówi Anna Nowak, mama trojga dzieci, pedagog i psycholog z Warszawy. – Cztery z nich dotyczą zawodu nauczyciela, byłyby to: istotna modyfikacja Karty nauczyciela oraz wprowadzenie systemu oceniania nauczyciela w kategoriach jakości nauczania. Obydwa postulaty ściśle się z sobą łączą: aktualnie nauczyciele narzekają na zbyt długą ścieżkę awansu zawodowego, według mojej oceny okresowe i relatywnie częste (coroczne?) ewaluacje pracy pedagogów mogłyby tę ścieżkę skrócić. Rok szkolny kończy się świadectwem ucznia, może warto, by świadectwo z ocenami otrzymał również nauczyciel? – proponuje psycholog z Warszawy. – Karta nauczyciela w dużej mierze betonuje system oświaty i niestety przyczynia się do bezczynności i roszczeniowości samych nauczycieli. Wynikające z Karty przywileje powinny zostać ograniczone i uzależnione właśnie od jakości pracy. Oczywiście należy również poprawić system wynagradzania i motywowania nauczycieli – to kolejny postulat, który łączy się z poprzednimi. Nauczycielom po prostu musi się opłacić pracować dobrze. Czwartym, ostatnim postulatem z tego zakresu, również ściśle związanym z poprzednimi, jest system doskonalenia zawodowego nauczycieli. W ramach doskonalenia zawodowego przedstawiciele innych zawodów, takich jak chociażby lekarze, farmaceuci, radcy prawni, adwokaci, notariusze, muszą przechodzić okresowe szkolenia, zbierać punkty, które dają im prawo do dalszego wykonywania zawodu. Tak powinno być również w przypadku nauczycieli. Myślę, że w Polsce pokutuje traktowanie tego zawodu jako „misji", co niejako zwalnia z oczekiwań dotyczących poziomu nauczania, unika się oceniania nauczycieli z obawy o uchybienie „misyjności". Tymczasem do nauczycielstwa trzeba mieć kompetencje osobowościowe jak do wielu innych zawodów, w których podstawą jest relacja z drugim człowiekiem, równie misyjny jest zawód psychologa, psychiatry czy terapeuty. Nie ujmując misyjności, należy ją jednak weryfikować – również za pomocą oceny jakości nauczania czy etyki zawodowej – nie ma wątpliwości Anna Nowak.

Na pewno jednak pierwszym, niełatwym, wyzwaniem dla nowego szefa MEN będzie brak miejsc w szkołach średnich w całej Polsce. Do szkół chcą się dostać bowiem dzieci po ukończeniu szkoły podstawowej w nowym systemie i gimnazjum w starym systemie. Choć stolica przygotowała w placówkach dwa razy więcej miejsc niż przed rokiem, to wciąż brakuje ich kilka tysięcy.

eprasa.pl 33acfb3920

To jest czas, który Orlen musi wykorzystać dla dobra koncernu i Polski

Zdaliśmy egzamin z niezależności i daliśmy odpór przeciwnościom, które bez ostrzeżenia spotkały nas ze strony rosyjskiej – mówi Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, w rozmowie z Michałem Karnowskim i Maciejem Wośko („Gazeta Bankowa")

eprasa.pl 33acfb3920

Zacznijmy od najbardziej bieżącego tematu związanego z naszym rynkiem paliwowym – zanieczyszczonej ropy i odszkodowań dla polskich rafinerii. Podczas spotkania w Moskwie dotyczącego przywrócenia dostaw czystej ropy rurociągiem Przyjaźń do Polski zaprezentowano mechanizm rekompensat między Transnieftem a producentami ropy. Przełom? Mówimy o sukcesie czy jeszcze trochę za wcześnie?

Daniel Obajtek: Trzeba powiedzieć, że w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy zrobiliśmy w Orlenie olbrzymi postęp w procesie dywersyfikacji dostaw ropy. To nie było i nie jest łatwe, bo patrząc na światowy rynek odbiorców ropy, Orlen wciąż nie jest dużym graczem. Kiedy połączymy się z Lotosem, staniemy się dopiero średnim odbiorcą. Dlatego dywersyfikację zaczęliśmy od zakupów spotowych, po 100 tys. ton surowca, a dziś mamy również długoterminową umowę z Saudi Aramco. Uwiarygodniamy się w oczach światowych kontrahentów, gigantów tego rynku. Doprowadziliśmy do sytuacji, że około połowy dostaw ropy do płockiej rafinerii pochodzi z innych kierunków niż wschodni.

Czyli zamknięcie rurociągu Przyjaźń było swego rodzaju crash testem?

Dywersyfikacja dostaw, dzięki której aż 50 proc. ropy sprowadzanej do rafinerii w Płocku pochodzi z innego kierunku niż wschodni, faktycznie okazała się naszym zabezpieczeniem. Bardzo ważne było również to, że Orlen ma odpowiednią infrastrukturę, np. kawerny do magazynowania ropy w IKS Solino i cały system bezpieczeństwa. To wszystko zadziałało, gdy ropa została zanieczyszczona i okazało się, że w rurociągu Przyjaźń płynie surowiec ze zbyt wysokim stężeniem chlorków organicznych. PERN zamknął rurociąg, dzięki czemu nasza rafineria nie została uszkodzona. To była praca zespołowa. Właśnie dywersyfikacja i dostęp do „okna morskiego" zapewniły i zapewniają bezpieczeństwo surowcowe Orlenowi, ale także bezpieczeństwo energetyczne państwa. Dzięki temu nie było presji na pilne szukanie sposobu na odblokowanie dostaw rurociągiem Przyjaźń i mogliśmy twardo negocjować z Rosjanami, bo jesteśmy zabezpieczeni.

No tak, ale w rurociągu wciąż pozostawała „brudna" ropa. Ktoś musi ją przerobić.

Każda rafineria wie, ile przyjęła ropy w kwietniu na podstawie realizowanych kontraktów. Wszyscy mamy też wiedzę, ile posiadamy wkładu w tzw. wsad technologiczny, czyli wypełnienie systemu w celu zapewnienia jego funkcjonowania. Każdy klient korzystający z systemu przesyłowego ropy PERN powinien postępować racjonalnie i przerobić ilość przynależnej do niego ropy, również tej zanieczyszczonej.

> Doprowadziliśmy do sytuacji, że około połowy dostaw ropy do płockiej rafinerii pochodzi z innych kierunków niż wschodni. To zapewnia bezpieczeństwo surowcowe Orlenowi, ale także bezpieczeństwo energetyczne państwa

Tymczasem Rosjanie zaczęli się niepokoić...

Jeszcze parę lat temu taka sytuacja byłaby nie do pomyślenia. Teraz nie dość, że PERN, polski operator rurociągu, zamknął zawór po naszej stronie, to jeszcze powiedzieliśmy po miesiącu braku dostaw ropy z Rosji: „Nie otwieramy rurociągu!". To trochę tak, jakby kogoś wrzucić do piekła, a sprawdzając po jakimś czasie, czy już się w ogniu piekielnym usmażył, usłyszeć: „Zamknij drzwi, bo robisz przeciąg". Szok! Jak to możliwe? Głównie dzięki wprowadzeniu mechanizmów bezpieczeństwa i dywersyfikacji. Dzięki temu mogliśmy trzymać twarde stanowisko w prowadzonych negocjacjach ze stroną rosyjską. To oznaczało, że dopóki strona rosyjska nie uzna naszych roszczeń i nie wskaże odpowiedzialnego za tę sytuację, nie weźmiemy tej ropy. I to Rosjan zaskoczyło.

Więc uznali nasze roszczenia?

To nie było od razu takie oczywiste. Sytuacja była bardzo napięta od samego początku. Bardzo ważne było i jest wsparcie naszego rządu: premiera Mateusza Morawieckiego oraz ministrów: Krzysztofa Tchórzewskiego i Piotra Naimskiego. Ostatecznie Transnieft, rosyjski odpowiedni polskiego PERN, bierze na siebie winę za zanieczyszczenie, a my składamy roszczenia do naszych partnerów – do rosyjskich producentów ropy, którzy z kolei po odszkodowania pójdą do operatora rurociągu – Transnieftu. Teraz liczymy straty, koszty całej operacji i z tymi wyliczeniami wystąpimy do naszych dostawców. To efekt ubiegłotygodniowych, niezwykle twardych negocjacji. Mogliśmy sobie na to pozwolić, bo nie było żadnego zagrożenia, żeby w Polsce rafineria przestała pracować. Nie baliśmy się ograniczenia sprzedaży na stacjach, nie zagrażały nam wahania cen. Sytuacja była i jest stabilna. Zdaliśmy egzamin z niezależności i przeszliśmy ten test.

Cena ropy wzrośnie?

O to proszę pytać Donalda Trumpa (śmiech). Cena ropy zależy od sytuacji na świecie. Nikt nie określi wiarygodnie, jak będzie się ona kształtować w przyszłości. Na cenę paliwa na stacjach wpływa jednak nie tylko cena ropy. Trzeba zwrócić uwagę na znaczne ograniczenie działalności mafii paliwowej w Polsce. To jest zasługa rządu i premiera Mateusza Morawieckiego. Orlen współpracuje ściśle w tym procesie z Krajową Administracją Skarbową.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl 33acfb3920

Efekt? Więcej produkujemy i sprzedajemy, a produkujemy więcej, bo rynek jest coraz lepiej zabezpieczony przed niekontrolowanym dopływem nielegalnego paliwa.

Skoro więcej produkujecie, więcej kupujecie.

I tu trzeba wrócić do fuzji Orlenu z Lotosem. Jeśli staniemy się średnim graczem na globalnym rynku, łatwiej będzie nam negocjować ceny dostaw, być może uda się zmniejszyć znaczenie pośredników i staniemy się bardziej odporni na wahania cen. Fuzja pozwoli zmniejszyć też koszty operacyjne, nie będziemy dublować pewnych procesów – a to może korzystnie wpłynąć na cenę na stacji. Pamiętajmy, że cały przemysł pracuje dziś na niskich marżach. Dlatego stabilność ceny paliwa jest tak ważna – każde większe wahnięcie może się przełożyć na zyski przedsiębiorstw, a ostatecznie na wynik całej polskiej gospodarki. Orlen ma ogromny wpływ na gospodarkę i gospodarka ma bardzo duży wpływ na wyniki koncernu. Jedziemy na jednym wózku. Wahania ceny paliwa zawsze ostatecznie odbiją się na naszym wyniku. Mamy dziś 110 mld zł przychodów – liczymy, że wciąż będą się zwiększać, wierzę, że wkrótce także o obroty Lotosu.

Uda się w tej kadencji Komisji Europejskiej uzyskać niezbędne zgody na przejęcie Lotosu?

Chcemy w ciągu najbliższych tygodni złożyć wniosek koncentracyjny. Kończymy fazę prenotyfikacji, musimy odpowiedzieć na wiele pytań. Robimy maksymalną liczbę analiz, żeby skrócić kolejne kroki zbliżające nas do przejęcia przez PKN Orlen pakietu większościowego akcji Grupy Lotos.

Chyba nawet Gdańsk oswoił się już z tą myślą.

Chcę to wyraźnie podkreślić – fuzja, czyli de facto wykup od skarbu państwa akcji Lotosu – nie będzie oznaczać dla Pomorza utraty wpływów z podatków. Siedziba spółki Lotos pozostanie w Gdańsku i tu na takich samych zasadach jak dzisiaj trafiać będzie część podatków CIT. Podobnie będzie z redystrybucją dochodów z PIT pracowników do lokalnego samorządu. Orlen ma bogatą historię przejęć i praktyka jest jedna – zawsze rozwijamy podmioty, w które inwestujemy pieniądze, a w konsekwencji ich wartość wzrasta. Tak było w przypadku Unipetrolu czy Możejek, które dziś przynoszą zyski. Tak było z Anwilem we Włocławku. Lotos zostaje na Wybrzeżu, zmieni się tylko właściciel. Przejmujemy Lotos, żeby inwestować i rozwijać polskie rafinerie, polski przemysł, również petrochemiczny.

Chcę to wyraźnie podkreślić – fuzja, czyli de facto wykup od skarbu państwa akcji Lotosu, nie będzie oznaczać dla Pomorza utraty wpływów z podatków

No tak, chyba że komuś zależy na budowaniu siły samego regionu, nie kraju. Słyszymy to właśnie w Gdańsku. Budujmy lokalny samorząd, by uniezależniać się od wpływów centralnych, krajowych. Na zasadzie moja chata z kraja.

Właśnie z punktu widzenia regionu przejęcie kapitałowe Lotosu przez Orlen jest najlepszym rozwiązaniem. W dłuższej perspektywie nie utrzyma się spółki, której funkcjonowanie oparte jest jedynie na rafinerii. To zrozumieli Czesi, sprzedając nam Unipetrol. Za kilka, kilkanaście lat, gdy spadać zacznie ilość kupowanego paliwa, oleju napędowego – koncern naftowy musi mieć drugą nogę petrochemiczną. Trzeba grać w grupie. Koncerny paliwowo-energetyczne w Europie już dawno zostały połączone.

To wciąż punkt widzenia prezesa Orlenu. Lotos chce podmiotowości.

Nieprawda. To ekonomiczny punkt widzenia. Nikt nie wydaje miliardów, żeby nie rozwijać spółki. To patrzenie z perspektywy optymalizacji operacyjnej, zakupowej, logistycznej. To wzięcie pod uwagę Narodowego Celu Wskaźnikowego, to kwestia biododatków do paliw, rozwoju rolnictwa, rozbudowy petrochemii, nawozów, produkcji wodoru dla transportu.

Program Rozwoju Petrochemii to przyszłość Orlenu? Rok temu zaprezentował pan plan rozwoju segmentu petrochemicznego. PKN Orlen wyda na petrochemię ponad 8 mld zł. To największe w historii inwestycje spółki w tej dziedzinie.

PKN Orlen jest w bardzo dobrej kondycji finansowej. To efekty zarówno wprowadzonych zmian w zarządzaniu, jak i stanu polskiej gospodarki. Gdyby wciąż rządziła Platforma Obywatelska, dziś spółki zależne PKN Orlen w większości pewnie zostałyby już sprzedane, inne zwiększyłyby koszty razy dwa, a cały zysk wypracowany przez Orlen skonsumowałyby firmy zewnętrzne. Twarde argumenty? Przez osiem lat funkcjonowania Orlenu za rządów Platformy koncern zarobił ok. 5,3 mld zł. Od czasów prezesa Wojciecha Jasińskiego i w czasie mojej działalności przez trzy lata i kwartał tego roku zyski to 19,3 mld zł. Oczywiście, że częściowo to efekt ograniczenia mafii paliwowej, wzrostu gospodarczego – ale to też codzienna praca operacyjna zarządu, przegląd umów, renegocjacja kontaktów. Orlen ma możliwości, perspektywę i szansę na dalsze wzmacnianie swojej pozycji w tej części Europy. Dzięki zyskom mamy możliwość rozwijać się w całym regionie Trójmorza, Wyszehradu. Rozwijamy petrochemię, budujemy najnowocześniejszą w Polsce i jedną z bardziej nowoczesnych w Europie bazę badawczo-rozwojową. Będziemy robić badania, testy, budować własne kompetencje w łańcuchu produkcji petrochemicznej. To jest czas,

eprasa.pl 33acfb3920

który Orlen musi wykorzystać dla dobra koncernu i polskiej gospodarki.

Taka obietnica rozwoju kompetencji padła w 2015 r. w programie Prawa i Sprawiedliwości.

Jestem członkiem Prawa i Sprawiedliwości i wierzę w ten program. Buduje on wartość polskiej gospodarki i firm, takich jak Orlen. Dzięki programowi PiS realizowanemu przez rząd zmieniła się polska wieś, przedsiębiorstwa, przybyło miejsc pracy, bezrobocie spadło do historycznie niskich poziomów. Zrealizowano obiecane w kampanii projekty społeczne dające polskim rodzinom poczucie bezpieczeństwa. To poczucie bezpieczeństwa, które dziś mamy, nie tylko jako gospodarka, ale jako obywatele, pozwala nam myśleć o przyszłych inwestycjach. Także w Orlenie. Ale to wszystko, co udaje nam się realizować, nie byłoby możliwe, gdyby nie wizja i konsekwencja w działaniu śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego i Jarosława Kaczyńskiego, prezesa PiS. I o tym należy pamiętać.

Przez 30 lat goniliśmy europejski peleton. Inwestowali inni.

Wiele mówiło się o wzmacnianiu gospodarki, roztaczane były wizje o „zielonej wyspie". W tym czasie Polacy wyjeżdżali za granicę, a polskie firmy sprzedawano za bezcen lub upadały. Wmawiało się Polakom, że będzie lepiej, a po wyborach – cytując klasyka: „Paliwo może być nawet po 7 zł". Tego nie można zapomnieć. Dziś dzięki temu, że gospodarka się rozwija, dzięki dobrym wynikom mamy więcej pieniędzy do inwestowania. Korzystają na tym również akcjonariusze Orlenu, którym wypłacamy dywidendę. Możemy także inwestować w polski sport. Robert Kubica, siatkarze, lekkoatleci, Grupa Sportowa Orlen – nasz indywidualny program stypendialny. Teraz kolarstwo – wspaniały projekt Orlen – Wyścig Narodów, w którym wzięły udział drużyny z wielu krajów. Proszę mi wierzyć, że zdjęcia polskich Tatr, Podhala w międzynarodowych stacjach telewizyjnych – nasza ojczyzna pokazana jako piękny kraj – to jest wartość. To promocja naszego kraju, to zachęca, żeby Polskę odwiedzić. To jest marketing i społeczna odpowiedzialność biznesu – dzięki temu, że Orlen ma zysk, możemy wzmacniać wizerunek koncernu i naszej ojczyzny.

To dlatego Robert Kubica był dobrą inwestycją?

To jest dobry biznes. Robert Kubica nigdy mi nie obiecywał, że będzie piąty, szósty czy siódmy. Z wielką pokorą podszedł do tego zadania. Polska i świat kochają Roberta Kubicę za to, że wrócił, że odrodził się jak Feniks z popiołów i się nie poddał. Takich ludzi trzeba szanować. My, inwestując w jego starty, inwestujemy w Polaka i w Polskę. On buduje rozpoznawalność marki – swojej, naszej i kraju. Jest symbolem tego sportu. Dzięki nam wrócił na tor, a Orlen wszedł dzięki niemu do Formuły 1. I klienci solidaryzują się z naszą decyzją. Życzę Robertowi jak najlepszych wyników.

eprasa.pl 33acfb3920

MAJA NARBUTT

Jako dziecko był molestowany przez księdza, potem został symbolem walki z pedofilią w Kościele. To była smutna i prosta historia. Okazuje się znacznie bardziej skomplikowana, a jej morał jest inny, niż można było oczekiwać

Efekt aureoli

„Zawiodłem zaufanie ofiar duchownych, naraziłem na szwank dobre imię fundacji". Tak napisał Marek Lisiński, szef Fundacji „Nie lękajcie się", zajmującej się obroną osób molestowanych w dzieciństwie przez księży. Wydał oświadczenie i podał się do dymisji.

Jeszcze niedawno brylował w mediach, chętnie opowiadał o audiencji w Watykanie, podczas której papież Franciszek pocałował go w rękę. Teraz jakby zapadł się pod ziemię, ma wyłączony telefon.

Trudno się dziwić – publikacje prasowe rozbiły w pył jego wizerunek. Najpierw ujawniono, że wyłudził pieniądze od podopiecznej fundacji i cynicznie ją okłamał. A potem przyszedł kolejny cios – okazuje się, że prawdopodobnie wcale przez księdza molestowany nie był.

W dodatku ciosy przyszły z najmniej spodziewanej strony – miażdżący śledczy materiał opublikowały dziennikarki „Gazety Wyborczej". Złożyły różne informacje jak elementy układanki i doszły do wniosku, że Lisiński w 2010 r. fałszywie oskarżył księdza.

Biskup Piotr Libera, który uznał, że ksiądz jest winny, pominął zeznania wszystkich świadków. A sąd uznał, że biskup się nie myli, i przyklepał w 2014 r. wyrok, choć ksiądz do dziś zaprzecza, że molestował przeszłego prezesa fundacji.

Publikacja „GW" wywarła wstrząsające wrażenie. „Do czasu zebrania zarządu i rady nie możemy rozmawiać" – odpisała mi Joanna Scheuring-Wielgus. To właśnie ona była razem z Lisińskim na słynnej audiencji w Watykanie. Wiele osób z jej środowiska jest zszokowanych, sporo jednak stara się bagatelizować znaczenie demaskatorskich publikacji.

– Gdyby zarzuty okazały się prawdziwe, to rzeczywiście – dramat. Ludzie chciwi i nieuczciwi są jednak wszędzie. Lisiński przynajmniej natychmiast zrezygnował, a fundacja działa dalej, choć będzie jej trudniej. Jeden nieuczciwy człowiek, choć trzeba przyznać, że skuteczny, nie unieważni tego powszechnego roszczenia do ukarania przestępców seksualnych w Kościele – mówi mi prof. Magdalena Środa.

Jak podkreśla, patrzy trochę na Lisińskiego z punktu widzenia prakseologicznego, czyli skuteczności działań. W końcu udało mu się przebić do papieża, razem z raportem na temat pedofilii w polskim Kościele.

Z punktu widzenia etyki, czyli dziedziny, którą zajmuje się prof. Środa,

eprasa.pl 33acfb3920

Marek Lisiński i posłanka Joanna Scheuring-Wielgus

Fot. Andrzej Wiktor

brzmi to dość szczególnie. Skuteczność Marka Lisińskiego też stoi pod znakiem zapytania. Owszem, spotkał się z papieżem, jednak bulwersujące informacje, które się pojawiły, sprawiają, że na tę sytuację patrzymy już zupełnie inaczej. Wydaje się, że jej skutek może się okazać odmienny. Będzie skłaniać do rezerwy wobec osób deklarujących, że były molestowane, a nawet może poważnie wpłynąć na społeczny odbiór rozliczeń z pedofilią w Kościele.

DIABEŁ W SZCZEGÓŁACH

Podchodząc do papieża po audiencji generalnej w Watykanie, Marek Lisiński trzymał w ręce swoje zdjęcie jako dziecka. Miało zapewne symbolizować zbrukaną niewinność. Wyraźnie wzruszony papież Franciszek pochylił się i pocałował go w rękę.

To był historyczny moment: ukorzenie się głowy Kościoła przed ofiarą księdza pedofila.

Jednak wydarzenie to nabiera zupełnie innej wymowy, jeśli przyjmiemy, że papież został wprowadzony w błąd, a rzekoma ofiara kościelnej pedofilii była w rzeczywistości oszustem.

– Możemy tylko domniemywać, co działo się w głowie Lisińskiego. Ale całkiem możliwe, że przeżywał chwile triumfu: jeśli kłamał, robił to dobrze, skoro doprowadziło to do takiego finału. Instynktownie od początku wybrał dla siebie najlepsze rozwiązanie: nie mówił wiele o swych przeżyciach, był tajemniczy. Wiedział, że diabeł tkwi w szczegółach i one mogłyby go zgubić – mówi mi psycholog prof. Kazimierz Pospiszyl, autor prac o osobowościach psychopatycznych.

Jak podkreśla, kiedy ktoś kłamie i konfabuluje, musi się liczyć ze zdemaskowaniem, gdy podaje zbyt dużo detali. Nie tylko dlatego, że można je zweryfikować. Im więcej się mówi, tym łatwiej popełnić błąd, powiedzieć coś, co zabrzmi fałszywie i niewiarygodnie. A wtedy następuje efekt domina i cała konstrukcja się sypie.

Jeśli przekopie się przez medialne doniesienia dotyczące Marka Lisińskiego, to pewna rzecz jest uderzająca. Gdy mówił o swych rzekomych przeżyciach, był wyjątkowo powściągliwy. Poruszał się po bezpiecznym gruncie komunałów i ogólników. „Jestem ofiarą pedofilii", mówił i brzmiało to jak hasło, które zamyka temat. Krył się za swym zdjęciem z dzieciństwa jak za tarczą, sprawiał wrażenie, że wszystkie pytania są niestosowne.

– Rzeczywiście nie chciał mówić o sobie. Opowiadał o drastycznych szczegółach dotyczących innych ofiar molestowania, o chłopcu gwałconym w kościele, wokół którego ksiądz rozstawiał świece. Trudno było jednak dociskać przy kawiarnianym stoliku, jak było z nim samym, skoro nie miał ochoty – opowiada dziennikarz Michał Ciechowski, który przeprowadził z nim wywiad dla toruńskiego portalu.

To milczenie było regułą. Kiedy planowano spotkanie członków Fundacji „Nie lękajcie się" z abp. Stanisławem Gądeckim, Lisiński od razu zapowiedział, że nie ma zamiaru opowiadać o swych przeżyciach. I najchętniej pokazałby po prostu swoje zdjęcie z dzieciństwa. Opowiadanie o molestowaniu miałoby być kolejną traumą, której nie chciał przeżywać.

Takie argumenty zamykały usta. Trudno było z nimi polemizować, choć niektóre osoby, które stykały się z Lisińskim, czuły, że jego historia jest trochę dziwna. Działał jednak mechanizm emocjonalnego szantażu. Nieufność i dociekliwość oznaczać miały przecież rozdrapywanie ran i tak już skrzywdzonej osoby.

– Kto odważy się podnieść rękę na osobę, która cierpi, czy rzucić w nią kamieniem? A przecież właśnie tak odbierany jest wszelki krytycyzm

eprasa.pl 33acfb3920

w podobnych sytuacjach. Nie wypada w nic wątpić, to niewybaczalne. Działa tzw. efekt aureoli – jeśli ktoś angażuje się w działania, które oceniamy pozytywnie, to automatycznie rozciągamy na niego pozytywne skojarzenia i dobrze go oceniamy – tłumaczy psycholog Tomasz Witkowski, autor m.in. „Psychologii kłamstwa".

SCHEMAT WYŁUDZEŃ

Podważenie wiarygodności Marka Lisińskiego jako ofiary kościelnej pedofilii ma efekt bomby atomowej. Ale już kilka dni wcześniej opinia publiczna przeżyła szok, gdy ujawniono, że szef fundacji wyłudził pieniądze od jednej z podopiecznych. Niemal natychmiast po tym, jak dwudziestokilkuletnia Katarzyna, więziona i gwałcona w dzieciństwie przez księdza pedofila, dostała rekordowe milionowe odszkodowanie, Lisiński zwrócił się do niej z prośbą o finansowe wsparcie. Twierdził, że ma raka trzustki i może go uratować tylko nowatorska operacja. Wstrząśniętą kobieta przekazała 30 tys. zł, częściowo jako pożyczkę, częściowo darowiznę. Po pewnym czasie zaczęła się zastanawiać, jak to możliwie, że ciężko chory człowiek ani na chwilę nie zwalnia tempa. Na prośbę o pokazanie dokumentacji medycznej Lisiński zareagował agresywnie, co było jego stałą taktyką, gdy czuł się zagrożony.

Nie jest chyba przypadkiem, że schemat wyłudzenia „na chorobę" zastosował już wcześniej. Właśnie w stosunku do księdza Zdzisława Witkowskiego, któremu zarzuca molestowanie. Lisiński wzruszył go opowieścią o chorobie żony – oczywiście była chora na raka. I rzecz jasna, mogła ją uratować tylko pilna operacja, na którą zabrakło pieniędzy. Pożyczkę miał zwrócić, gdy zarobi w Niemczech, dokąd właśnie się wybierał. Ale wkrótce okazało się, że żona Lisińskiego nie jest chora, a on nigdzie nie wyjeżdża i pieniędzy nie odda.

Żądającemu zwrotu długu księdzu Lisiński miał powiedzieć: „Niech ksiądz nie podskakuje, bo są na was haki i mogę księdza załatwić. A wtedy nie tyle ksiądz straci". I oskarżył go o to, że 30 lat wcześniej molestował go jako 13-letniego chłopca.

– Nie można stawiać diagnozy na odległość. Ale można mówić o pewnych prawidłowościach. Bezwzględność w dążeniu do swych celów – bo przecież zniszczenie innego człowieka wymaga bezwzględności i braku empatii – częste kłamstwa i sprawne manipulowanie innymi ludźmi to cechy osobowości dyssocjalnej, zwanej też psychopatyczną – mówi znany psycholog.

Wiele wskazuje na to, że otoczenie odbierało niepokojące sygnały związane z zachowaniem szefa Fundacji „Nie lękajcie się". Jednak wszystko – jego alkoholizm, niestabilność emocjonalną, niedopowiedzenia – albo starano się ignorować, albo kładziono na karb traumy związanej z molestowaniem w dzieciństwie. Nawet kiedy „GW" ujawniła, że wyłudzał pieniądze, znaleźli się obrońcy. Usprawiedliwiali go, tłumacząc, że trzeba zrozumieć, że jako ofiara pedofilii mógł się zachowywać w sposób nieakceptowany społecznie, bo jego życie zostało głęboko zaburzone.

Zamilkli, gdy okazało się, że prawdopodobnie Lisiński nie jest żadną ofiarą pedofilii. Aspołeczne zachowania nie były skutkiem traumy. Trudno więc w tej sytuacji znaleźć dla nich okoliczności łagodzące.

KWESTIA CENY

Jeśli odrzuci się to, co szef Fundacji „Nie lękajcie się" mówił o sobie i co starał się przekazać opinii publicznej, to można zauważyć, że zaskakująco często jego zachowaniem kierowały motywy finansowe. Biskupi kurii płockiej ujawnili jego list, w którym oferował, że jeśli dostanie 200 tys. zł, to nie tylko zrezygnuje z wszelkich pretensji w stosunku do księdza, ale gotów jest wręcz przestać walczyć z pedofilią w Kościele, porzucić fundację i wycofać się z życia publicznego.

Wydawało się logiczne, że szef fundacji, która ma ujawniać kościelną pedofilię, będzie się starał za wszelką cenę nagłośnić problem. Ale słowo „cena" ma w tym wypadku bardzo konkretne i zupełnie inne znaczenie. Marek Lisiński uzależniał bowiem wystąpienie w filmie braci Sekielskich od wypłacenia mu 50 tys. zł. To miała być też zapłata za udostępnienie kontaktów do ofiar pedofilii. „Dałem wam numery do ofiar, namiary na sprawy. I co mam z tego?" – napisał w wysłanym w lutym esemesie. Opinia publiczna dowiedziała się o tym dopiero teraz, po publikacji reportażu „GW". Na pewno byłoby lepiej, gdyby twórcy filmu „Tylko nie mów nikomu", walczącego z hipokryzją i przemilczaniem trudnych tematów, ujawnili tę informację. Być może nie doszłoby wtedy do absurdalnej i żenującej sytuacji, że papież Franciszek całuje w rękę mężczyznę, który podaje się za ofiarę pedofilii. A na miejscu Lisińskiego znalazłby się na audiencji w Watykanie ktoś inny, kto miałby do tego moralne prawo.

Usiłowałam porozmawiać o tym z Tomaszem Sekielskim. Nie odpowiedział jednak na prośbę o rozmowę ani nie odbierał telefonu.

Kiedy ukazał się artykuł ujawniający wyłudzenie pieniędzy od podopiecznej fundacji, którego dopuścił się Lisiński, bracia Sekielscy opublikowali na Facebooku oświadczenie, że są poruszeni informacjami zawartymi w „GW" i mają nadzieję, że jednostkowy przypadek nie osłabi wciąż bardzo potrzebnego ruchu opiekującego się osobami pokrzywdzonymi przez pedofilów.

Po drugim reportażu – który podawał w wątpliwość to, że prezes fundacji był molestowany przez księdza – zamilkli i nie wydali już żadnego komunikatu.

Patrząc na sprawę chłodno, można powiedzieć, że mieli szczęście, że nie chcąc spełnić finansowych żądań, wycięli Marka Lisińskiego ze swego filmu. Bo gdyby ostatecznie potwierdziło się, że wcale nie padł ofiarą molestowania, a został jednym z bohaterów filmu, źle wpłynęłoby to na odbiór „Tylko nie mówi nikomu".

CZARNA SERIA

Historia prezesa Fundacji „Nie lękajcie się", który traktował działalność pro bono jako źródło finansowych korzyści, to tylko jeden z długiej serii podobnych wypadków. Charakterystyczne, że dotyczą one ludzi, którzy deklarują podobne cele: walkę z pedofilią, rasizmem, wszelką dyskryminacją, obronę słabych i pokrzywdzonych.

eprasa.pl 33acfb3920

Podchodząc do papieża po audiencji generalnej w Watykanie Marek Lisiński trzymał w ręce swoje zdjęcie jako dziecka. Wyraźnie wzruszony Franciszek pochylił się i pocałował go w rękę. Jednak wydarzenie to nabiera zupełnie innej wymowy, jeśli przyjmiemy, że papież został wprowadzony w błąd, a rzekoma ofiara kościelnej pedofilii była w rzeczywistości oszustem

Fot. YouTube

Nie skończyła się jeszcze sprawa Rafała Gawła, założyciela Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. Sąd prawomocnym wyrokiem skazał go na dwa lata więzienia za oszustwa i wyłudzenia na szkodę banku, różnych firm, a także Fundacji im. Batorego. Jednak zamiast stawić się w zakładzie karnym, Gaweł wyjechał do Norwegii, gdzie poprosił o azyl, twierdząc, że padł ofiarą prześladowań.

Mniej pomysłowy był Jakub Śpiewak, twórca fundacji Kidprotect, ekspert od ochrony dzieci przed pornografią w sieci. Kiedy okazało się, że zdefraudował 400 tys. zł z kont fundacji, wydając je na luksusowe gadżety i zagraniczne urlopy, rozbrajająco wyznał, że był „niefrasobliwy" i chciał odbić sobie poprzednie, chude lata. Skazano go na dwa lata w zawieszeniu. Prowadzi teraz stronę internetową i uczy rodziców, jak mają wychowywać swoje dzieci.

Szokujące koleje losu są udziałem Krzysztofa Orszagha, założyciela Stowarzyszenia przeciwko Zbrodni im. Jolanty Brzeskiej. Założył je w końcu lat 90., po tym jak bestialsko została zamordowana jego szwagierka. Zaczynał świetnie – upominał się o prawa rodzin ofiar, które często były dyskryminowane na sali sądowej. Został nawet doradcą ministra spraw wewnętrznych. Ale wyszło na jaw, że od bliskich ofiar chciał pieniędzy. Na jakiś czas zniknął. Wypłynął w sposób nieoczekiwany – najpierw postawiono mu zarzut nielegalnych adopcji. A potem trafił do szwedzkiego więzienia, skazany za sutenerstwo i gwałt.

Najbardziej jednak zdumiewający jest przypadek Simona Mola, Kameruńczyka, który walczył w Polsce z rasizmem. W 2000 r. uzyskał status uchodźcy politycznego. A w 2006 r. wybuchł skandal, gdy okazało się, że świadomie zakaził kilkanaście kobiet wirusem HIV.

Dziennikarskie śledztwo przeprowadzone w Afryce, którego byłam współautorką, wykazało, że Mol zmyślił całą swoją heroiczną biografię od początku do końca. Nigdy nie był więźniem politycznym, nie był nawet, jak twierdził, dziennikarzem. Skończył szkołę zawodową i pracował w rafinerii. Przez lata oszukiwał nie tylko kobiety, lecz i środowisko „GW", które go wylansowało, a także polskich urzędników. Ukarała go biologia – zmarł w warszawskim areszcie, do końca twierdząc, że nikogo nie zakażał, bo jest zdrowy.

Psycholodzy, z którymi rozmawiam, są zgodni – ta czarna seria raczej nas niczego nie nauczy. Historia będzie się powtarzać, a my nadal wpadać w sidła osób, które potrafią skutecznie manipulować.

Jak podkreśla dr Wojciech Wypler z UW, specjalista od psychologii kłamstwa, w starciu z doświadczonymi i zdeterminowanymi kłamcami mamy z reguły małe szanse, by ich zdemaskować.

– Kłamca doskonali się tak bardzo w sztuce oszukiwania, że zawsze przewyższa swe ofiary w sztuce pozytywnej autoprezentacji. Moje doświadczenie z obszaru psychoterapii i medycyny sądowej wskazują, że jest to często droga w jednym kierunku, szaleńczy rajd coraz śmielszych oszustw. Czasem do końca kłamca uparcie trzyma się swych kłamstw, wierząc w swoje usprawiedliwienia, zrzucając winę na okoliczności, a nawet widząc się jako ofiarę – twierdzi dr Wypler.

eprasa.pl 33acfb3920

Nie jeździmy tam na wycieczki

W polskości jest coś, co przyciąga nawet na końcu świata – i nawet jeśli jest to 30 osób na dalekim końcu Syberii, to trzeba o nie dbać i na nie chuchać jak na najbardziej delikatny płomyk – mówi ***Artur Warzocha***, senator RP, polityk Prawa i Sprawiedliwości, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Przy rocznicy 4 czerwca wszystkie oczy były zwrócone na Senat, ale to trochę niemrawa część parlamentu.

Artur Warzocha: Panie redaktorze, bez przesady. Może forma dyskusji jest spokojniejsza, nie dochodzi do przepychanek słownych.

Mam na myśli, że Senat stał się maszyną do głosowania. A w zasadzie przyklepywania.

I to nie do końca jest prawda. Ale zostawmy ten spór na kiedy indziej, Senat to nie tylko głosowania, co mocno wybrzmiało w przemówieniu prezydenta Dudy przy okazji 30. rocznicy wyborów.

O co chodzi?

O tradycję z czasów II RP, gdy z inspiracji marszałka Józefa Piłsudskiego, który nie mógł się pogodzić z tym, że Rzeczpospolita Polska w związku z takimi, a nie innymi granicami opuściła część rodaków na Wschodzie, szukał rozwiązania, by otoczyć ich trwałą opieką. I tutaj rola Senatu.

To było sto lat temu.

Ale przetrwało – mimo oczywistej przerwy w czasie komunizmu. Nie jest to co prawda uregulowane prawnie, ale przyjęło się, że senatorowie dbają i troszczą się o kontakt z Polonią, z Polakami za granicą. Po 1989 r. rzecznikiem tego pomysłu był marszałek Andrzej Stelmachowski, który potem zresztą stanął na czele stowarzyszenia Wspólnota Polska.

Opieka i troska brzmią pięknie, ale żeby konkretnie pomóc, potrzeba pieniędzy.

I one są. Oczywiście zawsze za małe, ale są, coraz większe. Mieliśmy po rządach Platformy Obywatelskiej wsparcie na poziomie 60 mln zł rocznie, zwiększyliśmy je do 100 mln zł. Zresztą PO w latach 2012–2015 w ogóle wycofała to wsparcie dla Polonii z Senatu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To był nieudany eksperyment.

Dlaczego?

Bo Polacy zza granicy mieli bezpośredni kontakt z senatorami, z marszałkiem. Warto przypomnieć, że Prawo i Sprawiedliwość zapowiadało jeszcze w kampanii wyborczej 2015 r. powrót finansowania zadań polonijnych. Wielkim orędownikiem tego rozwiązania byli prezes Jarosław Kaczyński, marszałek Stanisław Karczewski i osoba uwielbiana przez Polonię całego świata, przewodnicząca naszej komisji, senator Janina Sagatowska. To kolejna spełniona przez nas obietnica wyborcza, o której mało

eprasa.pl 33acfb3920

> Mieliśmy po rządach PO wsparcie Polonii na poziomie 60 mln zł rocznie, zwiększyliśmy je do 100 mln zł. Zresztą Platforma w latach 2012–2015 w ogóle wycofała to wsparcie dla Polonii z Senatu do MSZ. To był nieudany eksperyment

kto w Polsce wie. W pomyśle Platformy górę brał nurt administracyjno-urzędniczy. A przecież chodzi o to, by budować tożsamość wśród Polonii, uczyć języka polskiego, chronić dziedzictwo.

Wybaczy pan, ale to słowa wytrychy. Można tym załatwić wszystko i nic.

Zgoda. I dlatego proces jest bardzo konkretny: organizacje polonijne, które są naszym partnerem, muszą wypełnić aplikacje, mamy generator wniosków. Po napisaniu projektu następuje jego weryfikacja pod względem formalnym. Następnie Komisja Spraw Emigracji i Łączności z Polakami za Granicą odbywa serię posiedzeń. Wreszcie jest decyzja prezydium Senatu.

Dlaczego to wszystko musi się odbywać przez organizacje, a nie bezpośrednio?

Takich zadań nie można wykonywać bezpośrednio – takie są i normy unijne, i nasze prawo.

Zostawmy administrację. O jakie wsparcie najczęściej proszą Polacy z zagranicy?

Największa część środków płynie na naukę języka polskiego, wymiany dzieci i młodzieży, organizację obozów i imprez o charakterze kulturowym, sportowym. Zależy nam, by środki trafiały do beneficjentów. Tam, za granicą, a nie w kraju. Bywało bowiem tak, że zgłaszał się ośrodek – w nazwie polonijny – a w praktyce środki zostawały w kraju. Nie o to chodzi.

Jak wygląda taka pomoc?

Dużo zależy od kraju, do którego trafiają środki. Są państwa, gdzie po prostu pomagamy we współpracy z miejscową administracją, ale są i takie, gdzie trzeba robić to samodzielnie, od zera. W trakcie kolejnych wizyt widziałem mnóstwo klas i warunków, gdzie prowadzone są takie zajęcia z nauki języka polskiego. Na zachodzie Europy standard jest niezły, choć i tam różnie bywa, ale są i skrajnie trudne warunki – jak prowadzenie zajęć z polskiego na Syberii w miejscowości Wierszyna – w głębi tajgi.

Fot. Andrzej Wiktor

Ile osób uczy się tam polskiego?

W przypadku tej wsi i okolic to ok. 600 Polaków, którzy tam mieszkają. Mamy tam fantastyczną nauczycielkę, która prowadzi zajęcia dla 40–50 dzieci, rozproszonych po różnych szkołach.

Dojeżdża?

Tak. Choć jest i szkoła w Wierszynie, gdzie ze względu na polskie pochodzenie mieszkańców jest pewna życzliwość ze strony rosyjskiej szkoły. To zresztą osobliwe: wchodzi pan do szkoły, na wejściu witają pana flaga Rosji i portret Władimira Putina...

...a w jednej z salek dzieciaki uczą się polskiego.

Tak. Wysyłamy pieniądze nawet do głębokiej tajgi, by przetrwała polskość. Etat nauczycielki opłaca MEN poprzez ORPEG, część projektów jest też organizowana przez MSZ poprzez konsulaty, ale jeżeli mówimy o wyposażeniu sali, wsparcie przy negocjacjach z władzami etc., to wtedy do gry wchodzi Senat.

Senatorowie tam wszędzie jeżdżą?

Staramy się. Co prawda nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na wszystkie zaproszenia, które do nas są kierowane, ale jeździmy. Polską tożsamość tam na miejscu kreują nie tylko wysyłane pieniądze, ale i kontakt z macierzą, jak oni to pięknie nazywają.

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. Andrzej Wiktor

Ile takich wizyt miał pan w tej kadencji?

Przestałem liczyć – przynajmniej kilkadziesiąt.

Powie ktoś – to po prostu fundusz wycieczkowy dla senatorów.

Niepotrzebna złośliwość. Nie jeździmy tam na wycieczki, a pieniądze na wyjazdy nie są z tych 100 mln zł przeznaczonych na pomoc, ale w ramach wydatków Kancelarii Senatu. Jeździmy na krótko, w konkretne miejsca. Chyba że jest to podróż na Syberię jak ostatnio, wtedy siłą rzeczy wyjazd się przedłuża. Najważniejsze w trakcie takich wizyt jest to, że są one katalizatorem sporego ożywienia w środowisku, aktywizacji tamtejszych Polaków.

I jak to wygląda na co dzień?

Dajmy na to Kamczatka jest bardzo specyficzna. To miejsce odosobnione, kiepsko zaludnione, nieprzygotowane infrastrukturalnie do poruszania się. Nie ma zbyt wielu dróg, a Polaków trochę jest. Tam każdy zna nazwiska Dybowskiego, Sieroszewskiego, Piłsudskiego – w polskiej historii trochę zapomnianych – i wymienia jednym tchem. Ostatnio odbyliśmy tam pierwszą w historii wizytę o charakterze parlamentarnym.

Ilu jest tam Polaków?

Dzisiaj to ok. 30 osób.

Czy warto wysyłać spore pieniądze, organizować samolot, by odwiedzić 30 osób na końcu świata?

Okazuje się, że warto. Po takiej wizycie dostałem telefon zwrotny – że są kolejne inicjatywy, pomysły na działalność. A może i na samej Kamczatce znajdziemy kolejnych nowych rodaków? W Pietropawłowsku zorganizowany jest np. Dom Kultur Narodowych. To niesamowite uczucie – jesteśmy na końcu świata, a w szeregu gablot jest i polska, z mapą, ze strojem regionalnym.

Jeżeli mówimy o Rosji, to te wspólnoty rozsiane są w zasadzie po całym kraju. A sama Syberia to przecież olbrzymi obszar. To często rodziny deportowane z dawnych Kresów II RP, ale czasem – tak jak w Wierszynie – to wioska założona przez polskich osadników, którzy przybyli tam bez przymusu, zachęceni przez władze carskie.

Syberia faktycznie daje do myślenia.

Kilka dni temu wróciłem z Energodaru – budowanego jako sypialnia niedaleko olbrzymiej elektrowni atomowej. Ciekawostką miasta jest to, że na 54 tys. mieszkańców większość to osoby z wyższym wykształceniem, inżynierowie pracujący i mieszkający tam z rodzinami. W wyniku wewnętrznej migracji i tam znalazła się grupa Polaków.

To 300 osób mających polskie korzenie, założyły tam stowarzyszenie im. Henryka Sienkiewicza i przygotowują obchody – i to huczne – kolejnych rocznic historycznych. Pytał pan o wagę tych wizyt senatorów – specjalnie dla nas przenieśli obchody 3 maja na koniec miesiąca.

Naprawdę?

Tak. To niezwykłe, bo to ludzie na co dzień pracujący w elektrowni, którzy są psychologami, lekarzami, inżynierami. Proszę wyobrazić sobie, że uszyli polskie stroje ludowe (zgodnie ze wzorem), przebierają się w nie przy okazji rocznic i pracują nad dużym spektaklem. Na scenie Polacy w tych strojach: od 3-latków do 60-latków. Coś niesamowitego.

Może to patetycznie, ale chyba coś jest w tej polskości.

Dokładnie tak. Kolejny przykład – Buriacja, Ułan Ude, republika autonomiczna w Rosji. Podchodzi do mnie w kościele młoda pani, na oko stuprocentowa Buriatka, i mówi czystą polszczyzną. Okazało się, że zajmuje się na miejscu nauką języka polskiego. Jej mama to organistka, pół-Polka, tata Buriat. Mówię o tym dlatego, że w polskości jest coś, co przyciąga nawet na końcu świata – i nawet jeśli jest to 30 osób na dalekim końcu Syberii, to trzeba o nie dbać i chuchać na nie jak na najbardziej delikatny płomyk.

eprasa.pl 33acfb3920

„Wielkie kłamstewka” ***Reese Witherspoon*** *snuć będzie z przyjaciółkami już teraz. Pod czujnym okiem Meryl Streep, w kontynuacji serialowego przeboju HBO. W przyszłym roku, po raz trzeci, wejdzie do kin jako „legalna” blondynka*

Uwielbiana blondynka

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych, a zarazem lubianych aktorek Hollywood. W 2001 r. z humorem połączyła stereotyp pustej Barbie i zaradnej amerykańskiej dziewczyny z sąsiedztwa. Ubrana w różową garsonkę, z pieskiem rasy chihuahua w markowej torebce, wkroczyła pewnie do świata amerykańskiej palestry. Jako Elle Woods – zaskakująco skuteczna w działaniach studentka, a potem absolwentka prawa na Harvardzie – zdobyła rekordowe uznanie widzów.

Nie minęły dwa lata, a pojawiła się w kontynuacji przebojowej „Legalnej blondynki", znów zaskarbiając sobie sympatię wielomilionowej publiczności, by po blisko dwóch dekadach od pierwszej premiery przyjąć propozycję wcielenia się w Elle Woods po raz trzeci. Jak tym razem jej bohaterka poradzi sobie w świecie prawa, polityki i szołbiznesu? Okaże się w przyszłym roku. Tymczasem Reese Witherspoon idzie za ciosem innego sukcesu – serialu „Wielkie kłamstewka".

ZA FASADĄ

Gdy na początku 2017 r. rozpoczynała się emisja, nic – może poza aktorskim składem – nie zapowiadało takiej reakcji. Tymczasem historia rozgrywająca się w malowniczym amerykańskim miasteczku, wśród przykładnych matek i zaradnych pań domu, rozbiła bank z nagrodami. Sielski obrazek okazał się fasadą, za którą widzowie znaleźli niejednoznaczne postaci i nieoczywiste fabularne rozwiązania: przewrotność, tajemnicę i mroczny humor.

Adaptacja powieści Liane Moriarty okazała się telewizyjnym hitem, zdobywającym też cenne nagrody: w tym cztery Złote Globy i osiem statuetek (!) Emmy. I chociaż nominowanej do Złotego Globu Reese nie udało się zdobyć tytułu najlepszej aktorki (wyprzedziła ją koleżanka z planu, Nicole Kidman), jako producentkę sukces „Wielkich kłamstewek" musiał ją usatysfakcjonować.

Serial zrealizowany z mocną kobiecą obsadą (wspomniane Nicole Kidman i Reese Witherspoon, a także Laura Dern, czy – uwielbianej przez nastolatki po kinowej serii „Niezgodna" – Shailene Woodley) był dla Witherspoon pierwszym spektakularnym sukcesem jej producenckiej firmy Hello Sunshine.

W kontynuacji (której emisja na antenie HBO rozpocznie się w Polsce 10 czerwca) do obsady dołączyła Meryl Streep. Oku stworzonej przez nią teściowej niewiele umknie.

ZWYCZAJNE ZWIĄZKI

W „Wielkich kłamstewkach" Witherspoon gra matkę, ale też świadomą swoich możliwości kobietę. Ta rola 43-letniej dziś aktorce w życiu też całkiem nieźle wychodzi. Ma troje dzieci. 20-letnia dziś Ava Elizabeth urodziła się w 1999 r. – przełomowym dla Reese, także aktorsko. Sukces odniosła wtedy uwspółcześniona wersja „Niebezpiecznych związków", czyli „Szkoła uwodzenia", w której 23-letnia (!) Witherspoon, zagrała przekonująco niewinną nastolatkę, udowadniając jednocześnie, że może już wyrosnąć z dziecięcych ról (przed kamerą stanęła pierwszy raz jako siedmiolatka).

Valmonta w „Szkole uwodzenia" zagrał Ryan Phillippe, od 1999 r. mąż Reese i ojciec dwójki jej dzieci. W 2003 r. urodził się Deacon Reese Phillippe. Małżonkowie dzielili się opieką nad dziećmi. Nie wynajęli na stałe niani. Filmowe umowy podpisywali tak, by gdy jedno pracuje, drugie pozostawało w domu. Uchodzili za małżeństwo idealne, a mimo to rozeszli się w 2006 r. Pozostają jednak w dobrych relacjach. Osiem lat temu Reese ponownie wyszła za mąż i urodziła syna Tennessee Jamesa Totha.

W DRODZE

Witherspoon nie oferuje na ekranie aktorskich fajerwerków, ale jest przez widzów lubiana. Jej warsztat doceniają też zawodowe gremia. Za rolę June Carter, piosenkarki i muzy Johnny'ego Casha, w filmie „Spacer po linie" (2005) została nagrodzona Oscarem. Nominację od Akademii przyniosła jej też „Dzika droga" (2014), w której wyruszyła w samotną pieszą wędrówkę obejmującą tysiąc mil.

Poza rodziną i aktorstwem Reese angażuje się w działania społeczne, produkuje też filmy, wydaje poradnikowe książki i ma własną markę odzieżową. Kiedy w 2015 r. odbierała nagrodę miesięcznika „Glamour" dla Kobiety Roku, podkreślała: „Bycie ambitną jest wspaniałe i sexy". Zaznaczyła też, że w 2010 r. założyła firmę producencką, by „tworzyć więcej ról dla kobiet – na ekranie i na planie". Wzięła, jak mówi, sprawy w swoje ręce, pamiętając słowa matki: „Chcesz, żeby coś się zmieniło, rusz się i zrób z tym coś".

Reese Witherspoon w filmie „Wielkie kłamstewka"

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl 33acfb3920

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wiarygodna twarz jazzmana

„Mój rower" Piotra Trzaskalskiego umknął mi w 2012 r. Nie jeździłem wtedy na festiwal do Gdyni, przez kina ledwie przemknął. Dlaczego teraz przypomniał go Program II TVP? Nie wiem.

Zawsze oglądam takie filmy o relacjach w rodzinie z mieszanymi uczuciami. Odwołują się do archetypów. Musi powstać ileś dzieł o relacjach matka-córka, ileś o napięciach między ojcami i synami, ileś o generalnych obrachunkach na linii rodzice-dzieci. Celuje w tym kino amerykańskie, ale Europejczycy, w tym Polacy, nadganiają, jak mogą. Nie ma mowy, aby w popkulturze coś się nie powtarzało. Ale tu najczęściej widać szwy. Przewidywalne są sztuczki, aby nas wzruszyć, zakończenia układają się w morał. Myślimy sobie wtedy: w życiu często bywa inaczej, boleśniej, trudniej. W każdym razie ja myślę.

Trzaskalski zaczął przed 17 laty od „Ediego", który też był wielkim wyciskaczem łez, może oryginalniejszym od „Mojego roweru". Sięgając po bezdomnego jako bohatera, przywrócił zarazem Henryka Gołębiewskiego, gwiazdę kina dziecięcego z czasów Gierka, kinematografii. Trudno mieć do reżysera pretensje, że czuje emocje zwykłego widza. A schemat trzech pokoleń mężczyzn: dziadka, ojca i syna, to właściwie samograj.

Co nie znaczy, że nie mamy do czynienia z bumerangiem. 11 lat przed „Moim rowerem" Ryszard Bugajski nakręcił przekonujący, sympatyczny „W kogo ja się wrodziłem". Tam też mamy dziadka, ojca i syna, też drążony jest problem obcości i bliskości, wzajemnych pretensji, poczucia winy. Są różnice: u Bugajskiego wszystko kręci się wokół ojca (Krzysztof Kolberger), który okazuje się chory. W „Moim rowerze" chory jest dziadek, a młodsi próbują mu, z różnym natężeniem entuzjazmu, pomóc. Ale są i punkty wspólne. W obu filmach syn (czyli wnuczek) będzie miał dziecko. I tam, i tu dochodzi w końcu do pojednania, ponad urazami i słusznymi nieraz żalami.

Takie filmy przez samą prorodzinną wymowę mają w sobie coś solidnie tradycyjnego, nawet jeśli poszczególne odpowiedzi dalekie są od nauk Kościoła. I choć powtarzalne, i po części przewidywalne w swoich morałach, przekonują mnie za każdym razem. Bo, zakładam, pomagają wielu widzom podejść bardziej sensownie do własnego życia. Może z tego powodu warto na szwy, uproszczenia, przymknąć oko.

„Mój rower" dla mnie ma dodatkowy wymiar. W liceum mój najbliższy kolega pomógł mi wyrobić sobie pierwsze gusty muzyczne. Pośród pierwszych podsuwanych idoli poza Mike'em Oldfieldem czy Pink Floydami pojawił się także jazzman Michał Urbaniak. Kiedy oglądałem go po latach, na początku nowego stulecia, na koncercie w budynku SGGW-AR, byłem zdumiony. To ja się starzeję, a on ciągle taki sam, myślałem z zazdrością. A jego muzyka, acz jak to jazz trudna do zanucenia, pozostała, jaka była – porywająca.

Urbaniak, grający tu dziadka, głowę rodziny muzycznej, nie ma aktorskiej techniki. Bije go nią grający syna Artur Żmijewski, ba nawet wnuczek, Krzysztof Chodorowski, wtedy w szkole teatralnej, jest bardziej sprawny w imitowaniu emocji. A jednak... Po pierwsze, znam ludzi, którzy mówią tak monotonnie i z tak oszczędną mimiką. Jeden jest nawet podobny do Urbaniaka. Po drugie, muzyk, nawet jeśli nie oddaje emocji w skali 1:1, jest wiarygodny w opowiadaniu tej historii. Nie musi to być do końca jego historia. Ale jeśli zdecydował się jej dać własną twarz, ja mu wierzę. Ot taki fenomen kina. Szwy znikają, kiedy pojawia się klimat.

Piotr Zaremba

ennasz.pl 33 [illegible] 3920

Fot. Mat. prasowe (x2)

Przerażająco bałamutny film

Czy sowieccy agenci uratowali świat przed wojną nuklearną? Ten film wybiela „Czerwoną babcię", która była jedną z najbardziej niebezpiecznych agentek Związku Sowieckiego w Wielkiej Brytanii

ŁUKASZ ADAMSKI

„Przeczytam dzieła Marksa, a kolegów więźniów będę nawracać na komunizm" – zapowiedziała w 1999 r. 87-letnia Melita Norwood zwana „Czerwoną babcią". Kobieta została rozpoznana jako sowiecki szpieg dzięki dokumentom wywiezionym z Moskwy przez byłego sowieckiego funkcjonariusza Wasilija Mitrochina. Do więzienia ostatecznie nie trafiła, dożywając swoich dni do 2005 r. Jej kuriozalny występ we własnym ogrodzie, gdzie z miną bezbronnej staruszki broniła się przed zarzutami o zdradę Wielkiej Brytanii, przeszedł do historii.

WIERZĄCA W KOMUNIZM

W „Archiwum Mitrochina" Norwood kryjąca się za pseudonimem „Hola" jest opisana jako osoba „wierząca niezachwianie w zwycięstwo komunizmu". Przez 40 lat była agentką KGB i NKWD jako pracownica Brytyjskiego Towarzystwa Badawczego Metali Niezależnych. W jej teczkach jest informacja, że pracowała z powodów ideologicznych. Zwerbował ją w 1935 r. Andrew Rothstein, jeden z założycieli Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii. „Podobnie jak agenci z siatki Pięciu Wspaniałych Norwood pracowała dla NKWD z motywów ideologicznych, inspirowana przez mityczny obraz Związku Sowieckiego z broszur propagandowych, daleki od brutalnej rzeczywistości stalinowskich rządów" – czytamy w książce Wasilija Mitrochina i Christophera Andrew. Zdaniem autorów była tak cenną agentką, że utrzymywano z nią kontakt nawet, kiedy zawieszono współpracę ze słynną Piątką z Cambridge. Już po 1945 r., czyli w czasie gdy Związek Sowiecki był w stanie zimnej wojny ze światem Zachodu, przekazywała cenne informacje na temat programu budowy pierwszej brytyjskiej bomby atomowej.

„Zrobiłam, co zrobiłam, nie dla pieniędzy, ale po to, by zapobiec pokonaniu nowego systemu, który, za wielką cenę, dał zwykłym ludziom jedzenie i środki do życia, których nie mieli. Dał również dobrą edukację i opiekę zdrowotną" – napisała w oświadczeniu Norwood. „Czerwona babcia" innymi słowy mówiła, że warto było bronić systemu mającego na koncie 100 mln ofiar. Warto było jej zdaniem bronić systemu, który spowodował cywilizacyjne zapóźnienia połowy Europy i utrzymywał biedę w zatrutych czerwonym wirusem krajach

eprasa.pl 33acfb3920

na niemal każdym kontynencie świata. Warto było go bronić, bo... dał edukację i jedzenie biednym. Bezczelność czy rzeczywista ignorancja i ideologiczne zacietrzewienie? Trudno o przykład bardziej infantylnej, ale i niebezpiecznej propagandy komunistycznej, niż ta, która płynęła z ust Brytyjki. Norwood powinna spędzić ostatnie lata życia w więzieniu za zdradę stanu. Powinna być ukarana jak każdy kolaborant totalitarnego reżimu zdradzający własny kraj. Zamiast wiecznej infamii nakręcono na motywach jej życia film, który 14 czerwca wchodzi do polskich kin.

JUDI DENCH JAKO CZERWONA IDEALISTKA

„Tajemnica Joan" jest luźno zainspirowana życiem Norwood. Film w reżyserii Trevora Nunna został oparty na motywach bestsellerowej powieści Jennie Rooney. „Czerwona babcia" nazywa się tutaj Joan Stanley i jest młodą, ideową studentką Cambridge, która przez miłość do przystojnego Rosjanina wchodzi w świat brytyjskich komunistów. Joan (Sophie Cookson) pracuje jako fizyk dla brytyjskiego rządu, biorąc udział w wynalezieniu atomowej bomby. Cały czas ma kontakt z Sowietami, przekazuje im tajne informacje. Dlaczego? Nie tylko z miłości, ale również przez przerażenie po zrzuceniu przez Amerykanów bomby atomowej na Nagasaki i Hiroszimę. Tak tłumaczy swoją współpracę z Sowietami synowi, który ma ją bronić przed sądem po zatrzymaniu przez MI5.

Nie wiem, po co wybitna aktorka, jaką jest Judi Dench, przyjęła rolę „Czerwonej babci" w tak propagandowym filmie. Nie dość, że „Tajemnica Joan" jest bardzo schematycznym i skrojonym raczej pod format telewizji, a nie kina obrazem, to na dodatek w zupełnie jednowymiarowy i plakatowy sposób pokazuje ciekawą przecież bohaterkę. Twórcy nie chcą pokazywać jednoznacznego obrazu zafascynowanej stalinowską Rosją młodej komunistki. Zamiast na poważnie próbować spojrzeć na jej moralne wybory, idą drogą na skróty, która może przekonać wyłącznie dziecko, albo kogoś, kto patrząc na historię XX w., jest ślepy na lewe oko. Autorzy filmu uciekają więc w bałamutne rozważania o idealizmie kobiety, której historia przyznała rację (sic!). „Chciałam pokoju, bo moje pokolenie miało dosyć wojen. Chciałam, by Sowieci mieli bombę atomową, bo dzięki temu nikt jej nie użył" – mówi swojemu przerażonemu początkowo synowi. Ostatecznie go, o zgrozo!, przekonuje. Tak jak ma przekonać widza. Mamy uwierzyć, że Melita Norwood ukryta w postaci Joan jest bohaterką pozytywną, bo przecież do wojny nuklearnej rzeczywiście w czasie zimnej wojny nie doszło.

Czy w takim razie twórcy chcą nam powiedzieć, że bomba atomowa w rękach wyłącznie Amerykanów i Brytyjczyków spowodowałaby wojnę w Europie, której udało się uniknąć przez równowagę sił? Jeżeli tak, to należy dojść do wniosku, że to zachodni świat był agresorem, a Związek Radziecki musiał się bronić. To już nie tylko bałamutna teza, ale czysta komunistyczna propaganda. Można machnąć ręką na sposób pokazania brytyjskich komunistów i sowieckich kolaborantów. Przystojni mężczyźni i pewne siebie, seksowne kobiety wygłaszający piękne slogany są typowi dla romantycznego

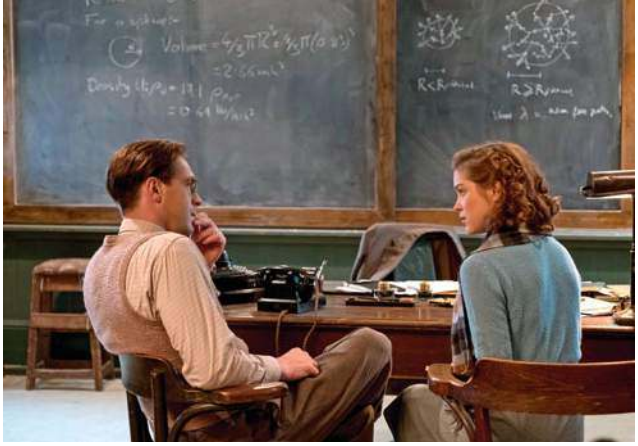

postrzegania komunizmu przez lewicowe elity na Zachodzie. Taka percepcja komunizmu jest modna w kinie tworzonym przez przepojonych prokomunistyczną narracją elit wywodzących się z pokolenia '68. Trudno jednak przejść obojętnie obok bezrefleksyjnego spojrzenia na motywy kolaboracji z jakimkolwiek totalitarnym reżimem.

INFANTYLIZACJA HISTORII CZY PROPAGANDA?

„Tajemnicę Joan" w najlepszym razie można odebrać jako infantylizację najnowszej historii. Trudno jednak oburzać się na tych, którzy widzą w niej elementy komunistycznej propagandy. Film nie wspomina o milionach ofiar sowieckiego reżimu. Jedna scena pokazująca naiwność członków komunistycznej partii w Wielkiej Brytanii podczas głośnego odczytywania wymuszonej przez Stalina samokrytyki Lwa Trockiego jest zrozumiała wyłącznie dla znających historię ZSRR widzów. Dla masowego zachodniego odbiory filmowi sowieccy kolaboranci pomagający zbudować stalinowskiej Rosji broń atomową są romantycznymi bohaterami. Niezrozumianymi przez własny kraj. Odrzuconymi przez własne dzieci. To bohaterowie o twarzy uwielbianej przez widzów Judi Dench. Tej samej, która grała M w sześciu filmach z serii o Jamesie Bondzie i dostała Oscara za rolę Królowej Elżbiety w „Zakochanym Szekspirze".

Nie przez przypadek w jednej ze scen widzimy, jak Joan wnosi kawę w kubku z Che Guevarą. Dziś ten kubański psychopatyczny morderca, który notabene miał pomysł, by wykorzystać broń atomową przeciwko USA, co rozbija w pył cały przekaz filmu Trevora Nunna o pokojowych zamiarach Sowietów, jest popkulturową ikoną. Jest nadrukiem na T-shircie i symbolem czerwonego romantyzmu. Propagandowy wizerunek Guevary umocnił dwuczęściowy (trwający cztery i pół godziny) filmowy elaborat „Che" Stevena Soderbergha z Benicio del Toro w głównej roli. Ten film rozgraniczał przynajmniej działalność Che od zbrodni komunizmu. Robił to w zakłamany i propagandowy sposób, ale przynajmniej stawiał granicę między różnymi twarzami komunizmu. Wymowa „Tajemnicy Joan" jest natomiast jednoznaczna: dzięki kolaborantom sowieckim świat stał się lepszy, bo uchronił go od wojny. Do tego bohaterka nie jest ani nierozumiejącą wiele z historii socjalistyczną rewolucjonistką, protestującą przeciwko kapitalizmowi w markowym T-shircie z I-Phonem w ręku. Nie jest też jak uroczy w swym marksistowskim zapale z wybitnej agitki „Wiek XX" Bernardo Bertolucciego. Ona do końca przekonuje, że nie zdradziła swojego kraju, będąc agentką NKWD. Zdrada w imię komunizmu nie jest przecież zdradą. To najbardziej przerażająca wymowa tego filmu.

eprasa.pl 33acfb3920

Zaraza

Wojciech Stanisławski

Lata mijają, blednie pamięć o spustoszeniu, jakiego dokonał komunizm nie tyle rozstrzeliwując ludzi, ile redukując ich do kilku odruchów i potrzeb. Czasem pojawia się tekst, który przypomni to z całą mocą

Egzotyczny krajobraz, drzewa, których wizerunków szukać trzeba w Wikipedii: perełkowce, melie, cedrele. Cykady, gotowane na parze bułeczki baozi, niepojęte obyczaje ślubne. Jeszcze jedna proza dalekowschodnia, myślimy, coś dla smakoszy, którzy lubią czarne, lakierowane okładki nowej serii PIW oraz żmudne przyswajanie tradycji tak nam dalekich, że lektura przypomina przygotowanie do zajęć z etnografii.

Jednak ta powieść jest inna. W snach bohaterów płyną rzeki krwi, nieprzelewanej w bitwach pięciu cesarzy ani na placu Tiananmen, lecz skapującej do sterylnego pojemnika. Już okładka, na której w miejscu „azjatyckiego" motywu widać grudkę białka spod mikroskopu elektronowego, powinna dać do myślenia. Jeszcze kwadrans i mamy pewność, czym jest gorączka pustosząca wsie w prowincji Henan, gdzie przed laty uruchomiono rządowy program skupu na gigantyczną skalę krwi i plazmy, niezbędnych przemysłowi farmaceutycznemu.

Choroba jako metafora to popularny koncept. Trąd, dżuma, cholera wspominane są w kazaniach i powieściach nie tylko ze względu na śmiercionośny potencjał prątków i przecinkowców. Choroba ciała sygnalizuje w takich tekstach inną, głębszą słabość, trawiącą człowieka lub królestwo. Taki tryb lektury bywa uproszczeniem, fałszywym tropem, ale narzuca się, kiedy trafi do nas powieść tak osobna, jak „Sen wioski Ding" Yana Lianke.

To mógł być po prostu reportaż, nawet wówczas czytałoby się go z zapartym tchem. Od początku XXI w. coraz głośniej bowiem o koszmarze, jaki rozegrał się w północno-wschodnich Chinach w latach 90., kiedy na masową skalę pobierano i przetaczano krew w skrajnie niehigienicznych warunkach. AIDS, przed którym Pekin chciał się obronić, zwalczając narkomanię i prostytucję, zaatakował od nieoczekiwanej strony. Tylko w okolicach Kaifengu liczbę chorych zakażonych przez personel medyczny szacowano przed kilku laty na pół miliona.

Yan Lianke, prozaik obłożony zapisem cenzury i pozbawiony paszportu (małe déjà vu, przypominające epokę pisarzy dysydentów Europy Środkowej), napisał jednak rzecz bardziej przejmującą niż zapis samej epidemii, której ofiarom, opuszczonym przez państwo, pozostaje umierać pośrodku ludnej jeszcze wioski. Chiński pisarz sięgnął do leżącej u podstaw dramatu nędzy i rodzącej się z niej chciwości. Do zaimprowizowanych punktów skupu krwi wędrowano nie pod przymusem władz: chłopi stawiali się tam sami w nadziei na wyrwanie się ze stuleci biedy, na wzniesienie nowobogackiego domu. „Sen wioski Ding" to opowieść o Gordonie Gekko z prowincji Henan, półanalfabecie w butach z błyszczącej skóry, który w gotowości do uczynienia przedmiotem obrotu handlowego ucieleśnień życia i śmierci, jakimi są krew i trumny, zakasowuje większość chciwców, jacy trafili dotąd na karty literatury. To również portret Chin „postkomunistycznych", w których partia pozwoliła na bogacenie się jednostek, przemieliwszy przedtem społeczeństwo tak gruntownie, że niemal nikt w wiosce Ding nie potrafi przeciwstawić się zabójczemu pragnieniu zysku.

„Dziennik szpitalnego ochroniarza" Olega Pawłowa opisuje ten sam czas,

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

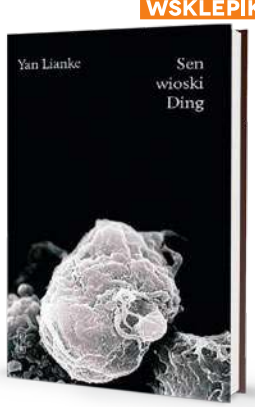

Yan Lianke, „Sen wioski Ding", przeł. Joanna Krenz, PIW, 2019;

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Oleg Pawłow, „Dziennik szpitalnego ochroniarza", przeł. Wiktor Dłuski (wiersz – Jan Gondowicz), Noir sur Blanc, 2019

eprasa.pl 33acfb3920

połowę lat 90., w świecie nam bliższym, w jednym z wielu moskiewskich szpitali, gdzie autor przepracował cztery lata jako strażnik. „Dziennik..." nie kusi egzotyką, toczy się w znanej scenografii: wykładane linoleum korytarze, skrzypiące wózki i windy, OIOM, pokój pielęgniarek, z którego dobiega śmiech i brzęk łyżeczek. Nie mamy też do czynienia z konstrukcją, w której groteska przeplata się z sennymi wizjami, a status narratora, opisującego losy wioski z punktu widzenia pośmiertnego świadka, jest wyzwaniem dla czytelnika. „Dziennik..." to, zgodnie z tytułem, ciąg notatek z izby przyjęć, podobnie sformatowanych, pozbawionych daty dziennej, z których każda opowiada o czyimś upadku, śmierci, krzywdzie.

Bezdomna, która rodzi dziecko i ucieka; pobity starzec, bomż, włóczęga („żebra miał jak ołowiane, wygląda na to, że pałką go leli"), który umiera, szeleszcząc, szepcąc. Alkoholicy schodzący na rozległy zawał, żołnierze mafii pilnujący leżącego w szpitalu bossa i z nudów terroryzujący pacjentki, narkomani rozbijający się po korytarzach, protokoły liczenia złotych zębów zmarłych, szatniarki sadystki. Nie ma w tej książce nawet podmuchu rozpaczliwej fantazji, jaki zdarzał się bohaterom tragikomedii „Moskwa-Pietuszki": najbardziej spektakularne pijaństwo zorganizowali pracownicy gospodarczy szpitala, doprawiając się wdychanym dichlorofosem, używanym zwykle do trucia karaluchów. To klasyczna „czernucha", ta sama, co w filmach Bałabanowa, co na obrazach Wasilija Szulżenki: społeczeństwo, którego rozpad już się dokonał, które funkcjonuje za sprawą strachu i rytuałów, ale które nie zna już odruchów solidarności ani współczucia. Narrator pisarz potrafił jeszcze podarować pierwszemu trafiającemu do szpitala bezdomnemu czapkę: kolejnych już bez ceregieli wyrzuca na mróz. Choroba anomii trapi opisane w powieściach społeczeństwa Chin i Rosji: czy naprawdę tylko ich dotknęła ta zaraza?

Ideowy kułak partii

Najsławniejszy z tych towarzyszy zmarł przed dwoma miesiącami: chłopak z Wołomina, syn pepeesowca, o temperamencie działacza związkowego, któremu system wyrządził krzywdę, wciągając go w 1980 r. do Komitetu Centralnego, by tam wygadywał głupstwa o zagrożeniu kontrrewolucją; potem było ambasadorowanie, splendory, a w III RP – tropienie rodowodów i spisków.

Tak, Albina Siwaka pamiętają wszyscy. Ale czyim był człowiekiem, z jakiej formacji się wywodził? Badacz z IPN Przemysław Gasztold, w przeszłości autor monografii Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald", w najnowszej pracy nakreślił fascynującą panoramę „towarzyszy z betonu", czynnych w polskiej polityce jako odrębne środowisko przez dekadę lat 80., a i dłużej.

Kogóż nie było w tym gronie, widocznym od chwili wstrząsu, jakim dla PZPR okazało się powstanie Solidarności! Słynne Katowickie Forum Partyjne i efemeryczny, znany tylko specjalistom Ruch Szczecińskich Komunistów. Czasopismo „Rzeczywistość", Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej i ich organ „Młody Komunista", „Klub Dyskusyjny im. Karola Marksa", wspomniany „Grunwald" i twardogłowi, skupieni w TPPR...

Pociesznych nazw i cytatów znalazło się w monografii pod dostatkiem, można mieć wręcz wrażenie ich nadmiaru. Badacz IPN dokonał rzeczy podstawowej, identyfikując większość środowisk, które w 1980 r. wchłonęły dawnych „natolińczyków", „partyzantów", nomenklaturowych i resortowych emerytów. Fascynująca jest próba zrekonstruowania świadomości pezetpeerowskich dogmatyków i ich zdumiewająco niespójnego światopoglądu: w ich głowach lęk przed represjami Solidarności mieszał się z odrazą do awangardy i pornografii, lojalność wobec „ojczyzny światowego proletariatu" z niechęcią do spekulantów, znów nazywanych „niebieskimi ptakami". Towarzysze z betonu krytykowali uzależnienie od zachodnich kredytów oraz „mroki średniowiecza" (warto by prześledzić popularność tej frazy obelgi, żywej w polszczyźnie od lat 50. do dzisiaj), kosmopolitów i spekulantów. Na kryzys zaś recepty mieli proste: zorganizować współzawodnictwo pracy, przywrócić dyscyplinę i aresztować opozycję.

Równie istotne jest ustalenie, jak wielu mieli dogmatycy mocodawców i protektorów: byli nimi wojewodowie i członkowie KC (wśród nich kat Trójmiasta Stanisław Kociołek, któremu w grudniu 1980 r. marzył się stworzony z lojalnych wykładowców i literatów „kułak ideologiczny partii"), ale i dyplomaci enerdowscy i radzieccy, podejmujący polskich towarzyszy i dzielący się z nimi troską o losy socjalizmu.

Czy była to próba tworzenia grup nacisku lub wręcz ekipy jeszcze bardziej posłusznej Moskwie niż ludzie Jaruzelskiego? Jeśli tak, zamysł ten okazał się zawodny. Środowiska „partyjnych dziadków" po wprowadzeniu stanu wojennego spełniły się, zamalowując napisy na murach i ścigając handlarzy słodyczami. Osiem lat później nie miały żadnego realnego wpływu na politykę władz. To najważniejsze z ustaleń Gasztolda, szczególnie mocno brzmiące w chwili, gdy raz jeszcze rozważane są motywy, jakimi kierowała się PZPR, siadając do „okrągłego stołu".

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Przemysław Gasztold, „Towarzysze z betonu. Dogmatyzm w PZPR 1980–1990", Instytut Pamięci Narodowej, 2019

eprasa.pl 33acfb3920

Adamski poleca

DVD/VOD

Krwawa przypowieść o odkupieniu

Doczekaliśmy epoki posttarantinowskiej, w której twórca „Pulp Fiction" stał się klasykiem wrzuconym do kotła z popkulturową zupą i tworzy z nią nowy smak. Ten film niezauważony przemknął przez nasze kina, więc koniecznie sięgnijcie po niego na małym ekranie!

S. Craig Zahler udowodnił, że nie tylko nie boi się pokazywać przemocy o wiele dosłowniej niż Tarantino. Zanurza swoje filmy w slasher, jednocześnie unikając tarantinowskiego nihilizmu i cynizmu. Jego „Bone Tomahawk" można nazwać nawet filmem konserwatywnym i skręcającym na chrześcijańskie tory. Drew Goddard w rozkładającym na łopatki „Źle się dzieje w El Royale" jest jeszcze bliższy stylistycznie Tarantino. A jednak również on ucieka od nihilizmu reżysera „Nienawistnej ósemki".

Lata 60. XX w. Apogeum rewolucji obyczajowej i niszczenia autorytetów. Do upadłego i stojącego (dosłownie) na granicy Nevady i Kalifornii hotelu El Royale przyjeżdża czwórka Amerykanów. Ksiądz (Jeff Bridges), bezimienna kobieta (Dakota Johnson), sprzedawca (Jon Hamm) i piosenkarka (Cynthia Erivo). Jedyną osobą pracującą w mającym lata hazardowej świetności za sobą El Royale jest boy hotelowy (Lewis Pullman). Każda z postaci nie przez przypadek wybrała zapomniany przybytek grzechu i zepsucia. Każda kryje w sobie mroczną tajemnicę i ukryte cele, które w zderzeniu z fatum hotelu prowadzą do krwawego finału.

Film Goddarda jest zbudowany jak wczesne dzieła Tarantino. Liczne retrospekcje, brak linearnej narracji i rashōmońskie spojrzenie na to samo zdarzenie z różnych perspektyw (kłania się słynna scena w „Jackie Brown"). Młody reżyser nie unika jednak symboliki. Połowa hotelu jest zbudowana w stanie Kalifornia, a połowa w Nevadzie. W każdej części obowiązuje inne prawo stanowe. W duszy każdego z bohaterów walczy z sobą mrok i światłość. Dobro i zło.

„Źle się dzieje w El Royale" jest przypowieścią o grzechu i odkupieniu. Odkupieniu w chrześcijańskim rozumieniu tego słowa. Jest to również opowieść o tonącej w grzechu Ameryce. Nixon, Wietnam, erupcja pustych duchowo (śmierć Boga to wiara w cokolwiek) sekt i fałszywi kapłani to wszystko reżyser znakomicie miesza z klasyczną kryminalną zagadką.

W „Bone Tomahawk" Zahlera mieliśmy żarliwie wierzącego chrześcijanina, którego niezłomna postawa determinowała wszystkie wydarzenia. Tutaj widzimy katolika pragnącego odkupić swoje grzechy przez spowiedź. Czyżby postmodernistyczne kino zaczęło szukać inspiracji w monoteistycznych religiach? Czyżby wyczerpało swoją dotychczasową formę? To jeszcze za daleko idące wnioski. „Źle się dzieje w El Royale" jest brawurowo opowiedzianą, świetnie zagraną (szczególne brawa dla weterana Jeffa Bridgesa) krwawą opowieścią ocierającą się o moralitet. Podlane wszystko jest klasykami lat 60., granymi z Jukebox, i klimatem Ameryki lat 60. Czego tu nie kochać?

„ŹLE SIĘ DZIEJE W EL ROYALE", REŻ. DREW GODDARD. FILM DOSTĘPNY NA DVD I NA GOOGLE PLAY

VOD

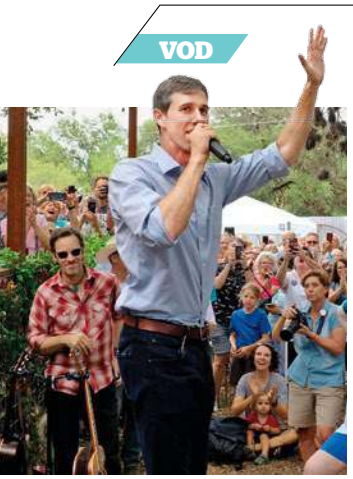

Polityka 2.0

Czy to następny JFK? Wygląd już ma. Skrajnie progresywne poglądy torują mu drogę w coraz mocniej lewicowych mediach i pozwalają na wejście w buty wczesnego Obamy. Podobnie jak była kelnerka z Bronxu, a dziś gwiazda Izby Reprezentantów Alexandria Ocasio-Cortez, Beto O'Rourke jest przedstawicielem rewolucyjnych sił w Partii Demokratycznej. Oboje nie boją się słowa „socjalizm", które do niedawna wykluczało z mainstreamu amerykańskiej polityki nawet na lewicy. Krytykują korporacje, od których nie biorą pieniędzy na kampanie. O'Rourke rzucił w konserwatywnym Teksasie rękawicę potężnemu republikaninowi Tedowi Cruzowi. Dokonał prawie niemożliwego i minimalnie przegrał wyścig do Senatu w stanie tak dalekim jego poglądom. Twórcy „Kampanii Beto" towarzyszyli mu przez całą drogę po 254 hrabstwach Teksasu, pokazując, jak rewolucyjnie wykorzystał media społecznościowe i bezpośredni kontakt z wyborcami. Beto to facet zupełnie nie z mojej bajki, ale dokument o nim w fascynujący sposób pokazuje kulisy dzisiejszych kampanii, zanurzonych w rewolucje 2.0. To też film o przyszłości amerykańskiej lewicy.

„KAMPANIA BETO" DOSTĘPNY NA HBO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 33acfb3920

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Kino

Ogniem i mieczem

Hejterskie i odlotowe wynurzenia o chrześcijaństwie odpowiadającym za całe zło świata Krzysztofa Pieczyńskiego powodują, że decyzja o obsadzeniu go w roli ewangelizatora jest co najmniej perwersją. Jednak „Krew Boga" to wyznanie wiary Bartosza Konopki podkreślającego, że film nakręcił z potrzeby duchowej.

Rycerz Willbrord (Pieczyński) zostaje odnaleziony na łodzi na brzegach ponurej wyspy na Bałtyku. Samotny i ciężko ranny zostaje uratowany przez tajemniczego Bezimiennego (Karol Bernacki). Mimo głębokich różnic w podejściu do wiary obaj mężczyźni wspólnie szukają w górach ostatniego nieschrystianizowanego plemienia. Jeden chce je ewangelizować mieczem. Drugi wyłącznie słowem. Rycerz widzi w poganach jedynie barbarzyńskich dzikusów. Bezimienny łączy się z nimi duchowo i w ciszy porozumiewa się z nimi na duchowej płaszczyźnie. Dochodzi między nimi do otwartej i krwawej wojny.

Bartosz Konopka, nominowany do Oscara za krótkometrażowy dokument „Królik po berlińsku" i autor wstrząsającego „Lęku wysokości", to filmowiec bardzo ambitny i mający zadatki na osiągnięcie artystycznych wyżyn. „Krew Boga" mogła wprowadzić polskie kino na nowe tory religijne. Wywrotka Konopki smuci więc mnie, osobę wierzącą, szczególnie mocno. Ten film nie działa ani na płaszczyźnie artystycznej, ani duchowej. Konopka jednoznacznie potępia sposób, w jaki średniowieczni chrześcijanie szerzyli wiarę. Przyznaje zresztą, że w „Krwi Boga" opiera swoje spojrzenie na wiarę i historię zachodniego Kościoła na eseju „Kultura jako źródło cierpień" Zygmunta Freuda. Tego samego, który ostro zwalczał chrześcijaństwo i judaizm, promując ateistyczną psychoanalizę. Reżyser fascynuje się też „pokojowymi buntownikami jak Chrystus, Gandhi, Martin Luther King". Widać ten duchowy synkretyzm przez cały film.

Konopka chce być jak Terrence Malick. Wyszeptane przez narratora rozważania duchowe, długie ujęcia celebrujące przyrodę. Kontemplacja przykrywająca dialogi. Twórca „Cienkiej czerwonej linii" i „Drzewa życia" jest jednak duchowo spójny i artystycznie poukładany. „Krew Boga" jest duchowo i stylistycznie bałaganiarska. Głębia rozważań ginie pod banalnymi monologami o krwi na rękach krzyżowców. Film kładzie też wyjątkowo drewniany Pieczyński grający na jednym grymasie i ciężkiej deklamacji dialogów. Wymyślnie pomalowani i wyglądający jak armia Immortana Joe z ostatniego „Mad Maxa" poganie i ich szaman w glinianej masce pasowaliby do horrorów gore. Konopka odbija się od efekciarstwa Nicolasa Windinga Refna do rewizjonistycznych westernów o „ludobójstwie Indian" przez złych białych kolonizatorów.

Widać, że jest szczery w swoich teologicznych poszukiwaniach i przeżywa swoją wiarę kontemplacyjnie. Nie potrafi się jednak wyrwać z infantylnego spojrzenia na chrystianizowanie, które wybrzmiewa w absurdalnym finałowym monologu króla przybyłego, by w imię Kościoła zrównać z ziemią pogańskich buntowników. Dobrze chociaż, że jest to wizualnie zachwycające, co dało operatorowi Jackowi Podgórskiemu na festiwalu w Gdyni nagrodę za niebieskoszare zdjęcia.

„KREW BOGA", REŻ. BARTOSZ KONOPKA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Koszmarek

Kino

Nie przez przypadek film Denijala Hasanovica dwa lata czekał na premierę. To jeden z tych koszmarków, z których widzowie festiwalu filmowego w Gdyni wychodzili. Również piszący te słowa. Nie wiadomo nawet, o czym to jest opowieść. Studiująca w Paryżu Kolumbijka Catalina (Andrea Otalvaro) przyjeżdża do Sarajewa, by uzyskać dostęp do materiałów Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii. A więc film o ludobójstwie na Bałkanach? Nie, bo Catalina poznaje Polaka Marka (Andrzej Chyra), któremu demoluje związek z Nadą (Lana Barić). No to może dostajemy romans? Też nie, bo nagle reżyser robi przewrotkę i opowiada o związku Marka i Nady, widzianym oczami poszukującej swojej tożsamości Cataliny. Bośniacki reżyser pracujący w Polsce chwyta za ogon wiele srok. Większość mu się wyrywa, jak widzowie trzaskający na seansie krzesłami. Wyjątkowo bełkotliwy i irytujący film. Odradzam!

„CATALINA", REŻ. DENIJAL HASANOVIC, DYSTR. HOLLY PICTURES

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 33acfb3920

Trolle w natarciu

Ponad połowa polskich internautów w ostatnich miesiącach zetknęła się w internecie z manipulacją lub dezinformacją – wynika z sondażu przeprowadzonego przez Pracownię Badań Społecznych NASK. Wyniki wskazują, że najczęstszymi nadużyciami, jakie Polacy spotykają w mediach, są tzw. fake newsy. Oto kilka ich przykadów

STANISŁAW ŻARYN

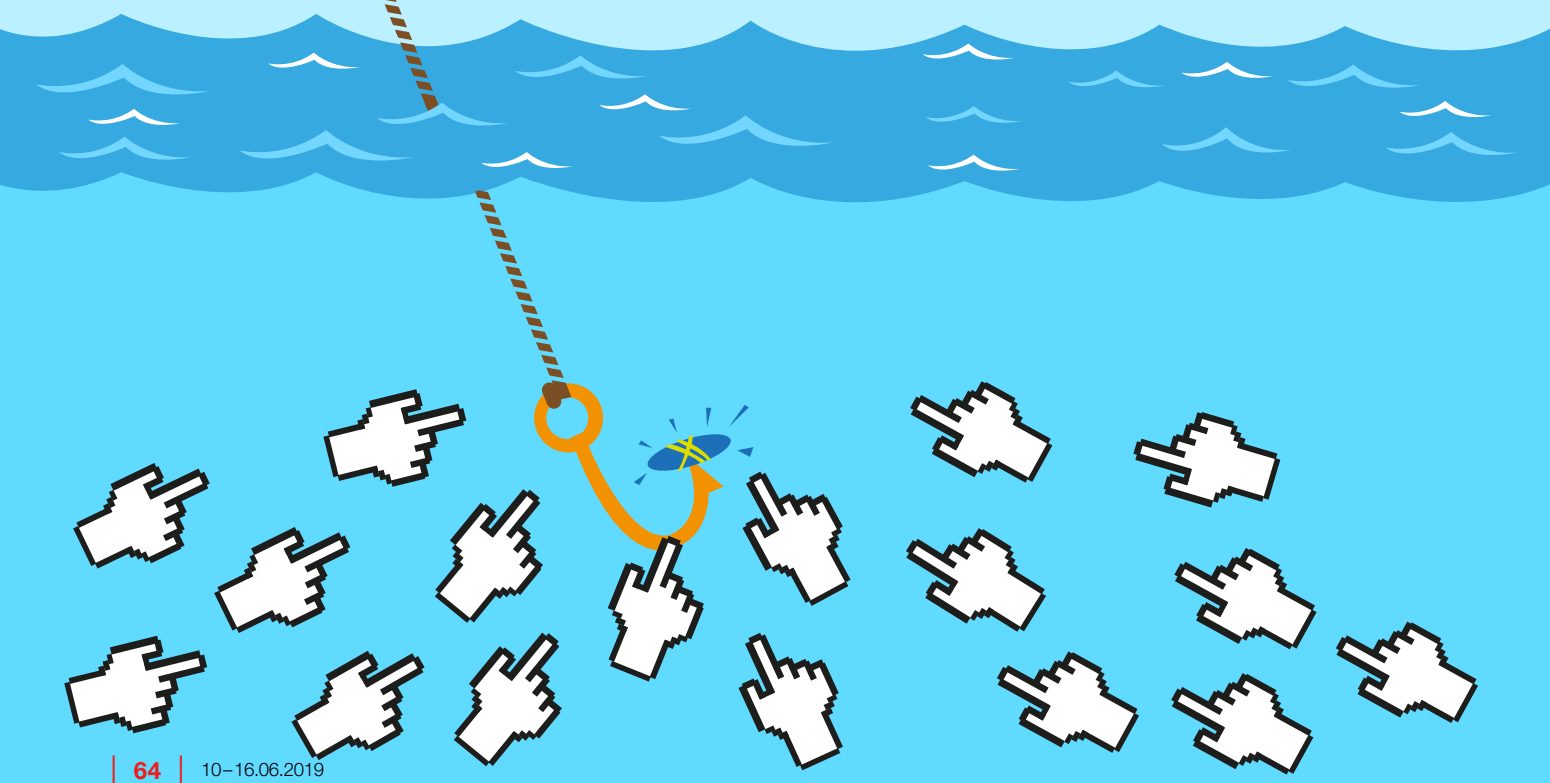

eprasa.pl 33acfb3920

W ostatnich latach publikowanie fałszywych wiadomości w mediach, szczególnie społecznościowych, stało się częstym zjawiskiem. Problem dezinformacji w sieci ma swój państwowy, zorganizowany wymiar – manipulowanie obrazem rzeczywistości może mieć charakter masowy i realizować systemowe cele, często wrogie wobec państw i opinii publicznej w danym kraju. Jednak problem fake newsów może wynikać również z aktywności konkretnych osób, które motywowane w różnorodny sposób, produkując fałszywe informacje, chcą oddziaływać na opinię publiczną. To również bardzo destrukcyjna działalność.

„INWIGILOWANY" SIKORSKI I SEKSTAŚMY

Kłamliwe informacje publikowane w mediach mogą przybierać różnorodną formę. Część z nich ma charakter prostej, jednorazowej akcji, która ma wywołać odpowiedni skutek. Tak było w przypadku pojawienia się w mediach społecznościowych informacji o rzekomym inwigilowaniu przez służby specjalne byłego ministra Radosława Sikorskiego. Wrzutka, która pojawiła się 22 marca br., brzmiała sensacyjnie. Dziennikarz Jan Piński w serwisie Twitter napisał, że ABW „od 2016 r. w ramach procedury »Lord« inwigilowała @sikorskiradek". Piński jednocześnie pytał, co „uzasadniało użycie tajnych służb przeciwko byłemu marszałkowi Sejmu i szefowi MSZ?". Informacja zdementowana w sposób jednoznaczny przez wiceministra Macieja Wąsika i rzecznika ministra koordynatora szybko zaczęła żyć swoim życiem. Były szef MSZ zapowiedział drążenie sprawy, domagając się wyjaśnień od premiera i żądając ochrony swoich praw obywatelskich. Radosław Sikorski natychmiast sięgnął po formalne działania, włączając w sprawę Rzecznika Praw Obywatelskich. Problem w tym, że cała historia nie ma żadnego związku z rzeczywistością, o czym mówiło wspomniane powyżej jednoznaczne dementi. Wydaje się, że wpis Jana Pińskiego miał na celu wytworzenie określonego zamieszania informacyjnego, a także okoliczności, w których Radosław Sikorski mógł podjąć swoje polityczne działania. Był także próbą podsycania wątpliwości wokół polskich służb i rozpowszechniania insynuacji, jakoby podejmowały one działania sprzeczne z prawem. Okazało się przy tym, że prosty wpis w mediach społecznościowych może skutkować podejmowaniem wielu działań polityczno-urzędowych przez jednego z byłych najważniejszych urzędników RP. Taka jest dziś siła fake newsa. Szerzenie fałszywego przekazu, oparte na jednostkowym wpisie w mediach społecznościowych, może mieć – jak widać – spore oddziaływanie.

Zdarzają się jednak całe kampanie oparte na publikowaniu nieprawdziwych informacji. W czasie takich działań wykorzystuje się różne metody. Rozbudowaną kampanię, opartą na działaniach politycznych, ale też informacyjnych, mogliśmy obserwować w ostatnich miesiącach. W mediach do dziś prowadzona jest operacja polegająca na dyskredytowaniu marszałka Sejmu, a także na powielaniu insynuacji o nielegalnych działaniach prowadzonych rzekomo przez służby. Sprawa doniesień dotyczących tzw. sekstaśm, które mają obciążać polityków PiS, w tym marszałka Sejmu, jest w całości oparta na tezach wytworzonych przez Wojciecha J., byłego agenta Centralnego Biura Antykorupcyjnego. J. okazał się człowiekiem zupełnie niewiarygodnym, a w czasie swojej służby w CBA oraz po jej zakończeniu kolportował niemające poparcia w faktach tezy, m.in. dotyczące wejścia w posiadanie materiałów kompromitujących polityków, którzy mają być celem dla potencjalnych szantażystów.

Sprawa tez Wojciecha J. pojawiła się początkowo w mediach społecznościowych, a potem na mało znaczących portalach, jak wiesci24.pl czy CrowdMedia.pl. Teksty z tych serwisów promowali m.in. Roman Giertych i Jan Piński, starając się szokować i wzbudzać w czytelnikach skrajne emocje. Sprawa stała się głośna dopiero po tym, jak tygodnik Jerzego Urbana, postaci pełniącej w PRL niechlubną funkcję propagandową na rzecz komunistycznego reżimu, opisał ją, rzucając cień podejrzeń na marszałka Sejmu. Potem poszło już szybko. Znalazły się osoby, które promowały insynuacje, znaleźli się politycy, którzy rozdmuchali temat tak mocno, że wszedł na czołówki medialnych przekazów. Zainteresowanie mediów oraz polityków tzw. totalnej opozycji sprawiło, że Wojciech J. i jego rewelacje znajdowali podatny grunt. Tymczasem doniesienia w tej sprawie wynikają wyłącznie z wyobraźni i wyrachowania J. oraz jego popleczników.

W związku z doniesieniami Wojciecha J. CBA przeprowadziło dochodzenie wewnętrzne. W czasie tej procedury proszono również o pomoc instytucję kontrolną funkcjonującą w innej służbie mundurowej. Postępowanie wykazało, że J. nie ma żadnych dowodów na podawane przez siebie tezy. Nie zarejestrował żadnych materiałów w formie elektronicznej. Wbrew temu, co twierdzi, nie ma również świadka, który potwierdziłby jego wersję wydarzeń oraz to, że J. pozyskał jakiekolwiek dowody, o których mówi i pisze. W czasie postępowania CBA aktywnie starało się dotrzeć do materiałów, które ponoć miał pozyskać J. Obecnie J. i jego akolici twierdzą, że CBA starało się tuszować aferę. Ta afera jednak była jedynie wytworem wyobraźni J. Nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że doniesienia J. są prawdziwe. Ustalenia CBA w tej sprawie są jednoznaczne i powinny przeciąć spekulacje. Mimo to fałszywa opowieść Wojciecha J. jest kolportowana zarówno przez media, jak i polityków.

Szczegółowa analiza doniesień J. wskazuje, że jego tezy są dobrze skrojone. Opierają się bowiem – jak w przypadku każdej dobrze przygotowanej kampanii dezinformacyjnej – na realnych wydarzeniach. Faktem jest, że w ostatnich latach dzięki działaniom prokuratury i ABW udało się zatrzymać działania grupy zajmującej się sutenerstwem i ochroną nielegalnego biznesu – w 2016 r. zatrzymano „biznes" dwóch braci R. prowadzących przez lata nielegalną działalność na Podkarpaciu. Działalność ochranianą przez nieuczciwych funkcjonariuszy służb mundurowych. Wojciech J. wpisał swoją własną – niepopartą żadnymi dowodami – wersję wydarzeń w prawdziwą historię o nielegalnym biznesie, który przez lata był tolerowany przez państwowe instytucje.

Rys. Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

To typowe modus operandi dla autorów kampanii, które mają na celu dezinformowanie opinii publicznej. Siła przekazu sprawiła, że obecnie się spekuluje, iż w agencjach towarzyskich braci R. tworzono materiały, które mogły być użyte do szantażu. To jednak zostało negatywnie zweryfikowane przez ABW. W czasie przeszukań Agencja wykluczyła, by lokale prowadzone przez braci R. dysponowały możliwością tworzenia tzw. sekstaśm. W pokojach, w których świadczono usługi seksualne, nie instalowano urządzeń nagrywających obraz ani dźwięk.

W debacie wywołanej fałszywymi rewelacjami Wojciecha J. pojawiało się wiele absurdalnych tez i opinii, m.in. Paweł Wojtunik grzmiał, że sekstaśmy zapewne są już w Moskwie, „prawdopodobnie wiele ważnych osób w Polsce nie może spać spokojnie". Niepoparte faktami fake'owe doniesienia urosły do rangi międzynarodowego spisku. Jak widać, fakty i realia nie mają dla niektórych większego znaczenia. Zaskakujące jest zarówno to, że najważniejsi politycy opozycji i największe media lansują nieopartą na faktach opowieść J., jak i to, w jaki sposób historia opisana przez tygodnik Urbana trafiła do polskiego mainstreamu. Okazuje się, że w „holowaniu" tematu do głównych tytułów brało udział wiele osób, które w mediach społecznościowych podawały dalej tezy Wojciecha J. albo zadawały nieśmiałe pytania o ich prawdziwość. Łańcuszek „podaj dalej" czy wspomnianych zapytań spowodował, że insynuacje wytworzone przez byłego agenta CBA zdominowały na jakiś czas przekazy medialne w Polsce. Fakt, iż zainteresowanie tym tematem utrzymywało się przez wiele dni, że fałszywa historia J. wytworzyła nie tylko medialne przekazy, ale spowodowała również szereg działań politycznych, sugeruje, że mamy do czynienia z poważniejszą kampanią oddziaływania na jednego z najważniejszych polityków partii rządzącej. Z uwagi na kalendarz polityczny – toczącą się wówczas kampanię wyborczą – należy założyć, że mieliśmy do czynienia nie tylko z próbą oczernienia konkretnej osoby, ale również z próbą wytworzenia skutków politycznych w postaci utraty zaufania do środowiska rządowego, a także niezwykle ważnych instytucji państwa, jakimi są Sejm czy służby specjalne.

„PRÓBA ZATRZYMANIA" CZARNECKIEGO

W ostatnich latach powszechność fake newsów stała się tak dużym problemem, że walka z nimi stała się prawdziwym wyzwaniem. Nawet twarde, oficjalne dementi nie jest w stanie zatrzymać machiny „alternatywnych" doniesień. Jeśli jest zapotrzebowanie, produkcja fake newsów idzie pełną parą. Czytelnicy zawsze się znajdą – taki wniosek można wysnuć przy okazji analizy kolejnego przykładu fake newsa – „próby zatrzymania" Leszka Czarneckiego. Fałszywa narracja w tej sprawie rozpoczęła się w listopadzie 2018 r. To wtedy w niszowym i mało wiarygodnym medium pojawia się po raz pierwszy informacja o rzekomej próbie zatrzymania Leszka Czarneckiego. Próbę tę miała podjąć ABW na warszawskim Okęciu. Z tekstu Grzegorza Jakubowskiego wynikało, że Agencji nie udało się zatrzymać biznesmena przez nieudolność jej funkcjonariuszy. Zapewne sprawa nie nabrałaby rozgłosu (medium, które publikowało rewelacje, nie jest specjalne znaczące), gdyby nie aktywność publiczna mec. Romana Giertycha, pełnomocnika Leszka Czarneckiego, który w rozmowie z mediami nagłośnił tezę Jakubowskiego, powtarzając ją, pytając, czy to prawda i oceniając, że jeśli się to potwierdzi, to mamy do czynienia ze skandalem. Słowa mec. Giertycha obliczone były na promocję tematu przy jednoczesnym uciekaniu od wskazania, czy mamy do czynienia z prawdą, czy nie. Mec. Giertych osiągnął swój cel – temat przedostał się do medialnego mainstreamu i szybko zyskiwał na popularności. W dniu publikacji na ten temat ukazało się dementi – nie było żadnej próby zatrzymania Leszka Czarneckiego przez ABW, jednak debatę publiczną udało się już zainfekować.

Temat Czarneckiego nie pojawił się w listopadzie 2018 r. przypadkiem. Nazwisko tego biznesmena było wtedy na czołówkach gazet w związku z nieprawidłowościami w KNF. Śledztwo CBA w tej sprawie doprowadziło m.in. do zatrzymania Marka Ch., byłego przewodniczącego KNF, i postawienia mu zarzutów. Podejmowane przez Biuro i prokuraturę działania mają na celu wyjaśnienie okoliczności opisanych przez Czarneckiego w zawiadomieniu złożonym kilka miesięcy po nagranej przez niego rozmowie z Markiem Ch.

Fake news o zatrzymaniu Czarneckiego trafił na podatny grunt, jego nazwisko bowiem przyciągało bardzo mocno uwagę opinii publicznej. Nieprawdziwa teza o próbie zatrzymania Czarneckiego była elementem większej kampanii propagandowej. Wraz ze śledztwem ruszyła w mediach akcja promowania spekulacji na temat domniemanego drugiego dna w całej sprawie. Część mediów i polityków insynuowała, bez żadnych faktów, że rządzący próbują tuszować wielką korupcyjną siatkę, której częścią miał być Marek Ch. W domniemaniu w prace wskazanej siatki mieli być włączeni najważniejsi ludzie w Polsce. Choć dowodów brakowało, nie przeszkodziło to mediom i części polityków szerzyć swoich pomówień. Wrzucenie w takiej chwili informacji o próbie zatrzymania Czarneckiego przez ABW było elementem podsycania podejrzeń, że w tej sprawie jest „drugie dno".

Jednoznaczne dementi, a przede wszystkim to, że brakowało jakiegokolwiek dowodu na próbę zatrzymania Czarneckiego przez ABW, bo takiej nie było – nie zatrzymał publikacji w tej sprawie. Temat w zaskakujący sposób

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

> Ta afera – tzw. sekstaśm, które mają obciążać polityków PiS, w tym marszałka Sejmu – była jedynie wytworem wyobraźni J. Nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że doniesienia J. są prawdziwe

wrócił kilka tygodni później. W marcu br. „Puls Biznesu" opublikował materiał podtrzymujący fałszywą tezę o próbie zatrzymania Czarneckiego. Dodatkowo tekst wskazywał na rzekomą szeroką operację inwigilowania biznesmena przez służby specjalne. Był również ponowną próbą ośmieszania ABW, którą ponoć biznesmen wraz z żoną mieli „ograć". Choć tekst „PB" był opisany żywym i barwnym językiem, nie miał nic wspólnego z rzeczywistością. Niestety przez ten tekst udało się wtłoczyć fałszywą narrację do głównego przekazu. Ta manipulacja kolejny raz pokazuje, jak nośne mogą być wymyślone tezy.

„NA KORZYŚĆ ROSYJSKIEGO OLIGARCHY"

Za pomocą fałszywych doniesień próbuje się w ostatnim czasie ingerować w debatę publiczną. Czasem przybiera to formę wręcz groteskową. W jednym z ostatnich swoich tekstów Jan Piński zaatakował PiS, wskazując, że realizuje w Polsce interesy oligarchy powiązanego z Kremlem. Sensacyjnie brzmiący tekst opublikował „Najwyższy Czas!", a za nim portal wiesci24.pl promowany często przez Pińskiego. Tekst szokował tytułem i leadem, wskazując, że w Polsce lada chwila dojdzie do zmian legislacyjnych korzystnych dla rosyjskiego oligarchy zajmującego się produkcją wódki. Słowem – PiS miało działać na korzyść nie tylko Rosji, ale również na rzecz biznesu alkoholowego. Problem w tym, że lektura tekstu nie pozwalała w żaden sposób na wyciąganie wniosków, które wynikają z tytułu.

Okazuje się, że tekst Pińskiego opisuje zorganizowaną przez kilku konkretnych posłów konferencję dotyczącą przeciwdziałania alkoholizmowi. W trakcie tego spotkania niektórzy prelegenci wskazywali na potrzebę nowelizacji ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Prezentowano główne założenia potencjalnych zmian, wskazując m.in. na potrzebę modyfikacji wysokości podatków na alkohol. Jak wynikało z tekstu, nie byłaby z nich zadowolona część przemysłu alkoholowego, np. branża piwowarska. Zmiany miałyby bowiem prowadzić do wzrostu cen piwa. Jednak wbrew głównemu przekazowi tekstu Pińskiego sprawa dotyczy działań ludzi zaangażowanych społecznie w walkę z problemami alkoholowymi, w tej sprawie nie ma zaś nawet konkretnych propozycji ustawowych. Mimo tego alarmistyczny tekst Pińskiego brzmiał, jakby już doszło w Polsce do niezwykle groźnych decyzji o charakterze politycznym. Wygląda więc na to, że Piński swoim fake newsem postanowił walczyć z decyzjami, których nikt jeszcze nie podjął, w sprawie, która de facto nie istnieje. Temat być może spędza sen z powiek części branży alkoholowej, ale na pewno w sensie realnym nie istnieje.

W przypadku opisanych powyżej sytuacji udało się wytworzyć w mediach zainteresowanie fałszywymi narracjami. Głównym ich motorem zdaje się być chęć wytworzenia konkretnej sytuacji i narracji politycznej, która zdaje się mieć na celu atak na obecnie rządzących. Jednocześnie służy podtrzymywaniu i podsycaniu atmosfery podejrzeń wobec działań władz. Co interesujące, niemal za każdym razem inicjowaniem fake newsów w opisanych przypadkach zajmuje się grupa mało wiarygodnych dziennikarzy, którzy produkują początkowe treści, które potem są sukcesywnie promowane przez kolejne osoby, by ostatecznie znaleźć się w przekazach najważniejszych mediów w Polsce. Część z tych działań „promocyjnych" wygląda jak zorganizowana i koordynowana akcja. Wskazane aktywności nie tylko wiążą się z manipulowaniem informacjami, ale również są przykładami cynicznego wykorzystania doniesień medialnych dla politycznych celów. Opisane powyżej przykłady fake newsów posłużyły do pokazania, że władza ma niedobre zamiary, służby specjalne są rzekomo uwikłane w liczne afery i skupiają swoją aktywność głównie na tuszowaniu afer na szczytach władzy. Niestety, jak widać, takie działania mają spory wpływ na życie publiczne w Polsce. Często mają swój dalszy ciąg w realnym świecie – konferencje prasowe, interpelacje, interwencje poselskie tworzone na podstawie fake newsów są zarówno próbą zbicia politycznego kapitału na fałszywych informacjach, ale również uwiarygadniają kłamliwą narrację, utrwalając ją w debacie publicznej.

Problem fake newsów staje się coraz poważniejszym wyzwaniem dla czytelników, jak wynika z cytowanych na początku badań NASK. Państwa demokratyczne do dziś nie radzą sobie z neutralizowaniem tego zagrożenia. Kraje Zachodu nie wypracowały na razie skutecznego mechanizmu regulowania kwestii fake newsów, ich autorzy zaś w sposób cyniczny i wyrachowany chowają się za przepisami dotyczącymi wolności słowa i swobodami demokratycznymi. W najbliższych latach może się natomiast okazać, że to właśnie ochrona wolności słowa będzie wymagała nowych rozwiązań prawnych dotyczących autorów fake newsów. Skala problemu powinna wywołać poważną dyskusję na temat fałszywych informacji, szerzenia dezinformacji i działań, które z dziennikarstwem nie mają nic wspólnego. Wypracowanie standardów w tym zakresie to zadanie nie tylko dla instytucji państwa, ale także dla środowiska dziennikarskiego. Fake newsy, kolportowane często na potrzeby polityczne, są problemem dla nas wszystkich. Infekują debatę publiczną, wykrzywiając jej sens i uderzając w wiarygodność informacji jako takiej.

Autor jest rzecznikiem prasowym Ministra Koordynatora Służb Specjalnych

eprasa.pl 33acfb3920

Silniejszy nadzór nad delfinem

Jarosław Kaczyński rozszerza faktyczne własne pole kontroli nad rządem, ale to nie musi oznaczać, że właśnie osłabł w swojej fascynacji Mateuszem Morawieckim

JAN ROKITA

To, co najbardziej zwraca uwagę w rekonstrukcji rządu Mateusza Morawieckiego, to znikoma rola, jaka w tym spektaklu została przydzielona samemu premierowi. Czwórka nowych ministrów z własnymi „działowymi" resortami, to ludzie spoza kręgu szefa rządu, za to głęboko i od lat oddani partii PiS i jej liderowi.

NOWA CZWÓRKA

Elżbieta Witek – szefowa resortu spraw wewnętrznych – to działaczka partii od chwili jej narodzin, w 2011 r. wskazana nawet przez Jarosława Kaczyńskiego na członka Komitetu Politycznego PiS. Na dodatek złączona wspólną koterią polityczną z Beatą Szydło i z tego tytułu po dymisji poprzedniej premier wyrzucana już raz z rządu przez Morawieckiego, gdy ten w grudniu 2017 r. układał gabinet pod własne wyobrażenia kadrowe.

Nowy minister edukacji Dariusz Piontkowski to z kolei weteran politycznego kręgu Jarosława Kaczyńskiego, zaangażowany jeszcze w zamierzchłych czasach w Porozumienie Centrum. I darzony przez szefa PiS na tyle dużym zaufaniem, że na rozdartym wewnątrzpartyjną waśnią Podlasiu Kaczyński wykorzystał go do pacyfikacji regionalnej struktury partyjnej pod swoim własnym nadzorem. Nowa minister pracy Bożena Szopa to specjalistka od BHP, którą Lech Kaczyński (admirator wszelakich fachowców od Kodeksu pracy) przygarnął do prezydenckiej kancelarii i tą drogą została „odziedziczona" przez brata tragicznie zmarłego prezydenta, a w konsekwencji również przez PiS.

Człowiekiem z nieco innej bajki jest Marian Banaś – nowy szef resortu finansów. To weteran krakowskiej antykomunistycznej opozycji, który w połowie lat 80. należał do grupy kapeenowców, decydujących się na rzucenie rękawicy wodzowi Konfederacji Leszkowi Moczulskiemu. I od tamtego czasu obracał się w kręgach twardogłowych spod znaku Szeremietiewa i Macierewicza. Nie był zatem żołnierzem Kaczyńskiego, a w 1992 r. jego grupa połączyła się nawet z dysydentami z PC, nieakceptującymi krytycznego stosunku braci Kaczyńskich do rządu premiera Jana Olszewskiego i zarzucającymi im spiskowanie z jego przeciwnikami. W sensie ideologicznym Banaś może być dziś zatem uznany za pisowca bardziej twardego

eprasa.pl 33acfb3920

niźli sam Kaczyński. Zaufanie prezesa PiS zdobył zapewne przy okazji zajmowania się najpierw Służbą Celną, a potem przebudową całego aparatu skarbowego, którego w efekcie został szefem i odpowiadał za sztandarowy projekt PiS, czyli tzw. walkę z mafiami vatowskimi.

Z praktyczną pewnością można założyć, że choć z nieco odmiennych racji, każdy z tej czwórki nowych „działowych" ministrów ma dobry powód do pewnego sceptycyzmu względem samego Mateusza Morawieckiego, a jeszcze bardziej względem jego młodej bankowo-biznesowej drużyny.

NIEKOMFORTOWA SYTUACJA

Witek solidaryzuje się z Szydło w jej konfliktach z Morawieckim, Piontkowski służy prezesowi i nikomu innemu, Szopa zawdzięcza wszystko zmarłemu prezydentowi, Banaś musi żywić ideologiczne obawy co do liberalnego odchylenia premiera i jego kręgu.

Piąty, nowy członek rządu to Michał Woś, młody prawnik wylansowany przez Zbigniewa Ziobrę. Jednak to, że ma być ministrem bez teki, z góry redukuje polityczne znaczenie jego nominacji niemal do zera. Dotąd związana z Solidarną Polską Beata Kempa podróżowała po świecie, aby przyglądać się katastrofom humanitarnym, teraz będzie to robić Woś. Można założyć, że z większym sensem niźli jego poprzedniczka. PiS lubi czasem pokazać, że w rządzie respektowane są reguły tzw. koalicyjności wobec minigrupek Ziobry i Gowina, choć realne znaczenie dla kształtu gabinetu ma obecność tych dwóch znaczących polityków, a nie ich w zasadzie fikcyjnych partii.

Z kolei szósty nowy członek gabinetu, Michał Dworczyk, będzie nadal robił to, co robił dotychczas, czyli wykonywał najrozmaitsze misje na zlecenie samego Morawieckiego. Jako szef kancelarii premiera i tak był dotąd faktycznym członkiem rządu, teraz zatem ma tylko wzrosnąć jego „instytucjonalny prestiż". Ów zwiększony prestiż Dworczyka to chyba jedyny własny wkład szefa rządu wniesiony w dość gruntowną przebudowę kadrową kierowanego przezeń gabinetu. Jeśli nie liczyć jeszcze nominacji na rzecznika rządu Piotra Müllera, syna słupskiego działacza antykomunistycznej opozycji i niegdysiejszego posła OKP. Nie przypadkiem wicepremier Gowin uznał za stosowne publicznie podkreślić, że co jak co, ale nominacja Müllera to „absolutnie samodzielna inicjatywa premiera".

Cztery miesiące przed wyborami Morawiecki zostanie więc poddany silniejszej niż dotąd kontroli, a pole jego samodzielności ulega pewnemu zawężeniu. Świadczą o tym nie tylko owe nominacje, ale także wyraźne rozszerzenie uprawnień Jacka Sasina, który zachowując kluczowe dla działania całego gabinetu przywództwo w tzw. Komitecie Stałym Rady Ministrów, staje się także realnym zastępcą szefa rządu, a z tej racji zyskuje formalne możliwości oddziaływania i kontroli pracy poszczególnych resortów. Warto przy tym pamiętać, że rola Piotra Glińskiego jako wicepremiera jest ceremonialna. Gliński jako minister kultury jest usytuowany daleko od realnego centrum władzy, a posiadanie (jak domniemywam) drugiego gabinetu w gmachu kancelarii premiera w niczym nie zmienia tego faktu. Tymczasem Sasin, kolejny polityk odziedziczony przez PiS i Jarosława Kaczyńskiego po zmarłym tragicznie bracie, trzyma w swoim ręku całość aktualnych prac rządowych, mając możliwość codziennego oddziaływania na decyzje zapadające w centrum rządu. Teraz (co sam podkreśla w jednym z wywiadów) ma zamiar zacząć także kontrolować prace swoich kolegów z Rady Ministrów. Działać będzie przy tym z dwojakim mandatem: formalnym – nowego wicepremiera, i rzeczywistym – czyli nominata prezesa PiS. Dla żadnego szefa rządu nie byłaby to sytuacja całkiem komfortowa.

> Michał Woś, młody prawnik wylansowany przez Zbigniewa Ziobrę, ma być ministrem bez teki, co redukuje polityczne znaczenie jego nominacji niemal do zera

WZMOCNIENIE KONTROLI NAD RZĄDEM

Czy zwiększenie nadzoru nad delfinem oznacza, że jego pozycja w obozie rządowym słabnie? Tak można by to logicznie odczytać. Ale ponieważ w partii typu wodzowskiego (jaką jest PiS) ową pozycję określa niemal wyłącznie aktualny stosunek przywódcy partii do premiera, rzecz może być w praktyce nieco mniej oczywista. Kaczyński rozszerza faktyczne własne pole kontroli nad rządem, ale to nie musi oznaczać, że właśnie osłabł w swojej fascynacji Morawieckim i zawierzeniu jego nadzwyczajnym zdolnościom w dziedzinie gospodarki. Równie dobrze można wyobrazić sobie, że ze względu na jesienną walkę o władzę kluczową nie tylko dla całej przyszłości PiS, ale przede wszystkim rozstrzygającą dla dalszego życia 70-letniego przywódcy, Kaczyński próbuje silniej niż dotąd trzymać wszystkie sznurki władzy w swoim ręku. Tak aby rząd był w każdej chwili bezproblemową maszynką, dostosowującą się bez zbędnych próśb, zabiegów czy starań do aktualnych wymagań przedwyborczej taktyki partyjnego kierownictwa.

Logicznie można założyć, że uwolniony właśnie od obowiązków rządowych Joachim Brudziński będzie mógł się zająć – wespół z prezesem – bezpośrednim zarządzaniem ową maszynką w toku trwającej cały czas kampanii wyborczej. Jeśli te hipotezy są prawdziwe, to politycznym sensem rekonstrukcji byłoby ustanowienie na czas kampanii wyborczej swoistego „nadrządu, z pozostawieniem kwestii politycznej przyszłości Morawieckiego na później. Czyli na czas po październiku, kiedy będzie już wiadomo, jaki nowy układ władzy daje się w Polsce ukształtować na następne cztery lata.

Fot. Piotr Molecki/East News

eprasa.pl 33acfb3920

K jak kamera (na księdza)

Dr Hanna Karp, medioznawca

Znakiem rozpoznawczym papieża Jana Pawła II stało się pielgrzymowanie. Odwiedził w czasie pontyfikatu ponad 120 państw, spotykając się z ludźmi na sześciu kontynentach. Oczywistością było, że po wyborze na Stolicę Piotrową szybko odwiedzi też ojczyznę. Władze komunistyczne z wielkimi oporami zgodziły się na to, żeby pielgrzymka odbyła się w czerwcu, a nie – jak proponowała Stolica Apostolska – w maju. Uzgodniono termin na dni pomiędzy 2 i 10 czerwca 1979 r. Informacje o wizycie i jej zapowiedź władze ogłosiły 3 marca. Kiedy ten numer pisma trafia na rynek, mija równo 40 lat, od pamiętnych papieskich pożegnalnych słów na lotnisku w Balicach, kończących tamto historyczne i przełomowe pod każdym względem w powojennej historii Polski, wydarzenie.

Kiedy 16 października 1978 r. Polak – 58-letni kardynał Karol Wojtyła – stał się Janem Pawłem II, świat wstrzymał oddech. A komunistyczna władze na Kremlu i w Warszawie wpadły w panikę. Jasne było jednak, że nie mogą odmówić zgody na tę wizytę pierwszemu od 456 lat biskupowi Rzymu nie-Włochowi i pierwszemu papieżowi w historii współczesnej, pochodzącemu z kraju komunistycznego, w którym ateizm stanowił oficjalną państwową doktrynę.

Cały 27-letni pontyfikat Jana Pawła II był okresem pełnym wstrząsów, światowych przemian geopolitycznych i dramatycznych wydarzeń, w które wpisują się także dwa zamachy na jego życie. Dla Polaków i całej Europy Środkowo-Wschodniej wraz z załamaniem się Związku Sowieckiego pontyfikat papieża Polaka oznaczał przede wszystkim wydobycie się spod sowieckiej okupacji i budowę nowego europejskiego porządku. Choć od pierwszej pielgrzymki w 1979 r. do czasów przełomu i załamania całego systemu trzeba było równo dziesięciolecia. Jednak na rewolucyjny zryw i przełom w kraju, związany z powstaniem unikatowego oddolnego chrześcijańskiego ruchu robotniczego, z portretem papieża rodaka i ikoną jasnogórską na bramie Stoczni Gdańskiej, wystarczył rok.

Do jakiej Polski przybył Ojciec Święty? Był to kraj panującej niemal od dekady, specjalnej, zwanej gierkowską, propagandy sukcesu. Kiedy 12 grudnia 1974 r. w Warszawie odbył się IX zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, „Życie Warszawy" informowało, że celem było wypracowanie metody „jak najskuteczniejszego oddziaływania gazet, agencji prasowych, radia i telewizji na najszersze rzesze społeczeństwa". Propaganda sukcesu od czterech lat była wytyczną programową dla ponad 6,5 tys. ówczesnych dziennikarzy polskich. Honorowy gość zjazdu Jerzy Łukaszewicz, odpowiedzialny z ramienia KC PZPR za dział ideologii i propagandy, podkreślał, że „środki masowego przekazu powinny koncentrować się na dalszej popularyzacji i upowszechnianiu nowych cech i wartości, które rodzi ustrój socjalistyczny". Już w połowie gierkowskiej dekady, 15 kwietnia 1975 r., w Warszawie podczas obrad Konferencji Episkopatu Polski pod przewodnictwem prymasa Stefana Wyszyńskiego biskupi przysłali do rządu memoriał, w którym oskarżali władze o łamanie konstytucji, zarzucali istnienie nierówności obywatelskiej. Domagali się zniesienia ateizmu politycznego i torowania dostępu do funkcji kierowniczych ludziom wierzącym.

Media tamtego czasu, w tym telewizja, dziś powiedzielibyśmy „media

eprasa.pl 33acfb3920

publiczne", choć wtedy wszystko było „publiczne", przypominały o zasadach „centralizmu demokratycznego", „wierności wobec sojuszów międzynarodowych", w tym „trwałej przyjaźni z ZSRR". Przygotowujący audycje dziennikarze wciąż stosowali się do zaleceń władz, by korzystać z „lokalnego aktywu partyjnego", mając za zadanie wprost utożsamiać się z linią partii. Wizyty gospodarskie w fabrykach i przemysłowych kombinatach nigdy nie eksponowały braków. Obrazy telewizyjne konsekwentnie ukazywały nastrój dostatku i zaspokojenia społecznych oczekiwań. „Reprezentowałem pogląd, że uczestnicząc w procesach rozwoju kraju, wspomagając te procesy, swoją działalnością mamy służyć doskonaleniu rzeczywistości. My, poprzez eksponowanie pozytywnych faktów oraz ludzi, którzy je kreowali, chcieliśmy wpływać na poprawienie nastrojów w społeczeństwie. I to się udawało" – tłumaczył po latach Maciej Szczepański, objaśniając technologię propagandy sukcesu i tak zwanej krytyki spiralnej, która polegała na tym, że o dziurze w moście można było powiedzieć w telewizji dopiero po jej załataniu.

Jednak polityka i dyskurs propagandy pod koniec lat 70. zmieniły się, zwłaszcza gdy w 1979 r., pod koniec rządów Edwarda Gierka, zadłużenie Polski sięgało 29 mld dol., cukier był od trzech lat na kartki, a ZOMO strzelało do tłumów podczas wypadków radomskich. Wraz z rosnącym kryzysem cała propaganda przechodziła na sterowanie ręczne, prowadzili je najbardziej zaufani propagandziści. Sekretarz KC Jerzy Łukaszewicz informacje o stanie faktycznym państwa rezerwował dla grupy najbardziej wtajemniczonych, wśród samych rządzących. O ile na początku dekady propagandziści zajmowali się wprowadzaniem odbiorców przekazu w stan euforii i zadowolenia, o tyle pod koniec cały wysiłek kierowano w stronę zafałszowywania rzeczywistości – ukrywania gospodarczego krachu i wszelkich niedoborów z niego płynących, prezentując dorobek mijającej dekady w tzw. całej rozciągłości. W 1978 r. próbowano wrócić, choć na krótko, do dawnego czasu, prowadząc kosztowną i rozbudowaną kampanię propagandową związaną z lotem kosmicznym Mirosława Hermaszewskiego. Chodziło przede wszystkim o zyskanie na czasie i odwrócenie uwagi społeczeństwa od niezadowolenia powodowanego narastającym kryzysem gospodarczym. Sam Mirosław Hermaszewski miał się jawić jako nowy narodowy bohater. Jednak Polacy łączyli koszty jego lotu z narastającym kryzysem. Znajdowało to wyraz w żartach, które na co dzień sami układali: „Nie ma mięsa ani gnata, bo Hermaszewski w kosmos lata".

Również obserwowane w pierwszym okresie rządów Edwarda Gierka ocieplenie relacji z Kościołem katolickim było pozorne i krótkotrwałe. Ekipa ta swobodę Kościoła ograniczała jedynie do sfery kultu religijnego, co wiązało się z uzyskiwaniem przez duchownych pozwoleń od władz państwowych na budowy nowych obiektów sakralnych. Szacuje się, że w latach 1971–1976 wzniesiono 365 nowych budowli o charakterze sakralnym, co Kościół może uznać za znaczny sukces. Jednocześnie aparat bezpieczeństwa prowadził nasilone działania dezintegracyjne w stosunku do prymasa Stefana Wyszyńskiego oraz całego duchowieństwa. Już 1973 r. minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk powołał w Departamencie IV MSW samodzielną grupę „D". Jej twórcą i kierownikiem był Konrad Straszewski, dyrektor Departamentu IV. Wcześniej przygotowano nowy regulamin departamentu do spraw zwalczania Kościoła. Wobec coraz bardziej aktywizujących się środowisk opozycyjnych stosowano represje bezwzględne. W roku 1976 doświadczyli ich bezpośrednio uczestnicy protestów przeciwko podwyżkom w Radomiu, Ursusie i Płocku, gdy wobec zatrzymanych stosowano brutalne szykany w postaci tzw. ścieżek zdrowia (byli zmuszani do przebiegnięcia przez szpaler milicjantów bijących pałkami). Ofiarą represji SB padł także w 1977 r. student UJ, współpracownik KOR, Stanisław Pyjas. Ciężko pobity umierał na klatce schodowej jednej z krakowskich kamienic. Jego śmierć spowodowała społeczne wrzenie i niepokój, które skutecznie przemilczano w mediach. Media szczelnie kryły także prawdę o mnożących się pobiciach duchownych przez nieznanych sprawców, zagadkowych zgonach, rewizjach, zatrzymaniach i wyrokach w procesach działaczy opozycji. Podobnie ściśle tajne były pod koniec lat 70. informacje o niespotykanym we wcześniejszym okresie wzroście liczby funkcjonariuszy i rozbudowywaniu struktur Służby Bezpieczeństwa, obejmującej ściślejszą i szczegółowszą inwigilacją coraz szersze kręgi społeczeństwa.

Do takiego kraju przyjechał papież Polak. W pamiętnym 1979 r. przez kraj przeszła bardzo ciężka paraliżująca zima, z rekordowymi mrozami i opadami śniegu. Potem w marcu i kwietniu rodacy zmagali się z powodziami o niespotykanym wcześniej natężeniu. Zagrożenie powodziowe trwało trzy i pół miesiąca, alarm powodziowy obejmował zaś 10 województw. Jakby tego było mało, w czasie siarczystych mrozów, 15 lutego, w sercu Warszawy, na ruchliwym skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich, nastąpił potężny wybuch w rotundzie PKO. Zginęło 49 osób, a rany odniosło ponad 100. Budowla została niemal całkowicie zniszczona. Jako przyczynę wybuchu oficjalnie ogłoszono eksplozję gazu ziemnego. Mimo tych dramatycznych wydarzeń wizyta Ojca Świętego nieuchronnie się zbliżała. 13 maja episkopat ogłosił szczegółowy program wizyty. 29 maja, przed zbliżającym się przyjazdem papieża, Edward Gierek spotkał się z prymasem kardynałem Stefanem Wyszyńskim.

Oczekiwany dzień nadszedł, gdy 2 czerwca o godz. 10.07 samolot papieski wylądował na warszawskim Okęciu. W kościołach w całym kraju uderzono w dzwony. Na powitanie przybyły miliony rodaków. „Wtedy wszystko się ruszyło, jakby poruszyła się cała polska ziemia!" – wspominał w rozmowie na tych łamach ks. kardynał Stanisław Dziwisz. Mimo zafałszowanych obrazów i relacji telewizyjnych transmisji ukazujących pustkę wokół Ojca Świętego, atmosfery i nastroju już nie zatrzymano. Nikt nie miał wątpliwości, że gromadzą się – jakby wokół proroka – tysiące czy wręcz miliony wiernych. Triumfalny przejazd papieża, a w czasie przemieszczania się pieszo, unoszącego się jakby na skrzydłach, centymetr nad ziemią – przebiegał szlakiem „stolic"

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. SETBOUN/SIPA/EAST NEWS

Msza święta na placu Zwycięstwa w Warszawie była tak transmitowana, że jej uczestnicy byli niemal niewidoczni. Widz nie miał ujrzeć ani nawet się domyślić rozmiarów zgromadzenia. Zafałszowany obraz telewizyjnych transmisji miał sugerować wręcz pustkę wokół papieża. Celem działań machiny propagandowej było umniejszenie całej wizyty i ukrycie rozentuzjazmowanych mas wiernych Kościoła

– od Warszawy, przez Gniezno, Częstochowę, do Krakowa oraz tak bliskie papieżowi rodzinne Wadowice, Kalwarię Zebrzydowską, Nowy Targ i Oświęcim.

Szczególne zadania zakłamywania i zniekształcania przekazów otrzymała na ten czas TVP. Służby bezpieczeństwa zostały postawione w stan gotowości – także od strony propagandowej. Obawiano się papieskiej wizyty, zwłaszcza pod względem medialnego wydźwięku, próbując mimo wszystko ugrać także coś dla siebie i systemu. Służby chciały uniknąć rezonansu światowego związanego ze zwiększoną akredytacją dziennikarzy zagranicznych oraz napływu Polonii i cudzoziemców. Na potrzeby pracy operacyjnej służb antycypowano strategię hierarchii kościelnej. dyrektor Departamentu IV MSW Konrad Straszewski, obok instrukcji związanych z działaniami operacyjno-politycznymi i organizacyjno-koordynacyjnymi, przedstawiał dla komend wojewódzkich MO zalecenia inspiracyjno-profilaktyczne nakazujące m.in. ukierunkowanie tajnych współpracowników i kontaktów obywatelskich tak, „aby w trakcie konferencji prasowych, wywiadów udzielanych dziennikarzom zagranicznym i rozmów z cudzoziemcami przejmowali inicjatywę prezentowania korzystnych ocen sytuacji wewnętrznej kraju, a szczególnie na odcinku polityki wyznaniowej".

Potrzeby transmisji pielgrzymki papieskiej prezes Radiokomitetu Maciej Szczepański potraktował jako pretekst do przedstawienia wniosków o kolejne finansowanie z Komitetu Centralnego na rozbudowę techniczną telewizji. Dofinansowanie zostało przydzielone. Telewizyjna relacja przeprowadzana według klucza zbieżnego z zaleceniami Departamentu IV MSW w wydaniu Szczepańskiego przybrała hasło: „Kamera na klechę". Sprawozdawcy i operatorzy kamer mieli w kadrze prezentować przede wszystkim twarz Jana Pawła II. Mszę świętą z placu Zwycięstwa w Warszawie tak transmitowano, że jej uczestnicy byli niemal niewidoczni. Widz nie miał ujrzeć ani nawet się domyślić rozmiarów zgromadzenia. Zafałszowany obraz telewizyjnych transmisji miał sugerować wręcz pustkę wokół papieża. Celem działań machiny propagandowej było umniejszenie całej wizyty i ukrycie rozentuzjazmowanych mas wiernych Kościoła. „Sprawozdania były ściśle sterowane, w transmisjach telewizyjnych »wycinano« tłumy, koncentrując uwagę ludzi na księżach, zakonnicach i starszych niewiastach. Manipulacja była oczywista dla każdego, kto uczestniczył w jednym bodaj spotkaniu z papieżem, a ostrożne szacunki wymieniały liczbę 8–10 mln osób" – wspominał historyk Andrzej Paczkowski.

Dwa tygodnie po wyjeździe Ojca Świętego kraj, zwłaszcza jego południową część, znów ogarnęły powodzie. W Wałbrzychu niewielka rzeka Pełcznica zalała 585 budynków mieszkalnych i 30 zakładów pracy. Wkrótce jednak okazało się, że propaganda, zwłaszcza głoszona w mediach, legła w gruzach, przegrywając w konfrontacji z rzeczywistością. Media i ich przekazy, zredukowane w epoce Edwarda Gierka do funkcji i narzędzia propagandy, nie okazały się wystarczającym orężem dyscyplinowania społeczeństwa. Rewolucyjne zmiany już się rozpoczęły – przerażenie władz w czasie pielgrzymki było w pełni uzasadnione.

Warto dodać jeszcze jako ciekawostkę informację, że w dniu zakończenia pielgrzymki, 10 czerwca, w Europie, o której tak wówczas marzyliśmy, odbyły się w dziewięciu krajach Wspólnoty pierwsze wybory bezpośrednie do Parlamentu Europejskiego. Wyłoniono tego dnia 410 eurodeputowanych. Już wówczas najliczniejszą grupę stanowili socjaliści i socjaldemokraci (112 miejsc), za nimi chrześcijańscy demokracji (106 miejsc) i konserwatyści (63 miejsca). Partie komunistyczne otrzymały 44 mandaty, a liberałowie 40. Pierwszą przewodniczącą była Simone Veil, ale wówczas jeszcze uprawnienia Parlamentu Europejskiego wobec EWG i państw członkowskich były bardzo ograniczone.

eprasa.pl 33acfb3920

Sojusz tronu z ołtarzem

Rosyjska Cerkiew prawosławna to wielka korporacja państwowa, porównywalna z największymi potentatami, takimi jak Gazprom czy Łukoil

Fot. AP Photo/Alexander Zemlianichenko

Z rosyjskim religioznawcą prof. Aleksandrem Agadjanianem rozmawia Grzegorz Górny

Czy po upadku komunizmu w Rosji rzeczywiście nastąpiło odrodzenie religijne? Gdy nastała wolność wyznania, żywiono nadzieję na renesans prawosławia. Czy te oczekiwania się spełniły?

Aleksander Agadjanian: Po części tak. Można wskazać trzy etapy tego procesu. Pierwszy miał miejsce na przełomie lat 80. i 90., gdy zapanowała wolność religijna, jakiej nigdy nie było w historii Rosji: ani w imperium carskim, ani w czasach sowieckich. Nagle z dnia na dzień pojawiła się możliwość wyboru dowolnej drogi duchowej bez żadnej ingerencji ze strony władz. To była część szerszego procesu, jakim był renesans wszystkiego, co dotychczas było zakazane. Mieścił się w tym zarówno powrót do prawosławia, jak i wybór innych religii. Gdy pojawiła się tak ogromna konkurencja na rynku idei, rosyjska Cerkiew prawosławna nie za bardzo wiedziała, jak sobie radzić w tej sytuacji.

W drugiej połowie lat 90. nastąpił kolejny etap. I państwo, i Kościół uznały, że należy znaleźć podstawy wspólnego sojuszu. Temu służyły zmiany w prawodawstwie faworyzujące patriarchat moskiewski i ograniczające możliwość działania np. protestantów czy katolików. Rosyjskie prawosławie zaczęło pojmować siebie jako konstytutywny element tożsamości narodowej oraz fundament państwowej ideologii. W ostatniej dekadzie XX w. obserwowaliśmy masowy wzrost liczby chrztów, ślubów, pogrzebów kościelnych i innych praktyk religijnych, który trwał do końca lat 90. Potem sytuacja się ustabilizowała i do dziś utrzymuje się na stałym poziomie.

Trzeci etap, już w XXI stuleciu, nastał wraz z rządami Putina, a potem patriarchy Cyryla. Pojawili się dwaj silni ludzie zdolni do zdecydowanych

eprasa.pl 33acfb3920

działań, a też spotkały się dwa pragnienia: władzy, która chciała, by prawosławie stało się podstawą ideologii państwowej, oraz patriarchatu, któremu zależało na wsparciu Cerkwi przez państwo.

Jaka jest relacja między nimi? W czasach sowieckich była to relacja podporządkowania, gdy KGB kontrolowało działalność patriarchatu. A dziś? Czy jest to stosunek podległości, czy raczej partnerstwa?

Myślę, że raczej są to dwaj partnerzy, choć nierównoprawni. Rosyjska Cerkiew prawosławna uzyskała co prawda niezależność, ale w czasach pełnej wolności religijnej i duchowej konkurencji, kiedy trzeba było brać odpowiedzialność za samego siebie, czuła się niekomfortowo. Od 2000 r. obserwujemy więc coraz więcej więzi łączących państwo z Kościołem. Tworzą zależność, ale jest ona wzajemna. Gdybyśmy zebrali wszystkie elementy składające się na współdziałanie obu stron, otrzymalibyśmy splątany kłębek nici, którego nie sposób rozsupłać. Można powiedzieć, że rosyjska Cerkiew prawosławna jako instytucja stała się wielką korporacją państwową, porównywalną z największymi potentatami, takimi jak Gazprom czy Łukoil, ze swoimi interesami politycznymi i gospodarczymi.

Ale Gazprom czy Łukoil nie dają władzy legitymizacji ideowej. Czy w pewnym sensie nie nastąpił dziś powrót do idei państwowej Rosji carskiej z XIX stulecia, sformułowanej przez Siergieja Uwarowa w haśle „Prawosławie, samodzierżawie, ludowość"?

Po upadku komunizmu zapanowała ideologiczna pustka. Na początku miała ją wypełnić idea przechodzenia od totalitaryzmu do demokracji, ale za rządów Jelcyna poniosła ona spektakularną porażkę. Państwo zaczęło więc szukać nowych form oraz idei. Tak powstała ideologia silnego i stabilnego państwa. Jeśli zaś chodzi o wspomnianą triadę hrabiego Uwarowa, sformułowaną za panowania Mikołaja I, to aktualny pozostaje jej drugi człon, czyli samodzierżawie, oznaczające silne państwo. Problemem są dwa pozostałe elementy: prawosławie i ludowość.

Dlaczego?

Dlatego, że Federacja Rosyjska jest państwem wieloetnicznym i wielowyznaniowym. Mamy u siebie miliony przedstawicieli innych religii, np. islamu i buddyzmu. Mamy też reprezentantów licznych narodów: Tatarów, Baszkirów, ludy Kaukazu. Trudno, by spoiwem dla nich wszystkich było prawosławie czy rosyjski nacjonalizm.

Nacjonalizm nie może być dla imperium ideologią państwową, ponieważ imperium z założenia jest wielonarodowościowe i skupia wiele etnosów. Jednak zawsze istnieje rusyfikacja. Czy to nie paradoks?

Za czasów Mikołaja I inne było rozumienie narodu. Jednak nawet wówczas władza musiała cały czas lawirować. Z jednej strony tłumiono powstania, np. w 1830 i 1863 r. w Polsce, czy bunty innych mniejszości narodowych, ale z drugiej prowadzono bardzo pragmatyczną politykę wobec różnych narodowości i wyznań, by utrzymać spoistość imperium. Podobne lawirowanie władz obserwuję także dziś. Jest to balansowanie między ideą „russkiego mira", a pozyskiwaniem lojalności np. ludów kaukaskich czy syberyjskich. Temu ostatniemu służyło np. prawne uznanie przez państwo za jedyne rdzenne i tradycyjnie historyczne czterech religii: prawosławia, islamu, judaizmu i buddyzmu.

Jak zdefiniowałby pan „russkij mir"? Można to przetłumaczyć jako „rosyjski świat", ale można też jako „ruski pokój" – coś w rodzaju „pax romana" współczesnego imperium.

„Russkij mir" to ludzie mówiący językiem rosyjskim i uważający się za część rosyjskiej kultury, niezależnie od tego, w jakim państwie mieszkają. W tej definicji nie ma komponentu religijnego, lecz raczej kulturowy.

Czy ta definicja ma coś wspólnego z koncepcją „trójjedynego narodu", jaką przedstawił w swej książce „Jak odbudować Rosję" w 1991 r. Aleksander Sołżenicyn?

Była to idea, którą Sołżenicyn podrzucił wówczas Jelcynowi, ale dziś jest ona całkowicie zapomniana. Nie da się uznać Ukraińców czy Białorusinów za część tego samego narodu co Rosjanie.

À propos Ukrainy. Kiedy patriarchat Konstantynopola ogłosił, że zamierza nadać ukraińskiemu prawosławiu autokefalię, natychmiast w Moskwie zebrała się Rada Bezpieczeństwa Narodowego Federacji Rosyjskiej. Jak to wytłumaczyć?

Pojęcie bezpieczeństwa narodowego jest w Rosji ściśle związane z pojęciem „ruskiego mira", a ono wykracza poza granice kraju. Najmocniej promował je w ostatnich latach patriarcha Cyryl, stojący na czele instytucji, która de facto spełnia funkcję soft power za granicą. Przecież większość świątyń prawosławnych na Ukrainie jest podporządkowana wielkiej korporacji państwowej, zwanej rosyjską Cerkwią prawosławną, a to dotyka bezpieczeństwa narodowego. Zresztą władze w Kijowie widzą ten problem dokładnie tak samo.

Jaka jest różnica między ukraińskim a rosyjskim prawosławiem?

To pierwsze zawsze było bardziej żywotne i dynamiczne. W imperium rosyjskim Ukraina pozostawała najbardziej religijną częścią państwa, wywierającą olbrzymi wpływ na życie duchowe w całym kraju, począwszy od XVII stulecia, gdy w Kijowie działała Akademia Mohylańska, aż do końca XX w. Tak było w okresie caratu, za czasów sowieckich i tak jest dziś. Wystarczy spojrzeć na liczbę powołań kapłańskich, parafii, wspólnot, praktyk religijnych itd.

Jaki odsetek wiernych rosyjskiej Cerkwi prawosławnej regularnie praktykuje?

Od 10 do 14 proc. chodzi do cerkwi raz w miesiącu, a od 2 do 5 proc. uczęszcza na msze w każdą niedzielę. Na Ukrainie te wskaźniki są znacznie wyższe, choć nie znam dokładnych liczb.

Fiodor Dostojewski twierdził, że nosicielem prawdziwej wiary

eprasa.pl 33acfb3920

prawosławnej jest rosyjski lud, i to z nim należy wiązać największe nadzieje na religijne odrodzenie. Czy ta konstatacja jest prawdziwa, zwłaszcza w odniesieniu do obecnych czasów? A może ważniejsza jest inteligencja?

W latach 70. doszło do odrodzenia religijnego wśród rosyjskiej inteligencji, ale było ono ograniczone głównie do wielkich miast, takich jak Moskwa czy Leningrad. Czytano tam samizdat i starodruki, studiowano Biblię, zachwycano się Bierdiajewem. Ci ludzie byli – by użyć terminologii Maxa Webera – religijnymi wirtuozami. Po upadku komunizmu wielu z nich stało się ortodoksami, a nawet fundamentalistami. Byli też wśród nich liberałowie, ale to zdecydowana mniejszość. Jeśli natomiast chodzi o prosty lud, to wśród niego nie ma raczej pogłębionej wiary ani poszukiwań teologicznych. Jest natomiast codzienne życie w atmosferze przesyconej duchowością, w sakralnej przestrzeni symbolicznej, wśród ikon i krzyży, jak w swoim własnym środowisku naturalnym. Na tym poziomie ludzie utożsamiają się z chrześcijaństwem. Odgrywa ono w ich życiu pewną rolę, choć może nie decydującą. Jest zresztą tak, że w ciągu jednego dnia człowiek może motywować swoje działania różnymi światopoglądami, a część z nich może mieć swoje źródło w wierze. Tylko nieliczni, owi wirtuozi religijni, kierują się w swym życiu głównie drogowskazami wiary.

Czy prawosławna inteligencja ma dziś wpływ na życie społeczeństwa i Cerkwi?

Jest ona aktywna głównie w internecie, zwłaszcza w mediach społecznościowych. Tworzy różne grupy i środowiska, których władze Cerkwi nie mogą ignorować. Tym bardziej że zarówno patriarcha Cyryl, jak i jego najbliższy współpracownik metropolita Hilarion Ałfiejew sami wywodzą się ze środowisk inteligenckich. Ten system usuwa jednak na obrzeża nonkonformistów, którzy są zbyt niezależni w myśleniu, takich jak Andriej Kurajew czy Wsiewołod Czaplin, choć pozostają oni częścią prawosławnej przestrzeni publicznej.

Aleksander Agadjanian

Fot. Z archiwum Aleksandra Agadjaniana

W prawosławiu nigdy nie było rozwiniętego systemu nauki społecznej, takiej jak w katolicyzmie. Dopiero w 2000 r. zebrał się synod rosyjskiej Cerkwi prawosławnej, by ogłosić powstanie takiej doktryny. Czy rzeczywiście ona funkcjonuje?

Kiedy w 2000 r. ogłoszono dokument programowy prawosławnej nauki społecznej, wydawało się, że będzie to akt bez większego znaczenia, ale po kilkunastu latach się okazuje, że jest on studiowany i coraz częściej staje się dla Cerkwi punktem odniesienia. Do tego doszło jeszcze kilkanaście wydanych później dokumentów dotyczących konkretnych spraw, jak kwestie socjalne, związki homoseksualne, polityka rodzinna itd.

W chrześcijańskiej nauce społecznej tkwi potencjalne źródło konfliktów między Kościołem a państwem. Ujawnia się ono w momentach, gdy polityka władz sprzeciwia się wartościom uznawanym przez Kościół za nienegocjowalne. Czy w Rosji dochodziło do zderzeń na tym tle?

Nie ma pełnej symfonii między państwem a Kościołem. Wynika to z dwóch powodów. Po pierwsze, władza nie może stawiać tylko na prawosławie, ponieważ zbyt dużo mamy mniejszości narodowych i religijnych. Po drugie, elita rządząca naszym państwem wywodzi się z dawnych środowisk komunistycznych, zwłaszcza służb specjalnych. Dla nich religia nie jest czymś uwewnętrznionym. Ogranicza się do oficjalnych deklaracji czy symbolicznych gestów. Nie ma więc tam pełnego zrozumienia dla chrześcijańskiej wrażliwości.

Jest pewna sprawa, w której ujawnia się niezgodność między państwem a Kościołem. W 2018 r. patriarcha Cyryl miał wystąpienie, w którym powiedział, że mimo dobrych stosunków z państwem istnieje poważna sprawa, w której się nie zgadzamy. Chodzi o aborcję. W tej kwestii nie znajdujemy zrozumienia, ale musimy nad tym popracować, powiedział patriarcha. Pewne drobne sukcesy udało się jednak osiągnąć, np. klauzulę sumienia dla lekarzy, którzy odmawiają wykonywania aborcji. Co prawda znalazło się tam stwierdzenie, że odmowa wynika z powodów światopoglądowych, a nie religijnych, ale niewątpliwie odbyło się to pod wpływem Cerkwi.

Czy rosyjska Cerkiew prawosławna ma dziś program ewangelizacji?

Religia wchodzi powoli do szkół. Mamy tam fakultatywne kursy, tzn. uczniowie mogą wybrać między prawosławiem, buddyzmem, islamem, judaizmem, religioznawstwem lub etyką świecką. Większość wybiera etykę, ale wiele osób ma też okazję po raz pierwszy zetknąć się z religią prawosławną. Poza tym na uniwersytetach pojawiły się wydziały teologiczne. W armii zaczęli służyć kapelani. Państwo przekazało również Cerkwi jeden z 20 ogólnokrajowych kanałów telewizyjnych, na którym nadaje dziś Telewizja Spas.

Ale to, o czym pan mówi – szkoły, uniwersytety, wojsko, telewizja – jest rezultatem wsparcia ze strony państwa. A co z samorzutną aktywnością prowadzoną bez pomocy władz?

Niestety, nie jest ona zbyt zauważalna. Może jedyny wyjątek to działalność charytatywna i dzieła miłosierdzia. Lepiej wychodzi współpraca z państwem niż poleganie tylko na sobie. Być może jednak wynika to z szerszego problemu, jakim jest u nas brak społeczeństwa obywatelskiego.

eprasa.pl 33acfb3920

Fot. Fratria

Doctor Doom docenia Polskę

Choć żyjemy w czasach niepokoju, to wciąż widać światełko w tunelu, Polska zaś może być dla Europy i świata wzorem tego, jak wychodzić obronną ręką z trudności gospodarczych czasu przemian – taki wniosek można wysnuć z tegorocznej edycji Europejskiego Kongresu Finansowego

Europejski Kongres Finansowy jest cyklicznym wydarzeniem, które odbywa się w Sopocie od ponad ośmiu lat. Co roku impreza ściąga finansistów, bankierów i ekspertów z całego świata. Tegoroczna, dziewiąta edycja nie była pod tym względem odmienna – na obrady i panele dyskusyjne przybyła do Sopotu w dniach 3–5 czerwca prawdziwa finansowa śmietanka.

Było o czym debatować, światowa gospodarka bowiem znajduje się w stanie rozedrgania i niepokoju. Rywalizacja technologiczna jest większa niż kiedykolwiek, Unia Europejska stoi w obliczu brexitu oraz coraz większych tendencji dezintegracyjnych, za oceanem zaś narasta napięcie handlowe między USA a Chinami. Jak w tym ekonomicznym galimatiasie może się odnaleźć Polska? Jaka będzie nasza pozycja w świecie rozdartym konfliktem celnym między potęgami? A może globalni gracze mogą się nauczyć czegoś od Polski?

„Kiedy w 1989 r. przyjechałem do Polski wspomóc transformację gospodarczą, nikt nie spodziewał się, że przejście z socjalizmu do kapitalizmu może się udać" – mówił w otwierającym kongres filmie dokumentalnym legendarny ekonomista Jeffrey Sachs. „Jednak mimo to transformacja się udała. Nie mówię, że wszystko poszło idealnie, mówię, że z krajów, które przeszły tę samą drogę, Polska z tego wyzwania wybrnęła najlepiej". To właśnie analiza drogi gospodarczej naszego kraju zdominowała obrady i panele kongresu, jak bowiem wskazywali eksperci, nasz kraj w obecnym klimacie ekonomicznym może dla innych państw stanowić przykład tego, jak wychodzić z pozornie nierozwiązywalnych gospodarczych dylematów.

POLSKIE WYZWANIA I SUKCESY

„Sprawnie funkcjonującą gospodarkę można porównać do systemu naczyń połączonych. Taki system zawsze będzie dążył do równowagi" – pisała w liście do uczestników Europejskiego Kongresu Finansowego była minister finansów Teresa Czerwińska. W swoim liście zauważała, że tylko zrównoważona polityka gospodarcza doprowadzi do sytuacji, w której społeczeństwo będzie bezpieczne i osiągnie wysoki poziom dobrobytu. Kluczowe przy tym jest zresztą niwelowanie różnic w dochodach i majętności. I to tutaj możemy się pochwalić kolejnym sukcesem na arenie europejskiej, ocena bowiem nadmiernych nierównowag prowadzona przez Komisję Europejską wskazuje, iż Polska należy do państw najbardziej zrównoważonych w tym zakresie.

eprasa.pl 33acfb3920

To efekt prowadzonych w ostatnich latach działań gospodarczych rządu Prawa i Sprawiedliwości. Co więcej, optymizm można zachować także, obserwując przewidywany wzrost poziomu PKB. Są jednak też zagrożenia. Największym ma być postępujące starzenie się społeczeństwa. „Stanowi to ogromne wyzwanie, ale i szansę na znalezienie rozwiązań aktywizujących zawodowo" – napisała w liście była minister.

„Mimo stabilnych trendów mamy ogromny wzrost niepewności, której przyczyną jest gwałtowny rozwój technologii. Pewne zawody znikają, pojawiają się nowe – są wygrani i przegrani transformacji technologicznej. Jak żyć w takim otoczeniu?" – pytał z kolei podczas swojego wystąpienia Paweł Borys, prezes zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju, odnosząc się do wyzwań globalnych, ale też działań, jakie może podjąć Polska, by odnaleźć się w tym nowym środowisku. „Think global act local – takie powiedzenie pokutuje już od ponad stu lat. Myśleć należy terminowo, ale działać zwinnie i szybko" – mówił szef PFR. Za przykład takiego rozumowania skutecznie przekutego w inicjatywę inwestycyjną podał terminal E z Singapuru – pierwszy, który miał stanowić podstawę dla pozostałych w tym wielkim porcie w długiej, bo 50-letniej, perspektywie. „To właśnie takie myślenie jest najbardziej obecnie pożądane" – mówił szef PFR, dodając, iż singapurski port jest obecnie jednym z inwestorów terminalu DCT w Gdańsku.

EUROPEJCZYCY MUSZĄ TRZYMAĆ SIĘ RAZEM

Bez wątpienia najważniejszym wystąpieniem tegorocznej edycji EKF był wykład prof. Nouriela Roubiniego. Roubini jest jednym z najwybitniejszych myślicieli ekonomicznych, a także człowiekiem, który przewidział wielki kryzys 2008 r. (wtedy określono go jako Doctora Doom – określenie, za którym profesor nie przepada). Jest też uczonym, ekspertem ze Stern School of Business, New York University, który jako pierwszy wskazał na zagrożenia związane z kryptowalutami (bitcoina nazwał „matką wszystkich przekrętów"), a także przewidział wzrost napięć w strefie euro. Podczas kongresu prof. Roubini opowiadał o ewentualnych zagrożeniach dla globalnego systemu finansowego oraz o metodach unikania tych zagrożeń. Roubini, oprócz bycia ekspertem i profesorem, jest też doradcą polskiego Banku Pekao SA.

> „Polska to niezwykły kraj, który osiągnął potężny postęp i rozwój w zakresie ekonomii i polityki" – mówił podczas sopockiego kongresu prof. Nouriel Roubini

„Polska to niezwykły kraj, który osiągnął potężny postęp i rozwój w zakresie ekonomii i polityki" – zaznaczył na początku wystąpienia profesor, by potem odnieść się do analogicznej sytuacji, która w owym okresie miała miejsce w Chinach na placu Tiananmen, gdy zmasakrowano protestujących. „Te dwa kraje, Chiny i Polska, poszły w różnych kierunkach – wasz kraj wybrał demokrację, w Chinach zaś zapanował brutalny autorytaryzm". Roubini znany jest też z niechęci do haseł populistycznych, co podkreślił kilkukrotnie w swoim wykładzie. Dodał jednak, że populizm nie bierze się znikąd, lecz wynika z uzasadnionych zarzutów społeczeństw kierowanych pod adresem władz oraz niespełnionych nadziei na poprawę swego losu. „Musimy wprowadzać takie zmiany w gospodarce, które służyć będą wszystkim" – zaznaczał ekspert. „To uchroni nas przed populizmem w przyszłości".

A co z Unią Europejską? Czy należy iść drogą głębszej integracji, czy raczej poluzować więzy między państwami? „Europejczycy w obliczu Rosji czy Chin muszą się trzymać razem i wypracować jednolity, kompromisowy sposób radzenia sobie z takimi problemami, jak kwestie ekonomiczne czy migracyjne. Zdezintegrowana Europa nie pójdzie w dobrym kierunku" – powiedział Roubini. I dodał: „Przykładowo dla Rosji Europa rozdrobniona to Europa słabsza i łatwa do rozgrywania". Czego jednak najbardziej potrzeba Europie? Profesor nie miał wątpliwości: wizji i lidera.

Opinię tę profesor rozwinął później podczas zamkniętego spotkania kawowego zorganizowanego dla wąskiej grupy mediów przez Bank Pekao. Wraz z prezesem Pekao SA Michałem Krupińskim prof. Roubini analizował możliwe scenariusze stojące przed Unią Europejską w sensie politycznym. Rozważano też potencjalne zagrożenia, jakie polityka może nieść dla systemu bankowego.

Pytany o to, czy Unia ze swoimi sztywnymi strukturami nie stanie się w ciągu kilku lat narzędziem w rękach zdobywającej coraz większe poparcie na Zachodzie skrajnej prawicy, Roubini uspokajał, wskazując, iż nawet politycy radykalni w przypadku dojścia do władzy znacząco liberalizują swój przekaz i prowadzą bardziej umiarkowaną politykę. A czy tego typu ruchy są zagrożeniem dla bankowości? „Polityczne zagrożenie dla bankowości nie występuje, ta bowiem skupia się na innych czynnikach" – podkreślił profesor. I dodał: „Dobry, godzien zaufania bank to bank oferujący wysoką jakość usług swoim klientom i przez to zyskujący ich zaufanie". Ta ostatnia wypowiedź była wyraźnym ukłonem w stronę skutecznych i prokonsumenckich praktyk Banku Pekao SA.

Bankowość i możliwy kryzys, przyszłość makroekonomiczna i zakres podejmowanego ryzyka, wreszcie nadchodzące zagrożenia i rola Polski w zmieniającym się świecie – oto tematy, które zdominowały Europejski Kongres Finansowy. Kongres, który wyraźnie wskazał, iż choć świat stoi przed licznymi wyzwaniami, Polska może być wzorem tego, jak przezwyciężać liczne trudności.

Arkady Saulski

eprasa.pl 33acfb3920

W stronę zielonej rewolucji

Polską energetykę czekają rewolucyjne zmiany, a sygnał do przewrotu dał w ostatnich dniach Tauron, zapowiadając zwrot w kierunku odnawialnych źródeł energii. W ślad za katowickim koncernem poszły inne spółki energetyczne, które już poinformowały, że jesienią przedstawią nowe strategie. Nie ma wątpliwości, że również one ogłoszą większe zaangażowanie w OZE

Prezentując wyniki za pierwszy kwartał, Tauron przedstawił nowe kierunki rozwojowe i zapowiedział inwestycje w odnawialne źródła energii. Plany śmiało zakreślone przez zarząd grupy, którą kieruje Filip Grzegorczyk, dotarły nawet do unijnych decydentów i przedstawicieli europejskich organizacji ekologicznych, którzy upewniali się w polskiej administracji, czy dobrze odnotowali zamiary katowickiej firmy. Nie ma się czemu dziwić, spółka z południa Polski dotychczas była bowiem kojarzona przede wszystkim z energetyką węglową.

Jak konkretnie wyglądają plany Taurona? Ambitnie. W 2030 r. koncern chce ponad 65 proc. energii produkować z odnawialnych źródeł. Drogą do osiągnięcia tego celu są oczywiście inwestycje. Filip Grzegorczyk, prezes Tauron Polska Energia, zapowiedział do 2025 r. inwestycje w farmy wiatrowe na lądzie o mocy 900 MW, farmy fotowoltaiczne o mocy 300 MW oraz zaangażowanie w budowę morskich farm wiatrowych. To duże wartości, nowe źródła energii mogą zasilić nawet 3 mln gospodarstw domowych.

OBNIŻYĆ EMISJĘ

Grzegorczyk podkreśla też, że planowane inwestycje pozwolą na znaczne obniżenie emisyjności spółki, co oprócz efektu ekologicznego przyniesie wymierne korzyści finansowe. – Zaangażowanie w odnawialne źródła energii oraz zastąpienie starych elektrowni przez oddanie do użytku bloku o mocy 910 MW w Jaworznie pozwoli na obniżenie emisyjności Grupy o ponad 20 proc. do 2025 r. oraz o ponad 50 proc. do roku 2030 – tłumaczył na konferencji prezes Taurona. Jest to niezwykle istotne ze względu rosnące ceny uprawnień do emisji CO_2 w Unii Europejskiej, które mocno uderzają w polskie firmy energetyczne.

Nowy blok w Jaworznie to jednostka węglowa, ale pracując z najwyższą w swojej klasie sprawnością w Europie, będzie emitował o 2 mln ton CO_2 rocznie mniej, a także zredukuje emisje pyłów (o 91 proc.), tlenków azotu, siarki (odpowiednio o 82 i 95 proc.). Władze Taurona podkreślają, że jest to ostania inwestycja spółki w źródło węglowe.

SUKCESYWNA TRANSFORMACJA

Przyglądając się kolejnym krokom Taurona i biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej spółka znalazła się w 2015 r., można liczyć na to, że ambitne plany będą rzeczywiście realizowane. Cztery lata temu katowicki koncern był przytłoczony rozgrzebanymi inwestycjami, z którymi nie wiadomo było, co począć, a finanse Grupy były tak rozchwiane, że ta druga energetyczna firma w kraju mogłaby zbankrutować już w 2017 r. W ciągu trzech lat udało się uzdrowić kluczowe inwestycje (blok 910 MW będzie oddany już z końcem tego roku), przeprowadzić programy poprawy efektywności i diametralnie zmienić model zarządzania.

Katowicki koncern daje do ręki argumenty wszystkim zwolennikom poważnego podejścia do nowoczesnych rozwiązań. Efektem zaangażowania Grupy w projekty innowacyjne i wdrożenia Strategicznej Agendy Badawczej jest m.in. przeprowadzenie z sukcesem projektu, który przyniósł firmie realne korzyści finansowe szacowane na 100 mln zł.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 33acfb3920

Otwarte Zakazane Miasto, zamknięty Biały Dom

Współczesny konsument jest coraz bardziej świadomy i poinformowany w kwestii produktów, które kupuje i prywatne firmy dbają o jak największą przejrzystość. Polityka to jednak brudna i nieapetyczna gra, prowadzona za zamkniętymi drzwiami. Widać to wyraźnie na przykładzie sporu wokół technologii 5G i produktów Huawei

Amerykańska Ustawa o ochronie narodowej (NDAA) wpisuje chiński koncern Huawei na czarną listę firm, z którymi amerykańskie firmy nie mogą handlować. Interes administracji Donalda Trumpa jest więc w sprzeczności z podstawowymi zasadami wolnego rynku. To nie stworzenie barier celnych czy utrudnień prawnych, ale wskazanie palcem – „z nimi wam nie wolno". Tego typu antyrynkowe działania to oczywisty problem dla Chińczyków, ale również dla amerykańskich firm. Jednym ruchem Waszyngton wpłynął na istotę międzynarodowego ładu handlowego i stworzył niebezpieczny precedens ingerencji rządu w prywatną działalność gospodarczą. Jest to decyzja godna potępienia przez przedsiębiorców, którzy cenią swobodę gospodarczą, nawet jeżeli w krótkim okresie mogą zyskać na nieuczciwej, bo wymuszonej aktem prawnym, konkurencji.

Huawei nie poddaje się i udowadnia, że obywatele Republiki Ludowej rozumieją zasady kapitalistycznej gry lepiej niż kojarzeni z wartościami Adama Smitha Amerykanie. Azjatycki koncern zdaje się widzieć szerszy kontekst całej sprawy, widzi kontekst biznesowy, a nie polityczny, i konsekwencje, jakie decyzje Gabinetu Owalnego niosą dla klientów na całym świecie.

„Ta kara nie tylko skrzywdziła Huawei, ale zagroziła również uderzeniem w ponad 3 mld klientów, których obsługujemy w przeszło 170 krajach i regionach. Decyzja ta odmawia im dostępu do usług komunikacyjnych. Dotyczy to zarówno osób z krajów rozwijających się, jak i klientów z odległych regionów USA" – mówił Song Liuping, dyrektor działu prawnego Huawei na spotkaniu z dziennikarzami.

Według szacunków Huawei potwierdzonych badaniami niezależnych organizacji, gdyby koncern mógł swobodnie rywalizować na rynku, operatorzy telekomunikacyjni w Ameryce Północnej w ciągu najbliższych czterech lat mogliby zaoszczędzić nawet 20 mld dol. na kosztach związanych z uruchomieniem sieci. To z kolei oznaczałoby ogromne korzyści także dla konsumentów. Po opublikowaniu czarnej listy podmiotów ponad 1,2 tys. dostawców będzie musiało się zmierzyć z ograniczeniami sprzedaży do Huawei. Ma to więc bezpośredni negatywny wpływ zarówno na te przedsiębiorstwa, jak i użytkowników końcowych, którzy po odcięciu dostaw także zostaną dotknięci restrykcjami.

Równocześnie przyczyny politycznej decyzji USA są kwestionowane w innych państwach. Wątpliwości w kwestii domniemanego zagrożenia płynącego z chińskich technologii wyraziło wiele państw europejskich. Ostatnio w Norwegii opublikowano niezależną ekspertyzę, która wskazuje, że Huawei nie ma prawnych zobowiązań dzielenia się informacjami z rządem w Pekinie.

„Naszym zdaniem nie istnieją żadne norweskie ani chińskie przepisy, które nakazywałyby Huawei Norway współpracę z rządem chińskim w takich dziedzinach, jak zwalczanie terroryzmu, bezpieczeństwo cybernetyczne lub wywiad. Oznacza to, że firma nie jest zobowiązana do przekazywania rządowi chińskiemu informacji lub dostępu do produktów, które są wdrażane w Norwegii, ani prawa do dezaktywowania takich produktów. Innymi słowy, chińska spółka matka nie jest w żaden sposób zobowiązana prawnie do wniesienia wkładu w takie działania" – powiedział Geir Sviggum, partner i prokurator w kancelarii Wikborg Rein.

Huawei odpowiada na zarzuty amerykańskiej administracji coraz większą transparentnością. W Belgii, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Norwegii firma otworzyła centra bezpieczeństwa cybernetycznego. Zapewniają one klientom, partnerom i rządom państw dostęp do planów i rozwiązań Huawei w obszarach takich jak wdrożenie nowego internetu 5G. Tym samym koncern chce pokazać światu, co „jest w środku" i jak robi swoje produkty. „Ludzie nie powinni widzieć jak robi się kiełbasę i politykę" – powiedział Otto von Bismarck. Chińska technologia to produkt daleki od wędlin, a jej zaplecze to też rzecz, którą można pokazywać i jest pokazywana światu. Polityka pozostaje brudna, a wydarzenia w Owalnym Gabinecie najwidoczniej nie powinny być publiczne.

13/0619/F

eprasa.pl 33acfb3920

Bezpieczne dzieci – spokojni rodzice

fot. PZU | 8/0619/F

Wakacje to dla dzieci czas beztroski, ale nie dla rodziców. Letni wypoczynek jest okresem zwiększonego niepokoju o pociechy przebywające często poza domem. To właśnie z myślą o rodzicach i o tym, by tegoroczne lato także dla nich było czasem spokoju i relaksu, PZU Pomoc przygotowała wyjątkową akcję „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko"

Celem akcji PZU Pomoc jest objęcie jak największej liczby dzieci ubezpieczeniem od następstw nieszczęśliwych wypadków do 1 września, czyli przez cały okres wakacji szkolnych. Polisa dla dziecka na całe wakacje działa 24 godziny na dobę na całym świecie. Ubezpieczenie obejmuje nieszczęśliwe wypadki, nawet te powstałe w czasie uprawiania sportów, i to również wyczynowo.

– Jako największy polski ubezpieczyciel dajemy dobry przykład. Dbamy o bezpieczeństwo Polaków. Dlatego zdecydowaliśmy, że PZU zaproponuje ochronę ubezpieczeniową wszystkim dzieciom w Polsce. Dzięki PZU Pomoc ich rodzice mogą skorzystać z tego bezpłatnie. Życzę wszystkim dzieciom i rodzicom spokojnych oraz udanych wakacji – mówi Paweł Surówka, prezes zarządu PZU SA.

W ramach akcji PZU Pomoc SA zapewnia rodzicom i opiekunom dzieci do 18. roku życia możliwość bezpłatnego zgłoszenia ich pociech do wakacyjnego ubezpieczenia NNW PZU Edukacja. Akcja „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko" obejmuje także pełnoletnich uczniów i studentów do 25. roku życia, którzy mogą samodzielnie przystąpić do ubezpieczenia. Aby z niego skorzystać, należy wypełnić formularz deklaracji przystąpienia do ubezpieczenia na stronie internetowej wakacjezpzu.pl i wyrazić zgodę na przetwarzanie swoich danych we wskazanych celach. Imię, nazwisko oraz PESEL dziecka zostaną użyte wyłącznie w celu objęcia dziecka ochroną ubezpieczeniową w ramach akcji „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko".

– Chcemy, żeby wakacje wszystkich dzieci w Polsce były bezpieczne, a rodzice czuli, że w razie niespodziewanych sytuacji mogą zawsze liczyć na nasze wsparcie, pomoc finansową i specjalistyczną opiekę dla swoich pociech – dodał Roman Pałac, prezes zarządu PZU Życie SA.

Opracowanie i wdrożenie oferty w ramach akcji „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko" zostało poprzedzone przez największego polskiego ubezpieczyciela wnikliwymi badaniami ankietowymi. Przyniosły one interesujące dane na temat tego, jak dzisiejsi rodzice

eprasa.pl 33acfb3920

ZASADY AKCJI „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko”

- Ochrona 24 godziny na dobę aż do końca wakacji (do 1 września)
- Dotyczy całego świata – w domu, w drodze, na kolonii i obozie
- Szeroki zakres assistance, w tym pomoc psychologa i medyczna
- Ochrona obejmuje nieszczęśliwe wypadki – nawet te powstałe w czasie uprawiania sportów (także wyczynowo)

Ochrona działa w takich sytuacjach jak:

- trwałe uszkodzenie ciała,
- złamanie kości lub zwichnięcie stawów,
- wstrząśnienie lub podejrzenie wstrząśnienia mózgu,
- pogryzienie, pokąsanie, ukąszenie,
- nagłe zatrucie gazami, substancjami i produktami chemicznymi,
- oparzenie, porażenie prądem lub piorunem.

Gwarantowane usługi powypadkowe:

- pomoc medyczna,
- dostawa lekarstw przepisanych przez lekarza,
- lekcje w domu,
- transport medyczny,
- pomoc rehabilitacyjna,
- wizyty lekarza lub pielęgniarki.

www.wakacjezpzu.pl

odnoszą obecne zagrożenia wakacyjne do czasów swojego dzieciństwa.

Według badań przeprowadzonych na zlecenie PZU, aż 75 proc. rodziców uważa, że na dzieci w trakcie wakacji czyha dziś więcej niebezpieczeństw niż w czasach, kiedy sami byli dziećmi. Jednocześnie warto jednak zaznaczyć, że co drugi rodzic uważa, iż kiedy sam był dzieckiem, miał więcej wolności i swobody, niż otrzymują dzieci współcześnie. Mimo to aż 66 proc. rodziców chciałoby, żeby ich pociechy spędzały wakacje tak jak oni.

68 proc. rodziców obawia się przemocy wobec ich dzieci. Natomiast 65 proc. niepokoi negatywny wpływ starszych dzieci na ich pociechy, a 64 proc. obawia się także nieszczęśliwych wypadków. Ponad połowa z rodziców boi się ryzyka, że dziecko sobie nie poradzi podczas samodzielnego wyjazdu *(Badanie na próbie N=600 rodziców dzieci w wieku 7–19 lat zrealizowane na panelu internetowym Norstat)*.

Ankietowani rodzice podkreślali, że jako dzieci mieli podczas wakacji więcej kontaktu z przyrodą i więcej od nich wymagano. Ponadto wyrażali uznanie dla samodzielności. Potrafili rozbić obóz i zbudować miejsce noclegowe. Jak przyznali, byli zadowoleni z wakacji w środku lasu, bez telefonu i pieniędzy.

Z przeprowadzonych badań możemy zatem wywnioskować wyraźną tęsknotę za czasem większej swobody przy jednoczesnej świadomości zagrożeń, jakie funkcjonują we współczesnym świecie. Rodzice chcieliby dla swoich pociech wakacji pełnych przygód, możliwości realizacji pasji i poluzowanej kontroli, ale też wiedzą, że ochrona dzieci wymaga większej staranności i nakładu sił niż kilkadziesiąt czy kilkanaście lat temu.

Wyniki badania skłoniły największego polskiego ubezpieczyciela do udzielenia wsparcia rodzicom i opiekunom w przezwyciężeniu trosk i niepokojów związanych z wakacyjną aktywnością ich pociech.

– Polisa w PZU dla dziecka na całe wakacje działa 24 godziny na dobę na całym świecie. Ubezpieczenie obejmuje wiele nieszczęśliwych wypadków oraz zdarzeń, jakie mogą się przytrafić dzieciom. Osobom objętym ubezpieczeniem gwarantujemy usługi powypadkowe w Polsce, a w szczególności pomoc medyczną, transport medyczny, pomoc rehabilitacyjną – wyjaśnia Grzegorz Goluch, prezes zarządu PZU Pomoc.

Troska o bezpieczeństwo młodych i najmłodszych Polaków od lat przyświeca Grupie PZU. W tym miejscu warto przypomnieć chociażby aktywne zaangażowanie największego polskiego ubezpieczyciela w promocję bezpieczeństwa dzieci w ruchu drogowym. Mowa o ogólnopolskiej kampanii „Odblaski – dziecko bezpieczne na drodze”. Skala działania była tu także naprawdę imponująca. Do wszystkich uczniów z klas I–III szkół podstawowych w Polsce trafiło ponad 1,6 mln plakietek odblaskowych z wbudowaną migającą lampką.

Sprzęt na bezpieczne wakacje

Uruchomieniu programu „Wakacje z PZU. Bezpieczne dziecko” towarzyszy konkurs fotograficzny na oficjalnym profilu PZU na portalu Facebook. Na zwycięzców konkursu czeka 10 voucherów na sprzęt sportowy o wartości 2 tys. zł każdy. Osoby, które chcą wziąć udział w konkursie, powinny przesłać swoje zdjęcie z wakacji i krótko opisać wspomnienia z nim związane. Wszystkie szczegóły dostępne są na profilu PZU na portalu Facebook: **www.facebook.com/grupapzu**. Konkurs potrwa do 21 czerwca.

Ubezpieczenie w ramach Umowy Grupowego Ubezpieczenia NNW PZU Edukacja zawartej pomiędzy PZU Pomoc SA (ubezpieczający) a PZU SA (ubezpieczyciel). Aby skorzystać z ubezpieczenia, należy wyrazić zgody do wskazanych celów. Akcja obowiązuje do 21.06.2019 r. Szczegóły sprawdź w regulaminie dostępnym na wakacjezpzu.pl. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia NNW PZU Edukacja wraz z postanowieniami dodatkowymi i odmiennymi, dostępnych na wakacjezpzu.pl

eprasa.pl 33acfb3920

Chcemy tylko żyć

Na jednej szali uśmiech dziecka, dotyk męża, spacery w słońcu, drobne sukcesy w pracy. Na drugiej zapisane w postaci excelowych tabelek farmakoekonomiczne wyliczenia. Kobiety chore na raka piersi marzą o tym, by na dół opadła pierwsza szala. Pragną, by polskie państwo powiedziało im: możecie żyć!

PIOTR FILIPCZYK

Pogrzeb dla amazonki to powinna być w miarę normalna rzecz, jesteśmy przecież społecznością kobiet zmagających się ze śmiertelnie groźną chorobą. Proszę mi uwierzyć, że nie jest. Uczestniczyłam już w pogrzebach kilku moich koleżanek. I za każdym razem jest to wstrząsające przeżycie, ból nie do opisania. Ja krzyczę i staram się zwrócić uwagę na nasz problem, bo wiem, że dla chorych i ich bliskich najważniejsza jest nadzieja. My chcemy żyć. Tylko tyle i aż tyle – mówi Eulalia Rutkowska, amazonka z Choroszczy pod Białymstokiem.

– Pierwszy atak choroby miałam w 2002 r. Przetrwałam. Po 13 latach to wróciło. Znowu trzeba walczyć, choć sił jest coraz mniej. Staram się żyć normalnie, ale obawa o to, że choroba przykuje mnie do łóżka jest paraliżująca. Chyba gorsza od bólu jest świadomość, że stajemy się obciążeniem dla bliskich, że już nic im z siebie nie damy. To lęk, który towarzyszy każdej z nas – dodaje, nie kryjąc łez, Krystyna Arciszewska z białostockiego stowarzyszenia amazonek. Mama, babcia, koleżanka.

O NICH TRZEBA MÓWIĆ

O kobietach takich jak pani Krystyna za wiele się w Polsce nie mówi. Rak piersi kojarzony jest przede wszystkim z uwrażliwianiem na profilaktykę, rozmaitymi akcjami zachęcającymi do badań. Wykrycie nowotworu we wczesnej fazie pozwala go wyleczyć. Najczęstszym typem nowotworu piersi jest hormonozależny, HER2-ujemny rak piersi, który dotyczy 70 proc. przypadków. Zaawansowany nowotwór może się rozwinąć u 30–40 proc. z ok. 17 tys. Polek, jakie co roku słyszą dramatyczną diagnozę. Tutaj terapia polega na maksymalnym wydłużeniu życia pacjentki. Ale także sprawieniu, by to życie miało sens, powab, smak.

Kobiety dotknięte najcięższymi postaciami raka, zmagające się z nawrotem choroby, wspierają się wzajemnie, działają w stowarzyszeniach, uczestniczą w rozmaitych akcjach pomocowych i edukacyjnych. Jedną z nich jest kampania „Wykorzystaj czas na życie", która uzyskała honorowy patronat pierwszej damy Agaty Kornhauser-Dudy.

– Chcemy pokazać, że kobiety te mogą żyć aktywnie, pracować, realizować swoje pasje. Chcemy edukować społeczeństwo, jak wspierać kobiety z zaawansowanym rakiem piersi, jak rozmawiać na ten temat, jak budzić empatię – mówią autorki kampanii. „Nie pozwalam, żeby choroba wpłynęła na wykonywanie moich obowiązków, prowadzę dom"; „Swoje

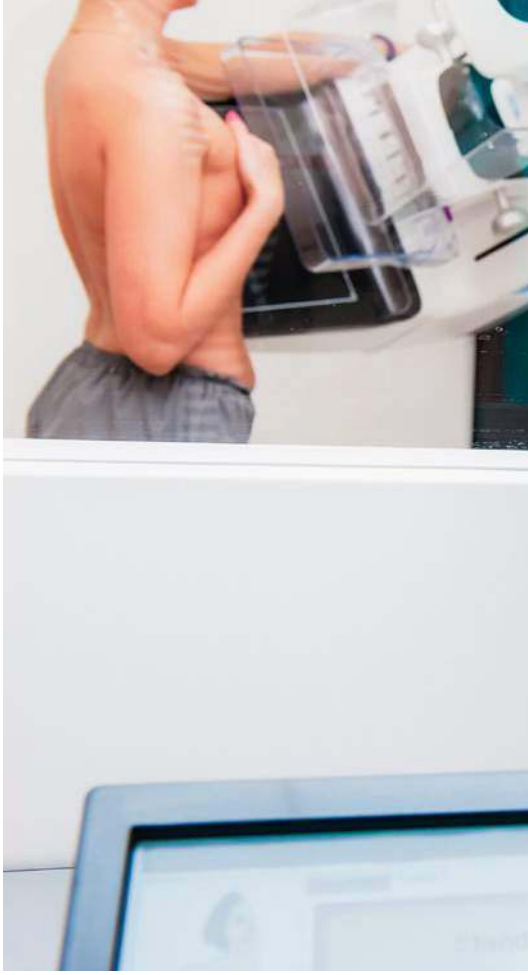

życie zawierzyłam Bogu, dzięki niemu odzyskałam wewnętrzny spokój", „Jestem szczęśliwą matką i żoną" – mówią Polki, których historie można poznać dzięki tym działaniom.

– Swoją odwagą i siłą dają nam panie piękną lekcję życia i tego, jak bardzo trzeba je cenić, jak bardzo trzeba być w życiu uważnym i nauczyć się cieszyć codziennością, obecnością przy nas drugiego człowieka. Powinniśmy czerpać przykład z postawy pań, bo właśnie to panie najlepiej wiedzą, że warto walczyć o każdy dzień i w pełni wykorzystać swoje życie – mówiła pierwsza dama do bohaterek przygotowanego w ramach kampanii filmu, przedstawiającego historie kobiet zmagających się z zaawansowanym rakiem piersi.

To było dwa lata temu. Jedna z pań, które opowiadały reżyserce o swoich pasjach, marzeniach i planach, zmarła. Wykorzystała czas na życie w pełni – ale miała go za mało.

BEZ ZIELONEGO ŚWIATŁA

„Nie ma zielonego światła dla refundacji palbocyklibu, nowego leku dla kobiet z zaawansowanym rakiem piersi. Przy-

eprasa.pl 33acfb3920

najmniej na razie. Negatywną wydała Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Powodem są pieniądze" – pisaliśmy w listopadzie 2017 r. na portalu wPolityce.pl.

Dziś w Polsce dostęp do innowacyjnych terapii mają kobiety z gorzej rokującym typem rozsianego nowotworu HER2-dodatnim. Inaczej jest w przypadku kobiet z hormonozależnym, HER2-ujemnym nowotworem. Pacjentki z tej grupy od wielu lat nie miały szansy na dostęp do nowoczesnych i skutecznych terapii. Obecnie szansą dla chorych jest nowa klasa leków przeciwnowotworowych, które działają poprzez hamowanie kinaz cyklinozależnych 4 i 6. Jeden z tych leków, palbocyklib, jest pierwszą tego typu terapią zarejestrowaną w tym wskazaniu od 10 lat. Palbocyklib jest refundowany w zdecydowanej większości państw UE, w tym w krajach takich jak Rumunia, Słowacja czy Chorwacja, o których nie sposób przecież powiedzieć, że grają w innej finansowej lidze niż Polska. Dlaczego więc w Polsce pacjentki muszą płacić za terapię z własnej kieszeni? Stanowisko administracji jest tu jednoznaczne: lek jest za drogi, „wysokie, prognozowane wydatki płatnika" (czyli państwa) uniemożliwiają podjęcie decyzji o refundacji.

Polskie kobiety coraz głośniej proszą, by nieubłagana postawa ekspertów od farmakoekonomiki nie przesłaniała ich apetytu na życie.

– Od trzech lat jestem pacjentką onkologiczną, po nowotworze piersi. Założyłam w mediach społecznościowych grupę dla kobiet, które zmagają się z tym samym problemem. Jest sporo pań, które walczą z rozsianym nowotworem piersi – mówi nam Małgorzata Zawadzka, autorka petycji do ministra zdrowia i sejmowej komisji zdrowia, w której prosi o refundację nowej terapii.

Zawadzka wraz z innymi chorymi organizuje zbiórkę na zakup palbocyklibu dla jednej z pacjentek. Wplotła ten wątek do opublikowanej w internecie petycji, bo uważa, że trzeba mówić o konkretnych przypadkach. O konkretnych życiach i konkretnych śmierciach.

„Jako grupa wzajemnie wspierających się amazonek, staramy się pomóc Ewie chociaż minimalnymi wpłatami, ale to wciąż jest kropla w morzu potrzeb. Ewa jest pierwszą pacjentką, która otrzymuje jedno opakowanie leku za złotówkę, przy zakupie trzech opakowań (koszt prawie 100 tys. zł rocznie!). A takich pacjentek przybywa i będzie przybywało. Jak chcecie im panowie wyjaśnić, że nie ma już dla nich szansy? Skąd mają brać tak ogromne sumy na zakup leku?" – czytamy w petycji.

PIENIĄDZE, PIENIĄDZE, PIENIĄDZE

Niemal wyłącznie wokół nich krążą myśli pacjentek, które dostrzegły w nowej terapii nową nadzieję.

– Nadzieja jest w terapii onkologicznej najważniejsza. Bez nadziei nie ma walki. Moja pani doktor powiedziała mi, że szansą na przedłużenie życia, na to, żeby było one godne, jest palbocyklib. I że ona może wypisać mi ten lek, ale miesięczna dawka kosztuje ok. 10 tys. zł. Nie mam tyle. Część pieniędzy pewnie bym zebrała po rodzinie, bliskich. Ale to byłaby żebranina. A przecież chodzi o godność – mówi Krystyna Arciszewska.

– Dzięki tej terapii osoby chore mogą godnie funkcjonować – chodzić do pracy, wychowywać dzieci cieszyć się życiem. Ja, dzięki Bogu, nie jestem dotknięta wznową, ale wiem, że w każdej chwili mogę znów zachorować. I że w takim przypadku nie będzie mnie stać na terapię – dodaje Eulalia Rutkowska.

– Nowe terapie dają czas. To bezcenny czas, w którym można normalnie funkcjonować. Chora kobieta pracuje, wychowuje dzieci czy wnuki, nie łysieje, nie ma wymiotów – przekonuje dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld z kliniki Nowotworów Piersi i Chirurgii Rekonstrukcyjnej Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. – Mówimy też o przywracaniu nadziei. Bo być może za kilka lat powstanie jeszcze lepszy lek, który da pacjentkom jeszcze więcej czasu i komfortu. Spójrzmy na to, jak wiele zmieniło się w leczeniu nowotworów w ostatnich 25 latach.

Odnosząc się do kosztów terapii, dr Jagiełło-Gruszfeld wskazuje na konieczność spojrzenia na nie z szerszej perspektywy. – Ten wydatek po czasie się po prostu „zwraca" w kontekście budżetu państwa czy gospodarki. Pacjentka leczona chemioterapią

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 33acfb3920

nie może normalnie funkcjonować, idzie na zwolnienie lekarskie lub rentę. Wymaga pomocy ze strony rodziny, bliskich, przyjaciół. Zabrzmi to oczywiście brutalnie, ale nie dość, że taka osoba jest na utrzymaniu całego społeczeństwa, pobierając świadczenie z ZUS, to jeszcze często wyklucza z aktywnego życia członka jej rodziny, który musi się po prostu zająć żoną czy mamą. Cała onkologia związana z leczeniem przerzutowego raka piersi zmierza właśnie w tym kierunku – żeby maksymalnie zmniejszyć toksyczność tego leczenia. Żeby to leczenie przedłużało życie, ale jednocześnie nie było okupione dużymi powikłaniami. Chcemy przedłużać życie, ale jednocześnie eliminować powikłania i umożliwiać chorym normalne, produktywne funkcjonowanie w społeczeństwie.

Lekarka uważa, że administracja powinna podjąć decyzję o refundacji palbocyklibu. – Polska osiąga gospodarcze sukcesy, stać nas na finansowanie terapii, które państwa będące daleko za nami wdrożyły już jakiś czas temu – podkreśla.

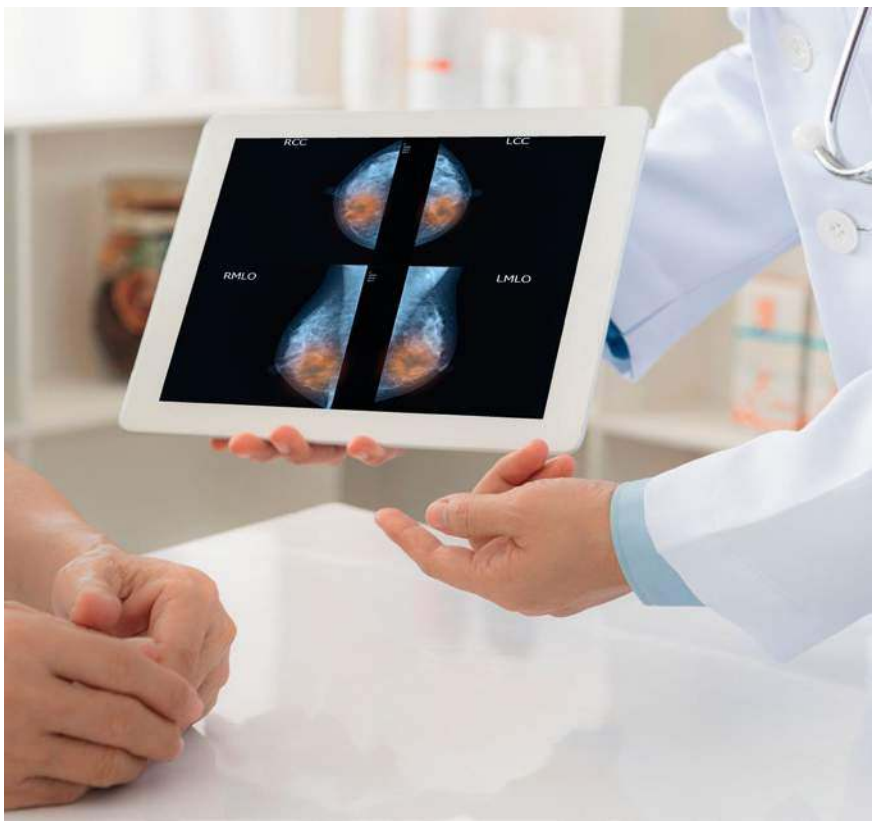

Fot. Shutterstock

POSZUKIWANIE SZANSY

W walce o refundację kobiety zmagające się z rakiem szukają wsparcia wszędzie tam, gdzie się da. Bardzo wierzą, że pomogą im politycy, dlatego szukają kontaktu, dzwonią, przekonują.

– Rozmawiałam w tej sprawie z posłem Jackiem Żalkiem, wiem także, że interesowała się nią pani poseł Anna Sobecka – mówi Eulalia Rutkowska.

Rzeczywiście Anna Sobecka złożyła interpelację w sprawie refundacji palbocyklibu. W odpowiedzi otrzymała informację dotyczącą szczegółów procedury refundacyjnej, która jest zawiła, wieloetapowa i długotrwała.

– Zapewniam, że pacjentki chore na raka piersi mogą liczyć na moje wsparcie. Staram się pomagać każdemu, kto się do mnie zgłasza, jeżeli tylko mam taką możliwość. Tak rozumiem misję posła. Oczywiście, że dalej będę walczyła o pacjentki i o refundację – mówi nam pani poseł.

> – Nadzieja jest w terapii onkologicznej najważniejsza. Bez nadziei nie ma walki. Moja pani doktor powiedziała mi, że szansą na przedłużenie życia, na to, żeby było one godne, jest palbocyklib – mówi Krystyna Arciszewska z białostockiego stowarzyszenia amazonek

Anna Sobecka wierzy w dobrą wolę Ministerstwa Zdrowia. – Ministerstwo rozumie, że tego typu lekarstwa powinny być dostępne dla chorych pacjentów. A niestety w przypadku takich cen rynkowych, bez refundacji jest to niemożliwe. Mówimy przecież o wyjątkowych przypadkach, o kobietach ciężko chorych. Zresztą to nie tylko kwestia raka piersi. Tak zwana chemia nowoczesnej generacji jest potrzebna również w przypadku chorych na szpiczaka mnogiego, choroby nerek i wielu innych. My musimy odwrócić dramatyczną tendencję. Może zabrzmi to kolokwialnie, ale mówiąc językiem ekonomii: „podnieść statystyki", bo te są bardzo złe. W Polsce co roku na nowotwory umiera ok. 100 tys. osób. To są statystyki dramatyczne i dla naszej ojczyzny bardzo wstydliwe – podkreśla Sobecka.

Na petycję opublikowaną przez Małgorzatę Zawadzką Ministerstwo Zdrowia nie odpowiedziało. Zapytaliśmy, czy odpowie, ale nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Czy jest nadzieja na refundację nowej terapii? Tu też nie ma konkretnego, zrozumiałego dla pacjentek stanowiska. Sylwia Wędrzyk, dyrektor biura komunikacji resortu, przysłała nam tylko wykaz wniosków refundacyjnych, jakie są obecnie procedowane, wśród których są te o objęcie refundacją palbocyklibu. Szkoda, bardzo szkoda.

4/0319/F | 68/0519/F

eprasa.pl 33acfb3920

Port Gdynia – dynamiczny rozwój przy wsparciu środków unijnych

Rok 2018 przeszedł do historii jako czas rekordowych przeładunków w Porcie Gdynia, gdyż po raz pierwszy uzyskano 23,5 mln ton. Hossa w gdyńskim porcie trwa, odnotowując w pierwszym kwartale br. 14-procentowy wzrost w porównaniu 2018 r., co powoduje, że Port Gdynia jest obecnie jednym z liderów wśród portów rejonu Morza Bałtyckiego

Bardzo dobre wyniki przeładunkowe, jakie osiągnęliśmy w pierwszym kwartale tego roku, najlepiej świadczą o tym, że Port Gdynia to solidna marka, znana z wysokiej jakości i wydajności – podkreśla Adam Meller, prezes Zarządu Morskiego Portu Gdynia SA. – To duży sukces, pokazujący efektywność rozwoju naszego portu i zarazem potwierdzenie dobrego stanu polskiej gospodarki.

Skuteczne wykorzystanie zarówno własnych środków finansowych, jak i tych pozyskanych z funduszy unijnych sprawia, że Port Gdynia rozwija się intensywnie. Portowe przedsięwzięcia wspierają konsekwentnie pozyskiwane środki z Funduszu Spójności w ramach Programu Operacyjnego „Infrastruktura i środowisko". Realizując jedną z kluczowych inwestycji – Publiczny Terminal Promowy, już za dwa lata możliwa będzie obsługa dużych promów długości do ok. 240 m, a także zwiększenie częstotliwości ich zawijania, na linii autostrady morskiej Polska–Szwecja.

Nowa lokalizacja terminalu – przy Basenie im. Marszałka Piłsudskiego – zapewni połączenie z najważniejszymi lokalnymi i krajowymi drogami stanowiącymi istotny element transportowego korytarza międzynarodowej wymiany handlowej.

– Na nowym terminalu skorzysta zarówno port, jak i miasto Gdynia. Większa liczba promów, a co za tym idzie pasażerów to przede wszystkim rozwój lokalnej turystyki i branż pokrewnych. Możliwości, które stwarza realizowana przez nas inwestycja, wiążą się w sposób bezpośredni ze zwiększonymi dochodami dla nas jako spółki oraz dla budżetu państwa. Chcemy nadal rozwijać ideę autostrady morskiej Polska–Skandynawia w ramach korytarza TEN-T – komentuje Grzegorz Dyrmo, wiceprezes ZMPG SA.

– Wzrost popytu na przewozy promowe wymusił konieczność znalezienia odpowiedniej lokalizacji dla terminalu promowego. Jest to strategiczna inwestycja dla dalszej intensyfikacji ruchu na Autostradzie Morskiej Gdynia–Karlskrona, z której korzysta rokrocznie ponad pół miliona pasażerów – mówi Grzegorz Dyrmo, wiceprezes ZMPG SA.

Kolejna inwestycja, która uzyskała dofinansowanie unijne w kwocie 273 mln zł, to pogłębienie toru podejściowego i akwenów wewnętrznych Portu Gdynia oraz przebudowy nabrzeży w Porcie Gdynia. Inwestycja ma służyć zwiększeniu konkurencyjności w przyjmowaniu

jednostek długości do 400 m i zanurzeniu do 15,5 m – przy nabrzeżach terminali w basenie kontenerowym zacumują kontenerowce o pojemności 14 tys. TEU. Stworzy to nowe możliwości dla Poru Gdynia na przyjmowanie jednostek z Dalekiego Wschodu.

Inwestycja „Port Zewnętrzny Gdynia" jest realizowana w koncepcji „green port" w obszarze zarówno morskim, jak i lądowym. Prowadzony przez specjalistów z Uniwersytetu Gdańskiego wodny monitoring przyrodniczy procedowany był zgodnie z przyjętym harmonogramem prac i jest w ostatniej fazie realizacji. Kolejnym krokiem zbliżającym Port Gdynia do strategicznej inwestycji – Port Zewnętrzny – jest podpisana przez ZMPG SA umowa w zakresie badań lądowych na przeprowadzenie inwentaryzacji przyrodniczej na terenach przeznaczonych pod realizację układu drogowo-kolejowego do Portu Zewnętrznego.

ZMPG SA stara się również o dotacje w innych projektach równie istotnych z punktu widzenia dalszego rozwoju Portu Gdynia. Łączna wartość projektów, o których dofinansowanie ubiega się ZMPG SA, to 252 mln zł. Obecnie Port Gdynia realizuje przedsięwzięcia inwestycyjne o wartości 691 mln zł.

eprasa.pl 33acfb3920

Dzikość krowiego serca

Całkiem niedawno się okazało, że w Polsce, kraju gęsto zaludnionym i – wydawałoby się – dobrze poznanym, można się zetknąć z widokami niczym z afrykańskich sawann

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Od lat na łąkach wokół lubuskiego Deszczna żyje liczne stado wielkich trawożerców, największe dzikie stado w Polsce, a może i Europie. Nie są to żubry ani jelenie, lecz krowy. Zjawisko wyjątkowe i fascynujące pod wieloma względami. Kulturowym – bo dziko lub półdziko żyjące stada (mające jednak przecież gdzieś na horyzoncie swoich pasterzy) kojarzą się z afrykańską sawanną lub mongolskim stepem. Prawnym – bo w kraju Unii Europejskiej ma się 14 dni na zarejestrowanie zakupionej papużki, gdzie chipuje i spisuje się psy oraz kontroluje każdą godzinę pracy dorożkarskiego konia (z dokładnym opisem warunków atmosferycznych), niemal 200 zwierzętom gospodarskim przez lata udało się wymykać systemowi.

Zjawisko interesujące również w sensie przyrodniczym, jako powiew bardzo dawnych wieków, bydło bowiem pochodzi w prostej linii od turów, niegdyś stadami właśnie zamieszkujących nasze ziemie. Chociaż więc lata spędzone na wolności nie sprawiły, że krowy stały się turami, różne aspekty tego przyrodniczego eksperymentu, polegające na pozostawieniu zwierząt gospodarskich w warunkach życia ich przodków, są bardzo intrygujące.

Historia ta pokazuje, że są tematy ponad podziałami, które potrafią nas zjednoczyć. W obronie krów, które jeszcze niedawno miały zostać zabite, stanęły zarówno kojarzone z lewicowością organizacje „zielonych", jak również prezydent Andrzej Duda oraz Jarosław Kaczyński.

Pokazuje w końcu, że da się porzucić utarte administracyjne rozwiązania na rzecz nieszablonowych, choć również zgodnych z prawem lepszych pomysłów, szkoda jedynie, że dopiero po wpływowych interwencjach.

JAK DO TEGO DOSZŁO?

Okazało się, że krowy mają właścicieli, nie są więc bezpańskie. Tu pojawia się pierwszy paradoks sprawy, która pomimo że zaczynała się jak setki innych historii, w których właściciel nie zajmuje się swoimi zwierzętami, potoczyła się innym, niestandardowym torem.

Za zwierzęta gospodarskie i domowe, za wyrządzone przez nie szkody, ale także za warunki, w jakich są przetrzymywane, odpowiada właściciel. Jeżeli nie wywiązuje się ze swoich obowiązków, nie wykonuje odpowiednich badań (jak w opisywanym przypadku), głodzi zwierzęta, nie zapewnia im odpowiednich warunków, dopuszcza, że zwierzęta stwarzają zagrożenie itp., wówczas powinna wkroczyć gmina, która może decyzją administracyjną odebrać zwierzęta właścicielowi. Psy czy koty przekazuje się do schroniska i stara o ich adopcję, krowy, konie, owce itp. z reguły do gospodarstw, z którymi gmina zawarła umowę na przetrzymywanie takich zwierząt. Jeżeli więc w Deszcznie zadziałałyby stosowne procedury, w momencie gdy właściciele przestali się zajmować stadem, sytuacja nigdy by nie zaistniała.

W tym przypadku zarówno właściciele, jak i gmina postąpili – powiedzmy – niefrasobliwie, na skutek czego liczebność dzikiego stada rosła, aż nie dało się już dłużej nie zauważać jego istnienia.

DLACZEGO NIE?

Pozostawienie krów samopas, tak jak żyły dotychczas, nie bardzo wchodzi w rachubę. Tak jak nie dopuszczamy z oczywistych względów do powstawania sfor zdziczałych, bezpańskich psów, tak nie powinniśmy pozwalać na niekontrolowane funkcjonowanie stada krów – stada, a właściwie stad, w przyszłości bowiem byłoby to już nie jedno stado, lecz kilka stad.

Wchodzą tu w grę kwestie sanitarno-epidemiologiczne, czyli możliwość przenoszenia chorób na inne krowy ze stad hodowlanych. Ofiarą mogłyby paść nie tylko krowy. Prędzej czy później doszłoby do zarażenia żubrów. Jedną z przyczyn zagłady turów były przypuszczalnie kontakty z zarażonym bydłem.

eprasa.pl 33acfb3920

Krowy od lat wypasane na łąkach w Parku Narodowym Ujścia Warty

Fot. Archiwum autora

Byłoby to niewłaściwe również z przyrodniczego punktu widzenia. Krowy nie są elementem naszego dzikiego ekosystemu, a manipulowanie przy przyrodzie poprzez wprowadzanie elementów obcych zbyt często kończy się źle. Popatrzmy chociażby na Australię spustoszoną przez wypuszczone wielbłądy i króliki lub na wyspy pacyficzne, których rodzima fauna została pożarta przez świnie, koty i szczury.

Pozostaje także kwestia odpowiedzialności prawnej np. za wypadki w ruchu drogowym lub szkody w uprawach rolnych. Kto za nie zapłaci? Kto zajmie się np. agresywnym bykiem, ewentualnie bykami? Teoretycznie właściciele, wszystko wskazuje jednak, że byłaby to tylko teoria. Za utrzymanie porządku w swoich granicach odpowiedzialna jest gmina – jednak nie powinno się to odbywać na zasadzie czekania i późniejszego pokrywania kosztów szkód lub odpowiedzialności za możliwe poważne wypadki, lecz na wyprzedzającym zapobieganiu. Czyli coś zrobić trzeba już teraz. Co?

KROWIE PRZYPADKI

Wybicie stada z Deszczna to brutalne, lecz wcale nie jedyne rozwiązanie. Czy da się zrealizować propozycję umieszczenia krów w gospodarstwie ekologicznym, gdzie zajęłyby się przyjaznym przyrodzie wypasaniem łąk?

Przeznaczenie krów do działań proprzyrodniczych nie byłoby nowością. Od wielu już lat krowy oraz konie „pracują" nad utrzymaniem cennych łąkowych terenów w Parku Narodowym Ujścia Warty, są to jednak niepozbawione kontroli zwierzęta gospodarskie, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Łąk takich, niezarastających, przystrzyganych przez roślinożerców, potrzebują liczne gatunki ptaków, a wypasanie jest najlepszą z możliwych metod zapewnienia, by kolejne pokolenia kulików, rycyków, czajek i batalionów miały gdzie zakładać gniazda. Ochrona przed zarastaniem służy również błotniakom i orlikom, potrzebującym łąk jako terenów łowieckich. Obecność krów jest ważna także dla dudków, bowiem w odchodach krów korzystających z naturalnej, nieprzesyconej antybiotykami paszy rozwijają się larwy owadów, którymi żywią się te osobliwe ptaki. Obecność krów w nadwarciańskim krajobrazie podnosi jego atrakcyjność, a jeżeli któraś z krów padnie na niedostępnych bagnach – cóż, staje się pokarmem bielików.

Fenomenem są także krowy biebrzańskie. Gdy tylko miną majowe przymrozki, wędrują na pastwiska, które niejednokrotnie znajdują się po drugiej stronie rzeki. By się tam dostać, przepływają rozlewiska, aby do woli korzystać z uroków mokradeł. Trudno wyobrazić sobie właściwszy, bliższy natury sposób utrzymywania krów, ale i bioróżnorodnych łąk. Biebrzańskie krowy, choć na poły dzikie, są przebadane, zakolczykowane, dojone itp.

Ewentualny nowy właściciel krów z Deszczna przed podjęciem decyzji powinien zdać sobie sprawę z kilku kwestii, aby nie stworzyć nowych problemów.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ I ŚWIADOMOŚĆ

Nasza obecność w świecie, zarówno jako jednostek, jak i całej cywilizacji, odciska wielkie piętno na świecie przyrody. Nawet jeżeli nie zabijamy zwierząt własnoręcznie, nawet jeśli jesteśmy wegetarianami, to przy okazji wytwarzania różnych dóbr, korzystania z energii, którą trzeba było wytworzyć, podczas zużywania wody, podróżowania, codziennego przemieszczania się – musimy mieć świadomość, że zaspokojenie naszych potrzeb wiąże się ze śmiercią wielkiej liczby stworzeń: rozjechanych jeży, ptaków i ssaków potrąconych przez auta lub schwytanych przez nasze koty, zatrutych ściekami ryb, płazów, które zginęły, kiedy osuszano teren pod nasze domy, derkaczy pozbawionych siedlisk, pochłoniętych przez rozrastające się miasta.

Musimy zdawać sobie z tego sprawę, żeby uniknąć hipokryzji i nie łudzić się, że uratowaniem jednego stada zmienimy świat. Faktycznie jednak pozwolenie stadu na dalsze życie jest wyjściem, które również do mnie trafia najbardziej. Historia tych krów, którym zrządzeniem losu udało się wymknąć systemowi, nie powinna zakończyć się inaczej niż znalezieniem im miejsca, gdzie mogłyby żyć dalej w swoim stadzie.

Żeby być konsekwentnym, należy jednak od razu odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Co będzie z kolejnymi cielętami, które będą przychodzić na świat? Czy stado będzie mogło powiększać się bez ograniczeń? Jeżeli nie, to czy będzie zgoda na sterylizację zwierząt lub ich zabijanie? Kto będzie pokrywał koszty opieki weterynaryjnej, wyżywienia, terenu itp. – nie jednorazowo, lecz regularnie? Jaki stopień wolności da się uratowanym krowom i czy na końcu nie znajdą się w sytuacji zwykłych zwierząt gospodarskich, którego to losu chce się im oszczędzić?

Kluczowym słowem jest tu więc odpowiedzialność i świadome, przemyślane działanie.

eprasa.pl 33acfb3920

MONIKA BRODKA PIOSENKARKA

Co wymąci Monia Monci

W kuchni jak w muzyce: wyraża siebie, poszukuje, odkrywa i dzieli się wrażeniami. Monika Brodka, której nikt nie pomyli z inną wokalistką, także kulinarnie stawia na własny styl. Nawet jeśli czerpie inspiracje od innych.

Jako Monia Mąci (na instagramowym profilu moniamonci) przedstawia się fanom od kuchni. Dosłownie i w przenośni.

Potrafi rozbroić kulinarną pomysłowością. W myśl przysłowia – potrzeba jest matką wynalazków – na własną miarę i potrzeby włącza się m.in. w proekologiczny trend Zero waste, tworząc od czasu do czasu przepisy wykorzystujące kreatywne resztki.

Sięga do nich zwłaszcza po dłuższych pobytach w trasie, gdy lodówka nie ma zbyt wiele do zaoferowania. W takiej sytuacji może powstać danie, które stało się swoistą wizytówką resztkowej kreatywności Brodki.

Z dwóch suchych kolb kukurydzy wydobyła ziarna, a z reszty wycisnęła sok. Do podsmażonej na patelni czerwonej cebuli dodała kukurydzę. Przygotowała sos carbonara bez śmietany, za to z jajkiem, parmezanem i skórką z cytryny oraz dodatkiem oliwy, pieprzu i soli. Połączyła go z sokiem z kukurydzy i podsmażonymi nasionami z cebulą. Na koniec sos wymieszała z makaronem orecchiette.

Resztkowym pomysłem jest też pasta z tego, co pozostało z upieczonej bulwy selera, czyli niewielkiej ilości miąższu i zmiksowanej selerowej skóry, połączonych z dwoma łyżkami oliwy z truflą, odrobiną mleka migdałowego (żeby konsystencja była bardziej kremowa) i doprawionych solą i czarnym pieprzem.

Pod otwierającym profil nagłówkiem: „Co dziś wymąci? Na kulinarnym zakręcie i wiecznym eksperymencie. Monia Mąci, czyli Brodka od kuchni", pojawiają się filmiki oraz wpisy relacjonujące smakowe odkrycia związane z podróżami i spotkaniami.

Wpisy są ekspresyjne, jak ten wrzucony już jakiś czas temu: „Chluba tego tygodnia! Moje pierwsze w życiu ravioli okazało sie sukcesem. [...] Cienkie jak pergamin ciasto z kremowym nadzieniem z pieczonej dyni i koziego sera, oblane masłem szałwiowym z dodatkiem pokruszonych pistacji. Obłędne!". Albo: „Właśnie wyczarowałam to danie!!! Nie robiłam relacji, przepraszam, ale nie wierzyłam do końca w sukces. Wyszło wspaniale. Sable fish (czarny dorsz) z jajecznym ramenem w bulionie miso z cynamonem, pieczonym fenkulem i chrupiącym wakame. Duma!!!".

Ulubiona sałatka: „Jest pyszna i superprosta w przygotowaniu. Czerwone pomarańcze, zielone oliwki, czerwona cebula, mięta i feta, oliwa. Bardzo przyjemne odświeżenie!".

Pasja do gotowania towarzyszy Brodce od dawna. Podzieliła się nią już na płycie „Granda" wydanej w 2010 r. Znalazła się tam piosenka: „W pięciu smakach" z takim autorskim fragmentem: „W pięciu smakach kaczka tapla się/Mija soję, tofu, ryż/Uduszona latająca ryba/Ćwiczy w piwie skoki wzwyż..."

W nowszych wejściach pojawiło się wspomnienie ulubionego ciasta z morelami i tymiankiem oraz sprawdzony przepis na tartę. Owoce mogą być dowolne, choć tu pysznią się gruszki.

Jolanta Gajda-Zadworna

Tarta z gruszkami od babci

Składniki: Ciasto: 230 g mąki tortowej, 3 łyżki cukru, 1 łyżeczka cukru wanilinowego, szczypta soli, 140 g schłodzonego masła, 1 jajko. Nadzienie: 4–5 gruszek, 1 łyżka jasnego brązowego cukru, 1 łyżeczka cynamonu, 1 łyżka mąki. Dodatkowo: cukier puder do posypania.

Wykonanie ciasta: Wymieszać suche składniki. Połączyć z posiekanym masłem i rozcierać palcami, aż powstanie kruszonka. Dodać jajko i szybko zagnieść ciasto. Wstawić je na 30 min do lodówki. Piekarnik nastawić na 180 stopni C, funkcja góra–dół.

Nadzienie: Gruszki obrać, usunąć gniazda nasienne i pokroić na kawałki. Dodać łyżkę cukru, cynamon i łyżkę mąki. Wymieszać. Ciasto rozwałkować na okrąg o średnicy 35 cm. Na środku zaznaczyć okrąg o średnicy 26 cm. Przełożyć na blachę wyłożoną papierem do pieczenia. Gruszki poukładać w zaznaczonym okręgu, brzegi złożyć do środka. Ciasto wstawić do piekarnika nastawionego na 180 stopni C. Piec 45–50 min, aż się ładnie przyrumieni. Przed podaniem posypać cukrem pudrem.

Fot. AKPA

eprasa.pl 33acfb3920

SŁODKO-SŁONY

Liściaste żniwa

ANNA MONICKA

Każda wizyta w gospodarstwie państwa Majlertów (warszawskich rolników) na Żeraniu utwierdza mnie w przekonaniu, że jest całkiem spora grupa ludzi, którzy cenią porządne warzywa i nie zadowolą się wymęczoną i z lekka podwiędniętą zieleniną z hipermarketów. Jednak świeżo zebrane z pola smakuje inaczej. Ubawiła mnie kolejka po szparagi przed Wielkanocą – w piątek o 9 rano nie było już ani jednego, a ludzie domagali się stworzenia listy kolejkowej, bo nikt nie chciał w Wielką Sobotę z rana odejść z kwitkiem spod sklepiku. Chcąc nie chcąc, zameldowałam się w piękny słoneczny dzień skoro świt, o 7. Z jaką frajdą wybierałam chrupkie, zimne łodygi. I w jakim miłym towarzystwie.

Staram się robić tam zakupy w każdą sobotę. Teraz zaczęły się żniwa liściaste. Sałat kilka rodzajów – endywie, radicchio, rzymskie, dębowe, różne szpinaki, jarmuże, szarłat, buraczki, rokietta, szczypior czosnkowy, bajkowe kwiaty cukinii. Są nawet młodziutkie liście chryzantem, które podają szefowie kuchni znanych warszawskich restauracji. Wszystko kolorowe, pokarbowane, fantazyjnie pozwijane. Każda główka i listek inaczej smakuje.

Moją uwagę zwróciła ostatnio zupełnie niezwykła cykoria. Jasnozielona, duża i podłużna, przypominająca nieco kapustę, ale o delikatnych, kruchutkich liściach. Nazywa się Zuckerhut, kupuje się ją na wagę (za trzy spore główki zapłaciłam ok. 5 zł, więc cena atrakcyjna) i jest wybitna.

Zwykła cykoria bywa gorzkawa, zwłaszcza źle przechowywana (bielona jest delikatna, ale im dłużej leży na świetle, tym bardziej zielenieje i nabiera ostrego smaku). Ta goryczkę ma niemal niewyczuwalną, ale moim zdaniem jest ona wielką zaletą, bo pasuje do kwaskowatych owoców. Genialnie wygląda i smakuje np. z pokrojonymi w plastry truskawkami czy cząsteczkami orzeźwiających grapefruitów, piórkami delikatnej białej cebuli i kawałkami awokado lub ćwiartkami jajka na twardo. Do tego wystarczy lekki sos winegret albo nawet sam sok z limonki. Można na wierzchu ułożyć jakieś zgrillowane białe mięso – kurzą lub indyczą pierś pokrojoną w paseczki – a wtedy zielona przekąska zamieni się w solidne danie obiadowe, zwłaszcza gdy posypiemy je orzechami lub prażonymi migdałami. Na upały patent wręcz doskonały. Nie zmusza żołądka do wysiłku, a całkiem porządnie syci.

WILCZYM OKIEM

Gdzie zniknęła makolągwa?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Istnieją na świecie tradycje kulinarne zupełnie niewinne, nieodciskające piętna na ekosystemie naszej planety. Są też jednak zwyczaje gastronomiczne wyjątkowo szkodliwe, w dodatku praktykowane na trudną do wyobrażenia skalę. Każdego roku w regionie śródziemnomorskim zabijanych jest ok. 25 mln migrujących ptaków. Większość to maleństwa – jeden ptaszek dostarcza kilku gramów mięsa. Przy bardzo małym „zysku" wyrządza się wielką szkodę przyrodzie.

Ptaki, którym udało się pokonać setki, tysiące kilometrów, wymknąć drapieżnikom, przetrwać wichury i mrozy, przelecieć nad górami i pustyniami, nie wracają już, żeby założyć jak co roku gniazdo w gęstym krzewie w naszym ogrodzie, kończą bowiem schwytane w sieci, potrzask, przylepione do gałęzi lub ustrzelone. Nie wszystkie giną od razu; niekiedy jest to śmierć z pragnienia lub powolnego duszenia.

Pułapki zastawia się w miejscach, w których licznie się gromadzą, by zebrać siły przed przekroczeniem morza lub odpocząć po wyczerpującym przelocie. Jako przynętę stosuje się inne osobniki, którym zaburza się zegar biologiczny, by śpiewały jak na lęgowiskach, lub oślepia – wówczas śpiewają cały czas: zięby, skowronki, drozdy, rudziki. Do tego dochodzi regionalna specjalizacja: Grecja przoduje w łowach na turkawki, Albania na szczygły.

Pierwsze miejsce należy do Egiptu: w kraju faraonów rocznie ginie niemal 6 mln ptaków. Zaraz po Egipcjanach są Włosi, zabijający również prawie 6 mln wędrujących ptaków. Włochy to kraj unijny, w którym obowiązują te same zasady ochrony przyrody co u nas. Podobnie jak w Grecji (0,7 mln), Francji (0,5 mln) i Chorwacji (0,5 mln). Wyjątkowo dużo ptaków ginie w Libanie (prawie 4 mln ptaków) i Syrii (2,5 mln). Czarną dziurą jest także słoneczny Cypr (2,5 mln).

Sytuacji nie zmienia to, że niemal w każdym z tych krajów chwytanie i zabijanie wędrujących ptaków jest nielegalne, ponieważ sprzedaż i spożycie są niemal oficjalne. Wszystko to sprawia, że zarówno francuskie pieczone ortolany, jak i tradycyjna cypryjska ambelopoulia z marynowanych pokrzewek są jednym z głównych czynników zmniejszających liczebność gatunków w skali Europy.

Fot. Shutterstock (x2)

eprasa.pl 33acfb3920

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Samorządność, a nie anarchia

www.wojciechreszczynski.pl

Po stronie opozycji decyzja likwidacji unitarnego, jednolitego państwa polskiego została już dawno zaakceptowana

Po ogłoszeniu w Gdańsku przez prezydentów niektórych większych polskich miast 21 tez samorządowych nie ma wątpliwości, że 30. rocznica wyborów z 1989 r., tak hucznie ogłoszona jako „święto wolności i solidarności", była pretekstem do nadania tym antypolskim z gruntu tezom specjalnego charakteru uroczystej formy ich publicznego zalegalizowania. Dobrze więc, że poznaliśmy listę zbuntowanych samorządowców (na czele z zaufaną Donalda Tuska, prowokatorską i pełną tupetu panią prezydent Gdańska Aleksandrą Dulkiewicz) gotowych do jawnego rozłamu państwa polskiego. Poznaliśmy też współautorów tej wizji, jak ją nazwali „Wielkiej Polski Obywatelskiej", czyli planu „decentralizacji" Polski. To dwóch zaciętych lewackich ideologów: Paweł Lisiewicz powiązany z prezydentem Bronisławem Komorowskim, jego były doradca, także z Leszkiem Balcerowiczem i jego Forum Obywatelskiego Rozwoju. Drugi to Maciej Kisilowski z Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego w Budapeszcie. Obaj w strukturach finansowanych przez George'a Sorosa, prawdziwego autora „wizji", nie tylko dla Polski, ale i całej Europy. Zakłada ona, o czym już mówiło się w PO od dwóch lat, likwidację urzędów wojewódzkich, a więc władzy państwa polskiego na terenie województwa. Władzę taką ma pełnić marszałek województwa i jego zarząd. Według planów tzw. decentralizacji państwa przewiduje się ponadto: przekształcenie Senatu w izbę samorządową oraz likwidację kilku centralnych ministerstw: edukacji, nauki, gospodarki, rodziny, rolnictwa i sportu, o czym akurat w Gdańsku nie mówiono, koncentrując się na postulacie decentralizacji służby zdrowia, rozwoju budownictwa, zwiększenia nakładów na edukację itd. Plan przekształcenia Polski w regiony jest nam bowiem specjalnie dawkowany, aby nie wywołać większego szoku, jest jednak niemal pewne, że po stronie opozycji decyzja likwidacji unitarnego, jednolitego państwa polskiego została już dawno zaakceptowana. Zapadła najprawdopodobniej w Berlinie, który kieruje unijnymi instytucjami, i zapewne z pełną satysfakcją została przyjęta przez Moskwę. Teraz, opozycjo, trzeba tylko wygrać jesienne wybory parlamentarne. Taka „decentralizacja" wymaga bowiem uzyskania co najmniej większości parlamentarnej w Sejmie i wpływu na formowanie rządu, który winien zatrzymać te wszystkie „bzdurne pomysły". Tak komisarz UE Elżbieta Bieńkowska określiła projekty budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego i przekopu Mierzei Wiślanej. To bardzo charakterystyczny dla tej polskojęzycznej grupy polityków unijnych sposób myślenia o Polsce i jej cywilizacyjnych zadaniach. Świetnie wykpił to kilka miesięcy temu w Sejmie premier Mateusz Morawiecki: „Po co nam LOT, skoro jest Lufthansa" itd.

Domaganie się przez samorządy większej roli w państwie może się cieszyć zrozumieniem części społeczeństwa niezorientowanego w politycznych meandrach i prawdziwych celach tzw. samorządowców. Któż nie chce większego wpływu na codzienne życiowe sprawy. Wiadomo – wszak koszula bliższa ciału. Większej władzy dla samorządów domagała się Solidarność w 1980 r. Ba, w 1920 r., w swoim wielkim dziele „Polskie logos a ethos" prof. Feliks Koneczny pisał: „Wolność to samorząd". To słuszne, bardzo budujące i oryginalne zdanie jest jednak wyrwane z szerszego kontekstu. Dziś w Gdańsku nie chodzi bowiem o zachowanie zgodnej z polską racją stanu łączności czy spójności spraw społecznych z państwowymi, ale o jak największą emancypację, o coś, co bardziej przypomina dziś europejskie tendencje separatystyczne. Stąd ta pruska warta przy grobie Pawła Adamowicza, nadużywanie terminu „Wolne Miasto Gdańsk" z czasów jego pruskiej, a potem w XX w. nazistowskiej dominacji skierowanej przeciwko Polsce. To negatywny stosunek do starań państwa polskiego, które chce godnego uhonorowania tak szczególnego miejsce w historii świata, jakim jest Westerplatte. Propozycje pomocy, w tym finansowej, samorząd gdański odrzuca jako próbę „zawłaszczenia" tego terytorium. Obecnie doprowadził do zakazu prac archeologicznych na Westerplatte.

Byłem tam niedawno. To wszystko prawda, co pisaliśmy w „Sieci" i w portalu wPolityce.pl. Gdański samorząd przez ostatnie 30 lat nie zrobił niczego dla godnego i nowoczesnego uczczenia tego miejsca i nadal sprzeciwia się idei Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, które w 2017 r. zostały połączone z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Całe szczęście, że wycieczki młodzieży z całej Polski wciąż są tam obecne. To z myślą o nich władza państwowa musi zastopować destrukcyjną politykę gdańskich samorządowców wobec polskich imponderabiliów.

Na realizację hasła większej samorządności musimy poczekać, aż pojawią się ludzie w pełni odpowiedzialni za swoje powinności. Utożsamiający się na równi ze swoim miastem, regionem i ze swoim państwem.

eprasa.pl 33acfb3920

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Zezowate szczęście

Jeżeli polityk mówi ci, że nie jest zezowaty, to zadaj mu pytanie: „Dlaczego gdy się wzruszasz, to łzy ciekną ci po plecach?”. Taką opinię usłyszałem od doświadczonego przedsiębiorcy, który całe swoje życie spędził na bojach z państwem. Walczył tylko o to, aby mógł spokojnie prowadzić swoją firmę i nie był niepokojony przez nasyłane (przez konkurencję) kontrole.

Jesteśmy w momencie, gdy wraca do Polski fala stosunkowo świeżej emigracji z Wysp Brytyjskich. Byli oni jednymi z najważniejszych „sprawców” dobrej koniunktury w polskiej gospodarce. Mało kto bowiem zwracał uwagę na to, jak wielki strumień pieniędzy płynął od nich do rodzin, które pozostały w kraju. Nakręcali koniunkturę i popyt, zasilali nasza gospodarkę w żywą gotówkę. Według najnowszych brytyjskich danych już 100 tys. naszych rodaków wróciło do kraju, będą wracać następni. W dużej mierze jest to spowodowane brexitową atmosferą, jaka panuje w Wielkiej Brytanii. Oni teraz wracają, w większości będą zakładać swoje małe firmy. Teraz wypada tylko chuchać i dmuchać na nie i nie pozwolić, aby wtopiły się w powszedniość. Pojawiła się szansa na to, że byli emigranci przywiozą z sobą nie tylko tęsknotę za ojczyzną, ale także umiejętności i energię, jakie zdobyli na obczyźnie. Ten proces może przynieść wiele dobrych zmian w dziedzinach, które dotąd kulały, były zaniedbane.

Witold Gadowski

Potencjał, który tkwi w polskiej emigracji, ciągle nie jest uwolniony i skierowany na pożytek naszego kraju. Polonusi narzekają, że kraj się nimi nie interesuje, a jeżeli już przejawia jakiekolwiek zainteresowanie, to zwykle są to prośby o datki na rozmaite cele. Chyba już najwyższa pora na to, aby Polonia miała w polskim parlamencie swoich reprezentantów. Być może zadziałałoby to na polska politykę tak, jak przybycie nowych przedsiębiorców, którzy właśnie zakładają w Polsce swoje nowe interesy. Skoro mniejszość niemiecka ma w Polsce nadzwyczajne prawa i posłów, to dlaczego tego prawa pozbawieni są polscy obywatele mieszkający poza granicami naszego kraju? Bo komuś by to wybitnie przeszkadzało?

Wejście Polaków zza granicy w polskie życie gospodarcze i polityczne może spowodować wielkie zmiany. Tylko czy nasi politycy potrafią na to spojrzeć okiem niezakażonym zezowatym własnym szczęściem?

MEN-talne zmiany

Z wielką nadzieją powitałem nominację ministra edukacji narodowej Dariusza Piontkowskiego. Historyk i w dodatku mężczyzna – to dwa istotne atuty nowego szefa MEN. Uważam historię za najważniejszy przedmiot w szkole, wszystko ponoć już było, więc dobra znajomość przeszłości pozwala uniknąć zagrożeń w przyszłości. Sądzę też, że tylko facet może przywrócić do programu nauczania etos męskości (dla chłopaków), a to ma przecież bezpośredni wpływ na bezpieczeństwo kraju w naszym coraz bardziej niespokojnym świecie. Niegdyś szkoła nie tylko uczyła, lecz również wychowywała młodych obywateli na świadomych patriotów.

Dziś mizeria środowiska nauczycielskiego (obnażona podczas strajków inspirowanych przez postkomunistyczny ZNP) przekłada się na niski poziom absolwentów, roszczeniowo nastawionych do „tenkraju”. Powierzchowna wiedza i matriksowy świat internetu (formatujący wyobraźnię młodzieży szkolnej) zupełnie nie nadążają za współczesnymi wyzwaniami. Zapracowani rodzice często sami nie mają wystarczającej wiedzy, by pokierować rozwojem swoich pociech. Kościół – przeżywający aktualnie kryzys – według sondaży przestaje być autorytetem dla najmłodszych. O tym, co w życiu jest ważne, mądre i dobre, mogłaby (i powinna!) przypominać dzieciom szkoła. I ucząc rzeczy przydatnych, wychowywać je na uczciwych i światłych obywateli.

Lech Makowiecki

Tymczasem sfeminizowane MEN zupełnie nie dostrzega problemu. Dopiero po zamachu na szkołę w Brześciu Kujawskim przebąkuje się o wprowadzeniu do programów nauczania szkoleń antyterrorystycznych. O podstawowym szkoleniu wojskowym licealistów (pomimo regularnej wojny na Ukrainie i dżihadu u bram Europy) nikt się nawet nie zająknie! Nie wystarczy powtarzać za kanclerzem Zamoyskim: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Tu trzeba działać. Patriotyzm, strzelanie, znajomość historii i zmian zachodzących w świecie są dziś równie ważne jak matematyka, angielski czy informatyka.

eprasa.pl 33acfb3920

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Alternatywna rzeczywistość, alternatywny teatr

Aleksander Nalaskowski

Spełniło się wreszcie marzenie Krzysztofa Mieszkowskiego, aby zamiast na broń i gospodarkę, pieniądze wydawać na kulturę. Ale tę, którą on osobiście uważa. Onże Mieszkowski kiedyś w dyskusji z Cejrowskim posłużył się tu jako przykładem tomem poezji Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Zapomniał, a może nie wiedział, biedak, że poeta zginął jako żołnierz i uczestnik podziemia w powstaniu warszawskim. Zginął z karabinem w ręce, a nie z piórem, jak by tego chciał zapewne Mieszkowski Krzysztof.

Ale oto marzenia posła się ziściły! Pani Dulkiewicz & Co. zorganizowała w Gdańsku festiwal teatru alternatywnego, a nawet rzeczywistość uczyniła alternatywną. Prosto spod waginy na patyku pobiegła do kościoła zapalać paschał. Wprzódy jednak wydając okrzyk przeciągły: „Gdańsk miastem wolności i Solidarności". Ale w następnych aktach tej sztuki okazało się, że chodzi o Wolne Miasto (oryg. Freie Stadt Danzig) i o solidarność z Bolkiem. Ton przedstawieniu nadawali niegdysiejsi gwiazdorzy tego teatru. Komorowski, który mówił o sobie jako antyreżimowym radykale, Kwaśniewski, który wszak większość aktywnego życia był po stronie sowieckiego hegemona, i Wałęsa, król wszelkiej wolności i nieskrępowania. W rolę Stańczyka króla Europy i króla komunistów wcielił się osobiście, ale głupio Frasyniuk Władysław. Ta fraternizacja z Kwaśniewskim to szczególna odmiana syndromu sztokholmskiego?

Och, jak żałowano, że nie przybyli prezydent i premier. A niby po co mieli przybyć? Aby usłyszeć inwektywy ze strony Bolka albo faceta, który z nim sromotnie przegrał czy przechrzczonego komunisty albo pajaca z Wrocławia? Mieli dobrowolnie dać opluwać majestat urzędów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej?

Cały spektakl był najzabawniejszym i najbardziej kulturalnym seansem frustracji, jaki kiedykolwiek widziałem. Był też pokazem bezsilności i braku klasy. Jakkolwiek było to przedstawienie zaangażowane. W istocie można było wyczuć, gdzieś w nieodległym tle, intencję oderwania Gdańska, potem może Śląska, potem pewnie Szczecina od Macierzy. Jeśli ktoś myślał, że jest taka podłość, po którą się opozycja nie schyli w walce o władzę, to właśnie zobaczył, że nie ma takiej podłości. Radzę rządzącym, aby się dobrze temu przyjrzeli i szybko zareagowali. Tu już nie ma miejsca ani czasu na polityczną poprawność, na wolność (każdego?) słowa. Ten projekt to czytelna i jasno deklarowana zdrada stanu. Ta obłąkana sadurszczyzna jest niebezpieczna. Jednak wątpię, aby suweren potraktował to serio. Idea jest tak chora, że aż „trzaskowska".

Tam, w Gdańsku, wszystko mi zgrzytało. Janda była jak Podleśna, „Oda do radości" brzmiała po niemiecku, a hymn Polski został upokorzony tym, co go poprzedzało. Wyraźnie, coraz wyraźniej widać nową strategię opozycji – „nie możemy ich pokonać (przez sprzyjających im chamów, prostaków, kmieci, roboli, katoli i nieuków), to zabierzemy sobie kawałek Polski i uwijemy sobie własne państewko, przygarniemy wszystkie mniejszości, urządzimy sobie, a może nawet i tym mniejszościom, raj na Ziemi, póki ta Polska jeszcze kwitnie i się pnie w górę, i jest co brać. I tak to nomenklatura chce się uwłaszczyć kolejny raz. Gdyby to chodziło tylko o Warszawę, to bym pewnie nie wierzgał. To zepsute, ponure i molochowate miejsce, pełne pogardy i chamstwa. Także politycznego. Ale w Gdańsku spędziłem dzieciństwo, w Gdańsku jest Poczta Polska i Westerplatte, był Cybulski, Kobiela i Bim-Bom. Gdańsk to Czerwone Gitary, Grudzień '70 i strajk sierpniowy. Koczowałem wtedy pod stocznią w oczekiwaniu na wyniki rozmów. Wtedy jeszcze nikt nie był tak głupi, aby powiedzieć, że polskość to nienormalność. Bo to był mądry Gdańsk, a teraz są... Dulkiewicz i Adamowicz. Polinezja na gruzach Atlantydy. Ma ten dzisiejszy, oficjalno-urzędniczy Gdańsk tyle samo wspólnego z mądrością, ile dzisiejsza Grecja z Sokratesem. I tak to dźwięczało ze sceny.

Jeśli tak bardzo nienawidzą rządu, Kaczora i jego kota, linii politycznej i prospołecznej PiS i brzydzą się prawicą, patriotyzmem i jedną Polską od wschodu do zachodu, od północy po południe, to niech swoje 500+, kwoty podatków, z których zostali zwolnieni, wyprawki pierwszoklasisty, trzynastki emerytalne, z zaangażowaniem wpłacają na niepełnosprawnych, na których im tak bardzo zależy. Jak gardzić Morawieckim, to do końca, a nie tylko na przedstawieniach teatralnych z okazji tej czy innej rocznicy. Szanowna opozycjo, sufler Tusk nie przyjedzie na siwym ani żadnym innym koniu do waszego przybytku Melpomeny. Od lat jestem instruktorem jazdy i na pierwszy rzut oka widzę, że ułan z niego taki, jak trąba z kozy od tyłu. Chyba że na DRP (Deutsches Reitpony). Ale jak tu szarżować na kucyku?

Autopromocja

eprasa.pl 33acfb3920

PRZEZ ŚWIETLIK

Lękajcie się!

Wiktor Świetlik

Jeśli chodzi o jesienne wybory, to właściwie są one przez prawicę wygrane. Nawet nie trzeba się specjalnie napinać, chyba nie trzeba nawet iść głosować, można wyskoczyć gdzieś na weekend albo pooglądać seriale w domu. Przecież Schetyna taki załamany, Tusk agresywny, Kosiniak gnojony przez własne zaplecze. Sprawa więc rozstrzygnięta, właściwie całe to głosowanie to będzie formalność, która tylko potwierdzi to, co już i tak wiadomo. Może trochę przesadzam, wszak jest to cechą felietonu, ale po powyborczych rozmowach i z niektórymi politykami prawicy, i z dziennikarzami, mam wrażenie, że przesadzam tylko trochę. Oni po prostu zaczynają tak myśleć. Skóra na niedźwiedziu podzielona, wakacje się zbliżają, czas na fiestę.

Nie ma chyba skuteczniejszej recepty na zwycięstwo. Ale „moralne", takie jakie często się zdarzało, a rzeczywistą klęskę. Triumfalizm, zachłystywanie się własnymi zwycięstwami, przekonanie, że już posprzątane, a do tego absolutne przeświadczenie co do własnego geniuszu i bezgranicznej głupoty przeciwników. Pamiętają państwo prezydenta Komorowskiego, który nie szedł na debatę z przeciwnikami, bo przecież nie ma z kim przegrać? A Michnika z Lisem i ich zakonnicę w ciąży przejechaną na pasach jako konieczny warunek klęski Platformy? Film z tym nagraniem politycy PiS, ale też wszyscy, którzy nie chcą, byśmy za pół roku zbierali pierwsze efekty rewolucji LGBT, decentralizacji à la Soros, powinni oglądać chyba obowiązkowo ze dwa razy dziennie.

W polityce jak w życiu ludzie mają skłonność do przypisywania swoim przeciwnikom wszystkich najgorszych cech. Świetnie to widać po tym, jak postkomunistyczne elitki, pupile III RP, traktują dziś Polaków otrzymujących 500+ czy głosujących wbrew zaleceniom genseków z Brukseli. Ale widać też po tym, jak triumfująca prawica zaczyna swoim przeciwnikom przypisywać absolutną nieudolność, nieskuteczność, śmieszność, skłonność do klęski.

Tymczasem kilka lat temu niemożliwe by było, by łącznie 45 proc. głosujących zaakceptowało partie głoszące tęczowe postulaty. Jeszcze dziesięć lat temu był to margines, od którego PO oficjalnie się odcinała. I jeszcze jedna liczba, na połączone Wiosnę i Koalicję Europejską zagłosowało tylko o około 100 tys. mniej osób niż na PiS. Mówi się, że wyższa niż w europejskich frekwencja w wyborach parlamentarnych sprzyja prawicy. Tak się mówi, tylko nie wiem, skąd to obliczenie, bo kto najliczniej głosował? Miasto Warszawa, ale oprócz niego Podkarpacie i Małopolska. I jeszcze jedno – Platforma swego czasu też wygrała wybory, zdobywając grubo ponad 40 proc., a musiała kleić koalicję z PSL. A partia Kukiza raczej śmierdzi trupem niż pachnie przyszłym sojusznikiem.

To tak dla przypomnienia. Zanim więc panie i panowie ministrowie, posłowie, eurodeputowani, szefowie spółek, publicyści i wyborcy zaczną świętować albo rzucą się sobie do gardeł, dzieląc zawczasu październikowy łup, warto się trochę wcześniej pobać, bo nic nie mobilizuje tak jak strach. A jest czego. Przede wszystkim gigantycznych pieniędzy, które za moment zostaną tu wrzucone, po to wygrać nową, wspaniałą Polskę. Bez Polski.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

9. urodziny portalu wPolityce.pl

we wtorek 11 czerwca o 19:00

oglądaj LIVE na W POLSCE PL

eprasa.pl/33actb3920

JAN POSPIESZALSKI

Tę książkę musi poznać świat

Przeor klasztoru wspomina pytanie pewnej Amerykanki: „Dlaczego Polacy nie zorganizowali pod bramą obozu Auschwitz wielkiej akcji protestacyjnej z transparentami?”

14 czerwca 1940 r. na rampie w Oświęcimiu wyładowano pierwszych więźniów, wśród których był 19-letni Marian Kołodziej. Na jego przedramieniu wytatuowano numer 432.

Należał do nielicznych, którzy przeżyli obóz. Po wojnie ukończył Akademię Sztuk Pięknych i został scenografem. Oprócz wielu znaczących realizacji był autorem ołtarza na gdańskiej Zaspie podczas pielgrzymki Jana Pawła II w 1987 r.

Po 50 latach wypierania obozowej traumy, jakby w odpowiedzi na herbertowski imperatyw „Ocalałeś nie po to, żeby żyć, masz mało czasu, trzeba dać świadectwo”, stworzył wstrząsający cykl grafik „Klisze pamięci. Labirynty”. Monumentalną pracę przekazał oo. franciszkanom dla Centrum św. Maksymiliana w Harmężach k. Oświęcimia.

Ostatnio w Centrum zaczynają pojawiać się również zwiedzający z zagranicy. Wielu ze zdumieniem się dowiaduje, że w obozie byli również Polacy. Przeor klasztoru wspomina pytanie pewnej Amerykanki: „Dlaczego Polacy nie zorganizowali pod bramą obozu wielkiej akcji protestacyjnej z transparentami?”. Ignorancja? Brak wyobraźni? Niewiedza o tym, czym była okupacja niemiecka na terytorium Polski, jak wyglądało prawodawstwo niemieckie wobec polskich obywateli?

Wokół Holokaustu powstało wiele książek i filmów, gdzie proporcje między faktami a fikcją przesuwają się w kierunku literatury pięknej. Obraz Holokaustu w kulturze masowej porusza, wyciska łzy, lecz obok wstrząsających scen przemyca się często półprawdy i całe kłamstwa. To, co dla nas szczególnie bolesne, upowszechniany jest fałszywy obraz Polaków jako współodpowiedzialnych za zbrodnię Zagłady. Olbrzymią rolę w tej operacji mają publikacje Jana Tomasza Grossa i Jana Grabowskiego. Biorąc pod uwagę roszczenia wobec tzw. mienia bezspadkowego, część tych przekazów ma tu do spełnienia specjalną funkcję. Ale oprócz złych intencji (na które nie mamy wpływu) dystrybucji kłamstw sprzyja brak kompetentnych publikacji opisujących, co groziło Polakom za pomoc żydowskim sąsiadom (co obciąża już nas samych). Choć działa u nas kilka instytucji naukowych prowadzących badania nad Zagładą (finansowanych z budżetu państwa), żadna z nich nie zajęła się zebraniem i publikowaniem prawodawstwa niemieckiego. W świetle książki „Dalej jest noc” brak takiej pracy nie wygląda na przeoczenie.

I tu wreszcie dobra wiadomość. W tym tygodniu ukazuje się książka Bogdana Musiała „Kto dopomoże Żydowi”. (Szeroko omawia ją w dzisiejszym numerze „Sieci” Konrad Kołodziejski). Autor książki nie tylko zebrał prawodawstwo niemieckie wobec Polaków, nie tylko opisał przykłady represji, ale przede wszystkim pozwolił zauważyć, jak ewoluowało prawo i – co najważniejsze – odpowiada na pytanie, dlaczego okupant był zmuszony nasilać represje? Ukazuje, skąd się brała zbrodnicza eskalacja kar, aż do kary śmierci, nie tylko wobec tych, którzy pomagali Żydom czy ich ukrywali. Kara śmierci groziła także za odmowę współudziału w wyłapywaniu uciekinierów z getta i spotykała tych, którzy wiedzieli o ukrywających się Żydach, ale ich nie zadenuncjowali.

Bogdan Musiał przytacza fragment oryginalnego raportu komendanta obozu Auschwitz Rudolfa Hessa, który informował Berlin, że „ludność miejscowa jest fanatycznie polska, gotowa do każdej akcji przeciwko znienawidzonym esesmanom, a każdy więzień, któremu udaje się zbiec, otrzymuje natychmiastową pomoc, gdy tylko dotrze do pierwszej polskiej zagrody”.

Autor udowadnia, że radykalizacja prawodawstwa i proces stałego poszerzania zachowań podlegających restrykcjom były wymuszone postawą Polaków. Mimo drakońskich kar Polacy ciągle nieśli pomoc, dlatego konieczne były zaostrzanie prawa – do publicznego rozstrzeliwania całych rodzin.

Jeszcze za jedno należy podziękować Bogdanowi Musiałowi. Przywraca słowom znaczenie. Używa konsekwentnie sformułowań: prawo niemieckie, Niemcy, niemieckie zbrodnie, a nie naziści. Pojawienie się książki to połowa sukcesu. Konieczne jest przygotowanie poszerzonej wersji ukazującej kontekst europejski i znalezienie poważnych wydawców, by praca była dostępna również w innych językach, a mam sygnały, że z tym nie jest najlepiej.

eprasa.pl 33acfb3920

Polacy z Nagrodą Nobla?

Jerzy Jachowicz

Dwaj wybitni polscy prawnicy o temperamencie politologów, profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego Marcin Matczak i Wojciech Sadurski, na podstawie badań z zakresu medycyny i antropologii rozwikłali tajemnicę tegorocznych wyników wyborów w Polsce do Parlamentu Europejskiego. Umożliwił im to skonstruowany przez nich rewelacyjny tomograf mikroskopowy.

Rozpiera mnie radość, bo są oni niemal żelaznymi kandydatami do zdobycia tegorocznej Nagrody Nobla w dziedzinie politologii. Ich wysiłek badawczy przyniósł efekty o charakterze uniwersalnym. Superczuły przyrząd pozwolił na precyzyjny wgląd w sekrety budowy ludzkiego mózgu. Okazało się, że zasadniczy wpływ na orientacje polityczne każdego człowieka ma nieznana dotąd przysadka mózgowa. To ona decyduje o wyborze indywidualnych preferencji życiowych. Determinuje kierunki naszych działań społecznych i politycznych. Od momentu uzyskania dojrzałości do późnej starości. Jeśli zaś chodzi ściśle o wybory, decyduje, za jakimi wariantami rozwiązań politycznych i stojącymi za nimi partiami opowiadamy się, wrzucając kartkę do urny. Już wiadomo, że populacja zwolenników PiS jest pozbawiona tej przysadki. Stąd gromadzi ona wyłącznie nacjonalistów i populistów niewrażliwych na walutę euro.

Wkrótce zamieścimy obszerny wywiad z odkrywcami, w którym przedstawimy szczegóły ich osiągnięcia. Dziś ograniczymy się tylko do jego skrótowego opisu. Odkryciem tym jest mikroskopijnej wielkości gruczoł – przysadka jest właśnie gruczołem – o wadze 000,1 g o różowym zabarwieniu. Badania wykazały, że osobnicy posiadający rozwinięty ów gruczoł, nazwany przysadką N (od „Novum"), skłaniają się ku wszelkim postępowym prądom. Są otwarci na nowe idee obyczajowości. Dbają także o stronę materialną swej egzystencji i potrafią skutecznie zabiegać o jej pomnażanie. Osobnicy pozbawieni przysadki N są zatwardziałymi konserwatystami, stanowiąc przeszkodę w cywilizacyjnym pochodzie postępu.

Sukces profesorów Matczaka i Sadurskiego dowodzi, że oni sami posiadają również nader rozwinięty gruczoł N.

CO MNIE CIESZY

Krajobraz po wyborach

Katarzyna Łaniewska

Są dwie strony po wyborach do Parlamentu Europejskiego – ta wygrana, pełna radości, zmęczona, ale niespoczywająca na laurach i świadoma tego, że dalej trzeba walczyć. I druga – przegrana, absolutnie pogubiona i szukająca tych, którzy temu wszystkiemu najbardziej zawinili.

Moja biało-czerwona drużyna zwyciężyła w znakomitym stylu. Jest zmęczona kampanią przygotowaną w sposób drobiazgowy, jeżdżeniem po całej Polsce, by promować kandydatów. Mogła spojrzeć wyborcom w oczy, że to, czego ci oczekiwali, i to, co im obiecała, jest spełniane. Tyle już zostało zrobione. Ci zrzekający się swoich obowiązków w rządzie i idący pracować w Europie spotykają się z podziękowaniem ludzi. Najwspanialszym przykładem jest pani premier Beata Szydło. To było zwycięstwo ponad wszystkich. Zwycięstwo, które się jej należało. My, normalni ludzie, bardzo za nie dziękujemy.

Druga strona nie chce się zgodzić z tym, że została pokonana. Jedynym spoiwem opozycji (działała w dziwnym składzie ludzi) i jedynym programem było dowalić PiS. Nie mieli żadnego innego programu. To smutne, że byli działacze Solidarności stanęli w jednym szeregu z przedstawicielami rządu, przeciwko któremu w młodości walczyli. Obok pana Cimoszewicza – na pierwszym miejscu na liście – czy premiera Milera. Konglomerat tych ludzi zadziwiał, przerażał i śmieszył. Tak i skończyli. Oczywiście podostawali się niektórzy kandydaci, w tym pani wielu nazwisk. Wielki przegrany – PSL – to oddzielne zagadnienie. Co z nim dalej? Ma zamiar powoływać swoją koalicję, bo z Europejskiej się już wypisał? Może pan Kosiniak z panem Kamyszem się dogadają i założą nowe ugrupowanie? PSL to partia z długą historią. Ugrupowanie, które się przyczepia do okrętu i mówi: „Płyniemy!". No i się zatopili. Wypłyną czy zalegną na dnie?

Najbardziej mi się podoba koncepcja i dopytywanie, kto pomógł PiS wygrać wybory i załatwił tej partii zwycięstwo. Często słychać, że to ta niechciana telewizja publiczna, do której był zakaz przychodzenia, a tym samym prezentowania przez totalną opozycję swoich opinii. Cieszę się, że mamy taką mocną i wspaniałą telewizję.

eprasa.pl 33acfb3920

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***

TRENDY I OWĘDY

Vivat TVP!

Przedstawiciele totalnej niedyspozycji za darmo reklamują telewizję publiczną

Platformersi, poszukując przyczyn sromotnej przegranej w wyborach do PE, doszli do światłego wniosku, że winna jest TVP. Gdyby w „Wiadomościach" nie mówiono prawdy na ich temat, wynik by mieli dużo lepszy. Jednak koronnym grzechem publicznego medium jest mówienie o autentycznych sukcesach rządu.

Ryszard Makowski

Przepełnieni miłością i tolerancją frontmani PO nie zdzierżyli tej hucpy. Wybitny myśliciel Sławomir Neumann obwieścił: „To, co robi z przekazem TVP... z tymi kłamstwami, które eksponuje właściwie w codziennych wydaniach »Wiadomości«, jest czymś, co budzi obrzydzenie". Nawet „Donald się wściekł". Nic dziwnego. Miał być 4 czerwca w Gdańsku gwiazdą obchodów 30. rocznicy dogadania się Jaruzela i Kiszczaka ze swoimi Bolkami w Solidarności, a tu klapa. Zamiast przemowy porywającej tłum, bełkocik wyszedł. Trzeba go było sprytnie okrasić: „Wasza telewizja publiczna, nasz internet. Nie musimy czekać na łaskę Jacka Kurskiego". Pogięło go? W internecie PO, jej tęczowe przystawki i @europresident dostają regularny łomot.

Przyznanie, że w TVP, której rzekomo nikt nie ogląda, tkwi niebywała moc sprawcza, to policzek dla rynku medialnego zainstalowanego nam po 1989 r. Czyli co, TVN, TVN24, Polsat, Superstacja, Tok FM, Radio Zet, RMF, „Gazeta Wyborcza", „Newsweek", „Polityka", „Fakt", Onet, Interia, WP i pomniejsi tuskoklakierzy, zjednoczeni w przekazie, nie dali rady? Tyle fejk niusów poszło na marne? Doceniajmy TVP! Nie jest doskonała, ale – jak widać – skuteczna.

eprasa.pl 33acfb3920

Zawistowski prezentuje: ***Rozbicie dzielnicowe***

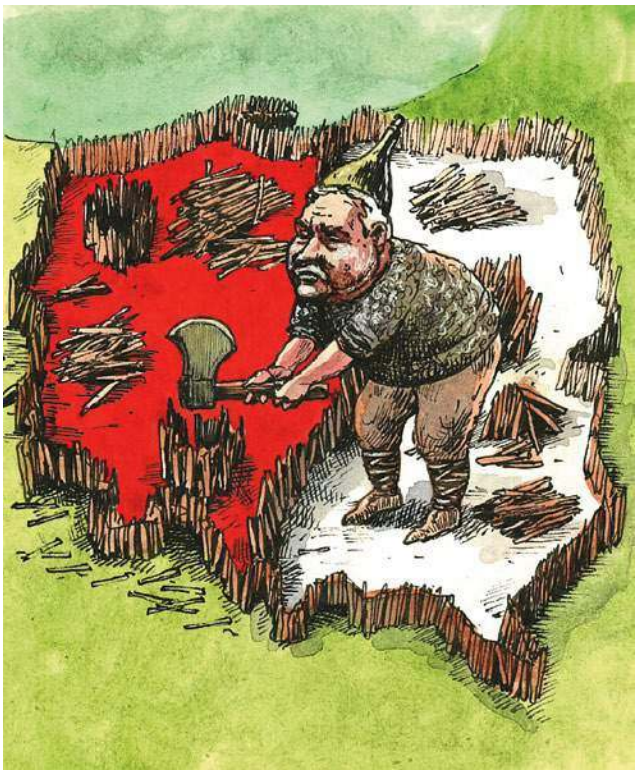

Wycinki z przeszłości

17 czerwca 1934 r. mijało sto lat od ukazania się na półkach księgarskich „Pana Tadeusza". Z tej okazji tygodnik „Światowid" informował: „Największe to arcydzieło literatury polskiej zostało napisane przez poetę na emigracji w Paryżu. Adam Mickiewicz powracał myślami do ziemi ojczystej, za którą tęsknił i z pod serca jego popłynęły strofy, w których zawarła się bezbrzeżna miłość ojczyzny i najgłębszy artyzm. W ciągu stu lat wielkość »Pana Tadeusza« nie zmalała. Poemat ten jest ciągle świeży, młody i porywający. Jest bowiem wzniosły jak Ewangelia, prosty i zrozumiały jak gawęda, ma urok rzewnej sielanki i rycerskiego rapsodu i jest jakby koncentracją wszystkiego, co polskie i nasze. Jest to książka, która w czasach niewoli krzepiła, rozrzewniała do łez, uczyła i zachwycała, którą można po sto razy czytać i zawsze odkryje się w niej jakieś nowe czary i piękności. Bez tej jednej książki niepodobna sobie wyobrazić literatury polskiej, stanowi bowiem ona jej kamień kluczowy, jej fundament i najbardziej niebotyczną wieżę".

Dzisiaj, w 185. rocznicę ukazania się narodowego poematu, sięgnijmy i my po niego, dajmy w prezencie dzieciom i wnukom.

Na zdjęciu: Delegacje młodzieży szkolnej składające kwiaty na sarkofagu Adama Mickiewicza w Katedrze Wawelskiej w 1934 r.

(mk)

Przypowieść z piwoniami

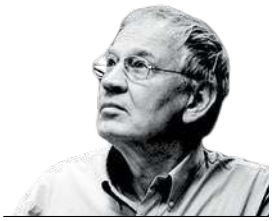

Leszek Długosz

Na świecie – bliżej Sandomierza
W stronę Lublina
Jest ogródek
W nim zagłębienie w ziemi
Gdzie niegdyś stała ogrodowa ławka
Obok – krzak piwonii (sadziła je Matka)
„Pachnące szalone różowe"
Urojenie z dzieciństwa:
Takie musiały być w dawnych czasach
Burgundzkie księżniczki?

Nie ma tamtego świata
I naturalnie –
Nie myślę o burgundzkich księżniczkach
– Ale dom?
– Ścieżka?
– Na ścieżce postać z konewką?
To widzę...
– I widzę w jakiej to rozsypce

Z wszystkiego co z ogródkiem żyło
Dziś Ona jedna – piwonia tamta
(I ani chybił w dzień Bożego Ciała)
W czerwcowym skwarze
Dalej kwitnie...
Telefonowałem wczoraj do Zet.
Żeby mi powiedział – czy ona tam jeszcze?
I jakie widoki?
„Są pąki"
– To na pamiątkę Matki, pomyślałem
Potem myśl dalsza przyszła:
Gdy zniknę
Nikt się nie dowie
– O czym pamiętając
W pewnym ogródku
– Bliżej Sandomierza w stronę Lublina
Pewna piwonia
Na świecie kwitła

Mała to strata dla świata
Lecz z piwoniami ta przypowieść
Raz jeszcze ten dowodzi
– Jak długo, z jakim trudem
Odkleja się od świata człowiek...
Zanim w kosmicznym nie zniknie zsypie
Cały
I ten na świecie jego świat mały
– Ogródek
– Ślad po ławce
– W czerwcu piwonii oddech znajomy...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 33acfb3920

OD A DO ZYBERTOWICZA

Aleksander Smolar skłamał?

Od dawna się mówi, że coś niedobrego dzieje się z naszą debatą publiczną. Niedawno doświadczyłem tego w rozmowie z Aleksandrem Smolarem w programie Moniki Olejnik „Kropka nad i".

DAWNO TEMU

Dawno, dawno temu ludzie dostrzegli rzecz następującą. Rzeczy niezgodne z rzeczywistością możemy mówić na dwa sposoby. Możemy się mylić – np. widząc z daleka auto, wołamy: „Volvo", a z bliska okazuje się, że to opel. Mówimy nieprawdę w wyniku błędnej oceny sytuacji. Ale możemy mówić nieprawdę umyślnie, tj. przy udziale świadomości, np. sprzedając pojazd wyremontowany po wypadku, przekonujemy nabywcę, że auto nigdy nie było bite. Wtedy kłamiemy. Świadomie, mając złe intencje, chcemy wprowadzić kogoś w błąd.

KŁAMLIWY ZARZUT KŁAMSTWA?

26 maja, podczas wieczoru wyborczego w TVN24, gdy już miałem przytoczyć pewną wypowiedź Włodzimierza Cimoszewicza, Aleksander Smolar przerwał mi i zarzucił kłamstwo. Ale to nie słowa byłego premiera są tu ważne. Chodzi o zarzut kłamstwa. O założenie, że w złej wierze chciałem przytoczyć sfabrykowaną wypowiedź drugiej osoby.

Pamiętam, że słowa Cimoszewicza przyswoiłem z jakiejś internetowej dyskusji i chyba w zdeformowanej postaci. Gdyby mi nie przerwano, możliwe, że przytoczyłbym nieprawdę. Ale to nie byłoby jeszcze kłamstwo. Popełniłbym jedynie błąd, mylnie przypisując komuś słowa, których nie wypowiedział.

CZY SMOLAR ODRÓŻNIA?

W audycji natychmiast spytałem Smolara, czy odróżnia kłamstwo od mówienia nieprawdy. Twierdził, że odróżnia. Zastanówmy się: powiedział wtedy prawdę czy skłamał? A może nie skłamał, tylko się pomylił co do swojej poznawczej precyzji?

Pamiętam lata temu podczas dyskusji w radiowej Trójce zapytałem Smolara, czy odróżnia oskarżenie od pomówienia (to drugie oznacza bezpodstawne zarzucenie komuś zachowania niechwalebnego). Wtedy także twierdził, że odróżnia, ale – o ile pamiętam – tak prowadził narrację, jakby zanadto nie przejmował się takimi subtelnościami.

Na jakiej podstawie Smolar, twierdzący, że rozumie, iż nie każde stwierdzenie nieprawdy jest kłamstwem, podczas audycji uznał – i to błyskawicznie, instynktownie – że jego rozmówca kłamie?

PODPOWIADA SUPERNIANIA

Dorotę Zawadzką, „Supernianię", pewnie znacie. Swego czasu lansowano ją jako autorytet od wychowywania dzieci. Komentując tę „Kropkę", napisała na Twitterze: „Jest różnica między kłamstwem a mówieniem nieprawdy? – Zybertowicz uważa, że jest. Ciekawe!".

Czyżby ludzie już przestali się mylić? Czy społeczny świat jakoś podzielił się na dwie tylko grupy: na tych, co mówią prawdę i mają rację (czyli naszych), oraz na tych, co manipulują i kłamią (czyli wrogów)?

Superniania Supernianią, ale przecież Smolar jest ważniejszy. Jeśli faktycznie odróżnia kłamstwo od nieprawdy, to dlaczego uległ iście tabloidowemu spłaszczeniu dyskursu, gdy słowo „kłamstwo" stało się zbiorczym określeniem wszystkiego, co komuś jawi się jako nieprawdziwe?

Czy Smolar już odruchowo przypisuje kłamstwo każdemu politycznemu przeciwnikowi? Przecież chyba postępuje tak dlatego, iż kłamstwem na co dzień posługuje się sam?

SKŁAMAŁ CZY SIĘ POGUBIŁ?

Czy jest możliwe, że skłamał, mówiąc, że potrafi odróżnić kłamstwo od mówienia nieprawdy? Czy też bez kłopotu potrafi to rozróżnić i chociaż w tym przypadku nie miał żadnych podstaw, by przypisać mi kłamstwo, to pod wpływem złego nawyku, jakiegoś antypisowego nastawienia do znienawidzonych politycznych przeciwników, zapomniał o tym, że ludzie niekiedy po prostu błądzą? Jakie miał podstawy, by z góry wykluczyć, że po prostu mogłem być źle poinformowany?

A może prezes Fundacji Batorego rozmyślnie bezpodstawnie przypisał mi kłamstwo, by realizować jakieś swoje cele polityczne?

Jeśli komuś zależy na jakości naszej publicznej debaty, to rada jest taka: jeśli nie macie jasnych dowodów, że ktoś świadomie, celowo rozpowszechnia nieprawdziwe informacje, nie mówcie o kłamstwie. Miast szermować zarzutem „kłamstwa", prostujcie nieprawdy, błędy, nieporozumienia.

Awansując nieporozumienia do rangi kłamstw, niszczymy przestrzeń tak potrzebnego dialogu.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 59/0419/F

eprasa.pl 33acfb3920

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo pierwszą w Polsce aplikację mobilną, dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji z ulubionym dziennikarzem w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

eprasa.pl 33acfb3920

MINSK 2019 2nd EUROPEAN GAMES

100 LAT POLSKIEGO KOMITETU OLIMPIJSKIEGO

Polski Komitet Olimpijski @pkol_pl

Maja Włoszczowska, brązowa medalistka I Igrzysk Europejskich Baku 2015

21 – 30.06.2019
II Igrzyska Europejskie Mińsk 2019

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji na II Igrzyska Europejskie Mińsk 2019

ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT	Deloitte. / COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA / POLSKIE RADIO
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy PKOl	Partnerzy Medialni PKOl

eprasa.pl 33acfb3920